

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



3

(67) 2011

Pomnik Profesorów stanął na Wulce ♦ Odeszła Włada Majewska
♦ Powtórny pogrzeb Abpa Teodorowicza ♦ A. Garlicka o kulturze
i sztuce w dawnym Lwowie ♦ Prof. Łempicki o prof. Twardowskim
♦ Prof. Węgrzynowicz o roli lwowskiej weterynarii ♦ Lwowskie pa-
miątki po J. Piłsudskim w Sulejówku ♦ Wiersze Stanisława Gottfrieda

DZIEJE SIĘ WIELE...

W ostatnich miesiącach działo się bardzo wiele na świecie i w kraju – to wszystko znamy z mediów, choć czasem chciałoby się zamknąć te gazety, telewizory czy radia. Nas, czytelników tego pisma czy jemu podobnych, interesuje to, co jawi się w sprawach polsko-lwowskich, a wydarzenia będą one jedne za drugimi, dzieją się tu i tam – we Lwowie, Krakowie, Warszawie, Wrocławiu czy Przemyśle...

Są one oczywiście dwojakie – mówiąc po prostu – dobre i złe. Pierwsze to budowanie czegoś pozytywnego na różnych polach. Drugie są ich zaprzeczeniem, bo podporządkowują się czyjemuś interesowi, nawet destrukcji.

Przypomnijmy wydarzenia, które nas w ostatnim czasie satysfakcjonowały (i zawsze satysfakcjonują). Trzeba od razu zwrócić uwagę, że w dużych miastach – po tej i tamtej stronie kordonu – powstało w ciągu lat sporo organizacji, które realizują twórcze inicjatywy. W samym Krakowie oprócz oddziału TMLiKPW problematykę kresową (w różny sposób) uprawia zespół „Chawira”, a także – obok innych, krakowskich tematów – Śródmiejski Ośrodek Kultury. Ostatnio włączyła się (dopiero powstająca przy Bibliotece Jagiellońskiej) Stanica Kresowa. Również w Warszawie – obok TML-u działają w podobnym kierunku (choć nie tylko) Muzeum Niepodległości ze swą Kolekcją „Leopolis”, Dom Spotkań z Historią z Ośrodkiem „Karta”, Instytut Lwowski Janusza Wasylkowskiego i jeszcze inne. Także we Wrocławiu, Poznaniu, na Górnym Śląsku itd. Itd.

W maju '08 odbyły się w warszawskim Muzeum Niepodległości *I Spotkania Muzealne z Kresami* (opisywaliśmy je w CL 3/08), a całkiem ostatnio, bo w maju br. drugie – omawiamy je w niniejszym numerze. Czekamy na trzecie...

Całkiem nowy wątek zainicjowało zorganizowanie przez Bibliotekę Jagiellońską przejęcia wielkiego dorobku tarnopolitanów, ofiarowanego tam przez Czesława Blicharskiego, i zarazem powołania „Stanicy Kresowej”, która w zamierzeniu ma prowadzić działalność naukowo-kulturalną. O tym wydarzeniu i inicjatywie piszemy w bieżącym numerze CL.

Doroczny Zjazd Tarnopolan, który w tym roku odbył się w Krzeszowicach, zgromadził kilkudziesięciu expatriantów z całej RP. Szczegóły – również w tym numerze CL.

Wstępując na szersze forum uprawiania problematyki kresowej trzeba zacząć od chwalebnego podjęcia od początku 2010 r. przez dziennik „Rzeczpospolita” wydawania serii cotygodniowych zeszytów składających się na *Księgę Kresów Wschodnich*. W tamtym roku dostaliśmy 51 zeszytów pt. *Dzieje, ludzie, pomniki polskości*, w bieżącym wychodził zaś drugi tom zatytułowany *Dzieje polskości* – aż do numeru 21. To znakomite i jakże potrzebne wydawnictwo nagle zostało przerwane. To oczywisty sygnał tamtego drugiego, destrukcyjnego nurtu wydarzeń, ale o tym niżej.

W maju we Lwowie odbyła się piękna uroczystość: 100-lecie Harcerstwa Polskiego, zrodzonego we Lwowie w 1911 roku. Omówimy je zapewne w następnym numerze CL.

W czerwcu odbył się we Lwowie powtórny pogrzeb Arcybiskupa ormiańskiego Józefa Teodorowicza, na co czekano wiele lat. Dużo pisała o tym prasa polska. U nas – w tym numerze.

Ogromnym wydarzeniem stało się 3 lipca odsłonięcie na Wulce we Lwowie pomnika zamordowanych Profesorów lwowskich. Słowo *pomnik* zostało tu może przedwcześnie użyte – i o tym relację czytamy w bieżącym numerze.

Cracovia-Leopolis dawno i niedawno

Od kilku lat bez szumu i reklamowego hałasu Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich wydaje kwartalnik „Cracovia–Leopolis”, który w sposób ciekawy przedstawia problemy krakowsko-lwowskiej przeszłości, jak i teraźniejszości, ukazuje bowiem wiele szczegółów historycznych, jak i informuje o tym, co się dzieje we Lwowie, jakie wydarzenia w kronice polskiej miasta miały w ostatnim czasie miejsce. Poprzez kreślone sylwetki lwowskich postaci czy pochodzących z tego regionu, żyjących i odeszłych już na zawsze, pismo chce prezentować galerię osób zasłużonych nie tylko dla miasta, ale i dla całej Polski. [...]

Józef Dużyk, „Dziennik Polski” nr 248. Kraków, czwartek 22 października 1998

[...] Korzystam z okazji, żeby wyznać, że bardzo cenię kwartalnik „Cracovia–Leopolis”. Sądzę, że powinien być jedną z ważnych lektur szkolnych, ponieważ stwarza okazję do rzetelnej edukacji, prawdziwie wychowawczej dla nauczycieli, w tym profesorów uczelni wyższych, i dla uczniów, w tym studentów. Chodzi o wychowanie w zakresie historii, kultury i innych wartości, bez których nie ma prawdziwego wychowania. Istotnym jego składnikiem powinien być patriotyzm i rzetelna troska o wartości, które zaliczamy do istotnych, jeśli człowiek ma osiągnąć pełnię człowieczeństwa. [...]

ks. Józef Pyrek SDS, kwiecień–maj 2011

UCZENI LWOWSCY XIX/XX WIEKU

1. Juliusz Kleiner (1886–1957), wybitny historyk i teoretyk literatury polskiej. Profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, po II wojnie KUL i UJ. Autor studiów i monografii czołowych pisarzy i poetów polskich.
2. Mieczysław Gębarowicz (1893–1984), historyk sztuki, związany z Ossolineum i Uniwersytetem Jana Kazimierza, autor wielu dzieł naukowych, także po II wojnie we Lwowie, w warunkach konspiracji wydawanych poza granicami ZSRR.
3. Eugeniusz Romer (1871–1954), geograf, klimatolog i kartograf, twórca nowej epoki w tej dyscyplinie. Swymi opracowaniami i argumentacją naukową przyczynił się do przyjęcia granic Polski na konferencji pokojowej w Paryżu 1918–19. Profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza, po II wojnie krótko na UJ w Krakowie.
4. Jerzy Kuryłowicz (1895–1978), wybitny językoznawca w zakresie ogólnym. Jego prace stanowią podstawę poznania językoznawstwa indoeuropejskiego. Profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza, po II wojnie kierownik katedry na UJ.

ODSŁONIECIE POMNIKA POLSKICH PROFESORÓW NA WZGÓRZACH WULECKICH

Marta Walczewska

DRAMAT MIASTA ZAWSZE WIERNEGO

Po pierwszej okupacji sowieckiej, 30 czerwca 1941 roku, do Lwowa wkroczyli Niemcy. Tu nie popełnili „błędu” krakowskiego, gdzie aresztowano profesorów uczelni krakowskich i wobec międzynarodowych protestów trzeba było ich uwolnić.

We Lwowie 3 lipca 1941 roku, o północy, aresztowano polskich pracowników nauki, a już po kilku godzinach – 4 lipca o 4 rano na Wzgórzach Wuleckich rozstrzelano 42 osoby. Było wśród nich 23 profesorów i docentów Uniwersytetu Jana Kazimierza, Politechniki, Akademii Weterynarii oraz 17 osób z rodzin, przyjaciół i znajomych. W następnych dniach lipca ginęli kolejni pracownicy nauki. 26 lipca został rozstrzelany prof. Kazimierz Bartel, profesor Politechniki Lwowskiej, senator Rzeczypospolitej, minister, prezes Rady Ministrów. W podobny sposób niszczone elity innych miast polskich, będących pod okupacją niemiecką.

Trzeciego lipca 2011 roku odbyła się we Lwowie długo oczekiwana uroczystość. Został poświęcony pomnik Profesorów Lwowskich – Polaków, ofiar zbrodni hitlerowskiej dokonanej przed 70 laty w dniu 4 lipca 1941.

Kiedy jechaliśmy do Lwowa, nie mieliśmy pewności, czy planowana uroczystość się odbędzie. Tyle razy na przestrzeni 70 lat to się nie udawało. Były różne projekty pomnika, wciąż nierealizowane. Były trudności, przeszkody, niemożność ustalenia wspólnej, polsko-ukraińskiej wizji. Były kontrowersje

– uczeni lwowscy czy polscy? (W czasie pierwszej okupacji sowieckiej dostali sowieckie paszporty.)

Wielkie są zasługi Wrocławia, najbardziej „lwowskiego” miasta w Polsce – w realizacji pomnika. Powstało monumentalne dzieło według projektu profesora Aleksandra Śliwy. Dziesięć głazów, oznaczonych rzymskimi cyframi, symbolizuje 10 Przykazań Dekalogu. Głaz z numerem V – przykazanie „Nie zabijaj” – jest obrócony. Pomnik w swej prostocie przemawia do wyobraźni. Wielka kamienna płaszczyzna, na której powinny



być nazwiska ofiar i tekst objaśniający to dramatyczne wydarzenie, jest pusta.

Zapewne teraz będą trudne uzgodnienia tekstu z władzami Lwowa. Nie udało się ich osiągnąć przed uroczystością.

W czasie całego naszego pobytu we Lwowie towarzyszył nam deszcz. Szczęśliwie na czas uroczystości niebo rozpogodziło się, nawet nieśmiało wyjrzało słońce. Przed pomnikiem były zgromadzone oficjalne delegacje. Na skarpach nad pomnikiem stały kręgiem tłumy ludzi. Zaczęły się przemówienia. Mer Lwowa mówił o Lwowie – mieście chrześcijańskim, gdzie różne narodowości żyły w zgodzie. Dziękował prezydentowi Wrocławia za pomoc we wspólnej pracy, która tworzy wielkie dobro. Prezydent Wrocławia – Rafał Dutkiewicz – przemówił po ukraińsku. Mówił: Ukraino! Polsko! Europo! – pamiętaj. Nauka nie jest narodowa. W mieście, gdzie spotyka się Wschód z Zachodem – Boski Geniusz zagościł we Lwowie, wyrażony polską mową. Wypowiedź Prezydenta, że „byli to wybitni naukowcy, publikujący głównie w języku polskim” – to chyba był ukłon w stronę gospodarzy.

Wiceprzewodniczący Rady Lwowskiej w swym przemówieniu podkreślił, że pomnik po 70 latach przemawia przez 10 Przykazań Bożych. Łamanie V Przykazania może prowadzić do takiej tragedii. Mówił też o upamiętnieniu miejsc, gdzie zostali zamordowani Polacy i Ukraińcy.

Młody przedstawiciel lwowskiej rady obwodowej – Oleh Pankiewicz, nacjonalista z partii Swoboda, wyłamał się z dyplomatycznego tonu przemówień. Mówił, a właściwie krzyczał, o fałszowaniu historii ukraińskiej. Zwracał się do elity polskiej i ukraińskiej

– nie może być demontowany pomnik UPA! Wypominał demontaż pomnika na szczycie Chryszczatej. Domagał się, aby nasz Sejm nie podejmował uchwały, że UPA jest organizacją zbrodniczą.

Pan Tadeusz Luty – przewodniczący Komitetu Honorowego Wzniesienia Pomnika, zwracając się do Rektora Politechniki, Prezydentów Miast, Ekscelencji Kościelnych, Rektorów Uczelni, mówił: *To, czemu służyli Profesorowie, jest ponadczasowe, pomnik przekazuje te wartości.* Składał podziękowania Fundacji Lanckorońskich i mieszkańcom Wrocławia. Niestety, nie dopuszczono do głosu rodzin zamordowanych Profesorów, a także historyka niemieckiego, który napisał książkę o tej zbrodni. Dieter Schenk, syn gestapowca, chciał przeprosić za popełnioną zbrodnię.

Nastąpiło odsłonięcie pomnika przez prezydenta Dutkiewicza i poświęcenie przez arcybiskupa Kościoła rzymskokatolickiego, ks. Mieczysława Mokrzyckiego, oraz władkę grekokatolickiego Juszczaka. Na zakończenie wystąpił ukraiński chór młodzieżowy w koszulkach „Lwów–Wrocław”. Poza programem grały na skrzypcach dzieci z zespołu „Promyki Krakowa”, prowadzonego przez p. Romę Krzemień. Dzieci w strojach krakowskich wyglądały pięknie. Ta grupa – złożona z jedenastu skrzypiec i wiolonczeli, przyjechała z nami z Krakowa. Młodzi muzycy mieli też okazję zagrać koncert w Katedrze Lwowskiej. Wzruszające było pożegnanie Lwowa – koncert przy autokarze, przed odjazdem. Już w czasie drogi powrotnej do Krakowa dzieci recytowały wiersze J. Wysłkowskiego, odzwierciedlające naszą miłość do ukochanego Miasta i tęsknotę.

Anna Stengl, Barbara Szumska

PAMIĘĆ O LWOWSKICH PROFESORACH I POLSKIEJ TRAGEDII

Ze wzruszeniem relacjonujemy przebieg uroczystości, które w Katowicach zorganizowało Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich (oddział w Katowicach), Uniwersytet Śląski oraz Duszpasterstwo Akademickie w 70. rocznicę egzekucji dokonanej na Polskich Profesorach i członkach Ich rodzin na Wzgó-

rzach Wuleckich we Lwowie, nad ranem, 4 lipca 1941 roku.

19 czerwca 2011 r. o godz. 11.00 w krypcie Katedry Chrystusa Króla odbyła się uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej, poświęconej pamięci tych, którzy zginęli owej pamiętnej nocy. Było niezwykle uroczyste! Z Duszpasterstwa Akademickiego do Kate-

dry przybył orszak, a w nim poczty sztandarowe, profesorowie uczelni w strojach ceremonialnych, przedstawiciele kleru, członkowie i sympatycy Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich i młodzież akademicka. Mszę św. odprawił i tablicę poświęcił ks. Arcybiskup Damian Zimoń, uroczystość otworzył i tablicę odsłonił Rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. dr hab. Wiesław Banyś i mgr inż. Stanisław Grossmann, wieloletni przewodniczący Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów P-W w Katowicach.

Ze strony środowiska lekarskiego w organizację uroczystości niezwykle intensywnie zaangażowała się Śląska Izba Lekarska w osobach Prezesa dra Jacka Kozakiewicza i Dyrektora mgr Wandy Galwas-Prasalek. Dzięki pomocy finansowej osób prywatnych z krakowskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów P-W oraz Śląskiej Izby Lekarskiej została wydana książka autorstwa Profesora Tadeusza Ceyepka pt. *Lwów w czasach trudnych – notatki naocznego świadka* (w ramach serii Biblioteki Cracovia–Leopolis, t. 11, i Biblioteki Historycznej Śląskiej Izby Lekarskiej, t. 1)*. Dokonane przez nas opracowanie redakcyjne i wydanie wymienionej książki sprawiły, że zostałyśmy zaproszone na uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej w Katedrze Chrystusa Króla, a potem na wspólny obiad w siedzibie Śląskiej Izby Lekarskiej, w którym uczestniczyła także Prezes Stowarzyszenia Polskich Lekarzy we Lwowie doc. Ewelina Hrycaj-Małańcz.

Warto było przeżyć taki dzień, aby zobaczyć ogromne zaangażowanie organizatorów i uczestników uroczystości, podczas których godnie upamiętniono wielką tragedię polskich Profesorów i Ich Bliskich, uświadamiając także raz jeszcze niepowetowaną stratę, jaką poniosła polska nauka.

Śląskie środowisko akademickie przygotowało także sesję naukową nt. „Niezwycię-

kła więź Kresów Wschodnich i Zachodnich. Wpływ Lwowian na rozwój nauki i kultury na Górnym Śląsku po 1945 roku”, która odbyła się 26 maja 2011 r. na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego. Uroczystego otwarcia obrad dokonał ks. Arcybiskup dr Damian Zimoń i JM Rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. dr hab. Wiesław Banyś. Treść przedstawionych referatów jest świadectwem strat, jakie Polska poniosła w związku z tragedią, ale też dała wyraz temu, ile z osiągnięć polskiej inteligencji we Lwowie udało się przenieść w czasy powojenne, na obecne ziemie naszego kraju.

Niewątpliwie warto przytoczyć tytuły wygłoszonych referatów, które jednoznacznie obrazują związki Górnego Śląska ze Lwowem. Ale można chyba bez wątpienia powiedzieć, że tam gdzie pojawili się Polacy przesiedleni ze Lwowa i szerzej – wschodniej Małopolski, tam też przenieśli ten wielki potencjał intelektualny i organizacyjny, jakim byli i są obdarzeni.

Program referatów wygłoszonych podczas konferencji przedstawia się następująco: ks. prof. Józef Krętosz (UŚ) – *Mord na profesorach lwowskich uczelni na Wzgórzach Wulekich 4 lipca 1941*; prof. Maria Pawłowiczowa – *Dwaj profesorowie lwowscy, o których należy pamiętać* – ks. Władysław Komornicki i ks. Stanisław Frankl; ks. dr Damian Bednarski (UŚ) – *Tradycja lwowskiego duszpasterstwa w Katowicach* – ks. Michał Rękas i ks. Jan Szurlej; dr hab. Joanna Januszewska-Jurkiewicz (UŚ) – *Kresowe rodziny kadry Uniwersytetu Śląskiego*; prof. Andrzej Linert (UJ) – *Teatr śląsko-lwowski*; prof. Andrzej Grabowski – *Znaczenie Lwowiaków w tworzeniu śląskiego środowiska plastyków*; mgr inż. Stanisław Grossmann (Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów P-W) – *Politechnika Lwowska jako Alma Mater polskich politechnik*; mgr Antoni Wilgusiewicz (Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów P-W) – *Lwowianie na Politechnice Śląskiej*; prof. dr hab. Jolanta Szulakowska-Kulawik (Akademia Muzyczna w Katowicach) – *Udział muzyków lwowskich w tworzeniu Śląskiego Konserwatorium Muzycznego i katowickiego środowiska artystycznego*; dr hab. Alojzy Czech (Uniwersytet Ekonomiczny) – *Udział Lwowian w działalności Wyższego Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych w Katowicach*; mgr Lesław Jóźków (Komisja Historyczna Śląskiej Izby Lekarskiej) – *Lwowianie w lecznictwie na Górnym Śląsku po 1945 roku*.

* Omówienie książki prof. Ceyepka zamieścimy w następnym numerze CL (4/11).



W Ł A D A

1 9 2 1 – 2 0 1 1

Wielki smutek. Nasi Czytelnicy zapewne już o tym wiedzą, bo prasa szeroko pisała, zresztą i w naszym kwartalniku na pierwszej stronie poprzedniego numeru znalazła się ta bolesna wiadomość.

Ona była największa od czasów lwowskich: w „Wesołej Fali”, na szlaku bojowym Brygady gen. Maczka i przez kilkadziesiąt lat w Londynie, przy Budzyńskim i Hemarze.

Była rodowitą Lwowianką, z ciała i ducha. Jej działalność artystyczna i społeczna zawsze wiązała się ze Lwowem i Lwowianami. W Jej rękach została spuścizna po tamtych sprawach i ludziach, a przed śmiercią przekazała ją do Kraju. Napisała wielką księgę swoich wspomnień, którą omawialiśmy w CL 3/07.

Przyjeżdżała czasem do Kraju, brała udział w różnych ważnych wydarzeniach patriotycznych. My – w małym gronie – spotykaliśmy Ją parokrotnie w Busku, gdzie przez szereg lat przyjeżdżała na leczenie, o czym nas powiadamiała. Zostało trochę miłych listów, a nasz kwartalnik bardzo się Jej podobał.

Pani Włado, żegnamy Panią z wielkim żalem.

Mariusz Kubik

Włada (Władysława) Majewska

**Aktorka i piosenkarka, dziennikarka radio-
wa, działaczka emigracyjna**

Urodzona 19 marca 1911 r.* we Lwowie. Ukończyła studia prawnicze na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie oraz wydział prawa administracyjnego Uniwersytetu w Edynburgu. W 1930 r. podjęła pracę w lwowskiej rozgłośni Polskiego Radia. Występowała jako piosenkarka i parodystka, od 1932 r. wraz z zespołem Szczepcia i Tońcia w „Wesołej Lwowskiej Fali” Wiktora Budzyńskiego. Po wybuchu II wojny światowej wyjechała ze Lwowa jako członek zespołu artystycznego, razem z ewakuacją rozgłośni lwowskiej. Występowali w Rumunii od 14 XI 1939 r. do 13 II 1940 r., dając 56 występów. 8 III 1940 r. zespół Lwowskiej Fali opuścił Rumunię i przez Jugosławię i Włochy pojechał do polskiego wojska we Francji, dając tam 30 występów. 22 VI 1940 r., po agresji Hitlera na Francję, na małym angielskim frachtowcu zespół ewakuował się do Szkocji, gdzie dwa dni później odbył się ich pierwszy występ. Teatralny zespół żołnierski wchodził w skład 10. Brygady Kawalerii Pancernej gen. Stanisława Maczka. „Fala” wystąpiła dla polskiego wojska ponad osiemset razy, dając spektakle na platformach ciężarówek, w barakach żołnierskich,



a nawet w bunkrach. Ostatni występ zespołu miał miejsce 17 listopada 1946 r. w szpitalu wojskowym w Whitechurch. Po wojnie Włada Majewska pozostała na emigracji w Wielkiej Brytanii. W 1946 r. w Edynburgu poślubiła Wiktora Budzyńskiego, jednak małżeństwo to nie trwało długo. Została producentem kabaretów literackich Mariana Hemara oraz aktorką w jego teatrze w Londynie. Wraz z Leopoldem Kielanowskim, a następnie Tadeuszem Kryską-Karskim poczynając od wczesnych lat 50. przez ponad trzydzieści lat prowadziła londyńskie biuro Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, nagrywając dla niej programy artystyczne, wywiady i codzienne korespondencje. W 1994 r. przekazała Polskiemu Radiu londyńskie archiwa Rozgłośni Polskiej RWE z dźwiękowym zapisem twórczości Mariana Hemara, zachowane dzięki jej staraniom. Odznaczona: Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (1980), Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia

Polski (1994) a także: Dyplomem-odznaką 307. Nocnego Dyonu Myśliwskiego Lwowskiego („w uznaniu prac i zasług położonych dla dyonu”; 18 VIII 1944 r.), Złotym Krzyżem Zasługi (nadanym przez Egzekutywę Zjednoczenia Narodowego; 11 XI 1966 r.), Nagrodą Teatralną „Dziennika Polskiego” za 1967 r. (jako najlepsza aktorka), Honorową Złotą Odznaką Stowarzyszenia Polskich Kombatantów (1972), Honorową Złotą Odznaką Stowarzyszenia Lotników Polskich (kwiecień 1975 r.), Krzyżem Dywizji Pancerniej, Złotą Odznaką 50-lecia Harcerstwa Polskiego („za zasługi położone dla rozwoju harcerstwa”), Złotą Odznaką Honorową Koła Lwowian, Złotym Medalem Kongresu Kultury (styczeń 1988 r.), oraz Złotym Krzyżem Polskich Dywizjonów Lotniczych. We wrześniu 2005 z okazji 80-lecia Polskiego Radia za wkład w rozwój polskiej radiofonii Polskie Radio przyznało Władzie Majewskiej Diamentowy Mikrofon. Artystka w dowód wdzięczności za bogate życie i wieloletnią opiekę przekazała nagrodę jako wotum dla Matki Boskiej Jasnogórskiej. Została też odznaczona odznaką honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, a następnie Medalem „Zasłużony Kulturze – Gloria Artis”. W 2006 r. ukazała się jej książka wspomnieniowa pt. *Z Lwowskiej Fali do Radia Wolna Europa* (Wydawnictwo Dolnośląskie) oraz płyta CD *Włada Majewska śpiewa piosenki Mariana Hemara* (Polskie Radio). Współ z Anną Mieszkowską opracowała książkę – album Mariana Hemara pt. *Za dawno, za dobrze się znamy... Piosenki i skecze* (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1997). Członkini Stowarzyszenia Pracowników, Współpracowników i Przyjaciół Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Mieszkała w Chislehurst w Wielkiej Brytanii.

* Liczne źródła podają mylne daty urodzin: 19 lutego 1911, 19 lutego 1914.



Aleksandra Garlicka

Ex oriente lux ⁽¹⁾

Kultura i nauka we Lwowie 1772–1939

W 1990 r. odbywała się we Wrocławiu sesja naukowa poświęcona badaniom historii Lwowa w Polsce po drugiej wojnie światowej. Okazało się, iż mimo że na słowo „Lwów” cenzura nałożyła embargo, dorobek piśmiennictwa polskiego w tej dziedzinie był wcale duży, głównie jednak życiorysowy (Polski Słownik Biograficzny) i wspomnieniowy. Oczywiście w żadnej z tych pozycji „Lwów” nie figurował w tytule.

Rok później otwierałam w „Zachęcie” wystawę „Lwowiacy i ich miasto” opartą w znacznej mierze na fotografiach rodzinnych nadesłanych przez dawnych mieszkańców tego miasta. Lekturą pomocniczą były głównie listy – opisy właścicieli zdjęć oraz opracowania przedwojenne sięgające najdalej pierwszej ćwierci ubiegłego wieku.

W ciągu ostatnich 16 lat powstała obfita literatura lwowska, głównie publicystyczna, z wyjątkami¹ przyczynkarska, przede wszystkim zaś wspomnieniowa. Pozwala ona dostrzec wyjątkowość tego miasta, jego kulturę, naukę i oświatę – szczególnie w drugiej połowie XIX wieku i początkach XX wieku, w pięknej scenerii zarówno naturalnej – przyrodniczej, jak i stworzonej przez człowieka – architektonicznej.

W wyniku I rozbioru Polski Lwów przypadł Austrii. 29 września 1772 r. przybył do Lwowa hr. Antoni Bergen, namiestnik nowo utworzonej przez Wiedeń prowincji Galicji i Lodomerii. Sejm polski 28 grudnia 1773 r. ratyfikował traktat rozbiorowy. Lwów przypadł dynastii habsburskiej aż do końca jej panowania, do 1918 roku.

Jak pisał Stanisław Wasylewski: (...) z Niemcem, który w obdartych pludrach przyszedł pieszo na rogatki, przyjechał policjant, poborca ceł i budowniczy. I zaczęli urządzać miasto. Żydów zjednano przywilejami, mieszczaństwo pocieszono tanią kostką brukową, szlachtę kupiono jeszcze

tańszym tytułem hrabiowskim. Niedobrze działa się. Lew usnął. Ale nie sparszywał we śnie².

Tak powstało Królestwo Galicji i Lodomarii, którego stolicą stał się Lwów.

Historycy, publicyści i autorzy wspomnień ubolewają, że Lwów był w owym czasie ubogim, zniemczonym miastem prowincjonalnym. Nie uczestniczył wprawdzie w ówczesnym ożywieniu intelektualnym, którego miejscem w dobie Oświecenia i reform Sejmu Czteroletniego stała się Warszawa. Został jednak w tym czasie siedzibą rządu krajowego. Już w dwa lata później powołano we Lwowie Najwyższy Sąd Gubernialny, utworzono Izbę Skarbową, zreformowano ustrój oświatowy. W małych miejscowościach powstawały szkoły trzy- i czteroletnie z początkowym nauczaniem w języku polskim, dalej w niemieckim, ale jak słusznie zauważa Leszek Podhorodecki: *choć poziom nauczania był niski, niemniej część dzieci chłopskich i mieszczańskich mogła w ten sposób uzyskać jakieś podstawy wykształcenia*³. W 1784 r. utworzono gimnazja rządowe. W tym samym roku cesarz Józef II wznowił Uniwersytet Lwowski, wprowadzając z niemieckim językiem wykładowym zamiast łaciny.

Zmiany te i nowe możliwości zatrudnienia spowodowały masowy napływ urzędników i nauczycieli z Austrii, Niemiec i Czech. Pojawił się we Lwowie nieznany w polskich czasach stan urzędniczy, który wraz z rodzinami liczył kilka tysięcy osób⁴. Ich potomkowie w drugim czy trzecim pokoleniu uważali się za rodowitych lwowian i tworzyli kulturę polską w tym mieście.

Jest zastanawiające, że Lwów, leżący na skrzyżowaniu dróg handlowych, którego rdzenna ludność była polsko-rusińska, do którego uprzednio przybywali Ormianie, Włosi, Wołosi i Żydzi, miasto przybyszów, a później imigrantów miało tak ogromną siłę asymilacji. Nikt nigdy nie obliczył, ilu przybyszów i skąd dotarło tu w kolejnych falach imigracji: po Powstaniu Styczniowym, w końcu XIX wieku z Kongresówki, po rewolucji 1905 r. z Królestwa Polskiego. Brak bowiem badań etnograficznych i socjologicznych w tym zakresie.

Lwowiacy mówią, że to „genius loci”, ale faktem jest, że napływ ludzi prężnych gospodarczo i sprawnych intelektualnie spra-

wił, iż Lwów stał się w XIX wieku i aż do czasów I wojny światowej kulturalną perłą w polskiej koronie, choć właśnie wtedy nie było Polski na mapie Europy.

Już we wrześniu 1792 r. powstała we Lwowie polska gazeta informacyjna „Dziennik Patriotycznych Polityków”. Wychodziła z przerwami do 1798 r. Była to swego rodzaju gazeta emigracyjna, wydawali ją bowiem działacze polityczni, którzy po zwycięstwie konfederacji targowickiej na ziemiach Rzeczypospolitej opuścili Warszawę. Jego redaktorem był m.in. znakomity ekonomista ks. Wawrzyniec Surowiecki. W 1794 r. „Dziennik” stał się gazetą codzienną nie tylko z nazwy. Ukazywał się 6 razy w tygodniu i był pierwszą codzienną gazetą informacyjną na ziemiach polskich.

2 kwietnia 1811 r. ukazał się pierwszy numer „Gazety Lwowskiej” pod redakcją Franciszka Krattera. Była ona formalnie oficjalnym organem władz zaboru austriackiego i początkowo do tego ograniczała swoją działalność, później jednak aż do 1939 r. odegrała zasadniczą rolę w życiu umysłowym i politycznym Galicji. Jej późniejszymi redaktorami byli Władysław Łoziński, Adam Krechowiecki, Ludwik Kubala, Karol Szajnocha, Józef Szujski i inni.

„Gazeta Lwowska”, mimo że oficjalny organ prasowy władz zaboru austriackiego, dała początek znakomitemu potem czasopiśmiennictwu i dziennikarstwu lwowskiemu. Rozwinęła ona też system dodatków. Już w styczniu 1817 r. zaczęły ukazywać się „Rozmaitości”, rodzaj magazynu literackiego, który pomieszczał również artykuły o treści historycznej i społeczno-ekonomicznej. „Rozmaitości” przetrwały kilkadziesiąt lat. System dodatków do pozornej urzędowej „Gazety Lwowskiej” został potem poważnie rozbudowany. W 1850 r. doszedł „Dodatek Tygodniowy”, a od 1873 r., kiedy stanowisko redaktora naczelnego objął Władysław Łoziński, wychodził przez lat kilkadziesiąt stały miesięcznik „Przewodnik



Władysław Łoziński

Naukowy i Literacki”, poświęcony historii, geografii, etnografii, literaturze, przyrodzie i ekonomii.

Czasopiśmiennictwo lwowskie poszczycić może się znakomitymi tytułami, dziennikarstwo wybitnymi nazwiskami.

W drugiej połowie XIX wieku Galicja, a więc i Lwów weszły w epokę autonomii. Dyplom państwowy z 1860 r., przewidujący powołanie Rady Państwa, złożonej z przedstawicieli sejmów krajowych wchodzących w skład Monarchii, a w ślad za tym konstytucja 1867 r. umożliwiła rozwój kultury narodowej, nauki i życia politycznego we Lwowie. Namiestnikiem Galicji został Polak. Pierwszym był Agenor hr. Gołuchowski. Siedzibą Namiestnictwa i Wydziału Krajowego stał się Lwów. Język polski i rusiński zostały dopuszczone jako urzędowe. W 1870 r. miasto otrzymało własny samorząd.

Już w czasie Wiosny Ludów, a potem Powstania Styczniowego w Królestwie Polskim nastąpiło znaczne ożywienie życia politycznego i umysłowego we Lwowie. Na czoło wybił się w tym czasie „Dziennik Literacki” wychodzący z przerwami w latach 1852–1864 pod redakcją m.in. Jana Dobrzańskiego, pisarza, dyrektora polskiej sceny teatralnej w tym mieście.

Czasopiśmiennictwo, literatura, nauki humanistyczne i polityka były we Lwowie aż do 1918 r. ściśle ze sobą związane⁵. Do ważniejszych dzienników tego czasu zaliczyć należy „Kurier Lwowski” wydawany w latach 1883–1926. Od 1887 r. jego redaktorem naczelnym był publicysta i współorganizator ruchu ludowego w Galicji Bolesław Wysłouch. Z piśmem współpracowały osobistości życia kulturalnego i społecznego owych czasów, nie tylko ze Lwowa i zaboru austriackiego, jak Jan Kasprówicz, Bolesław Limanowski, Eliza Orzeszkowa, Władysław Orkan, Henryk Rewakowicz i ukraiński pisarz i działacz społeczny Iwan Franko. Drugim ważnym dziennikiem polityczno-informacyjnym był powstały w 1901 r. „Wiek Nowy” Bronisława Laskownickiego. Pismo przetrwało do wybuchu II wojny światowej⁶.

Przelomowy dla Lwowa był rok 1817, w którym Józef Maksymilian hr. Ossoliński ofiarował miastu i państwu Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Zakład stał się od razu

ważną dla miasta instytucją. Ma bogate tradycje i obszerną literaturę⁷.

Stał się nie tylko skarbnicą książek i czasopism, ale też ośrodkiem wymiany myśli, wielopokoleniowym seminarium z zakresu historii i historii literatury polskiej. Tu rodziła się polska szkoła historyczna pod piórem znakomitego Karola Szajnochy, pod kopułą Ossolineum w jego

pracowniach naukowych powstawała szkoła historyczna Szymona Askenazego. Tu drukowano dzieła Mickiewicza i Słowackiego, tu odbyła się pierwsza we Lwowie wystawa obrazów w 1837 r., dająca początek galerii lwowskiej. Ossolineum wraz z przyłączonym do niego w 1823 roku Muzeum ks. Lubomirskich, założonym przez księcia Henryka Lubomirskiego, zainicjowało ruch społeczny na rzecz gromadzenia dóbr kultury i tworzenia towarzystw naukowych i oświatowych.

W 1907 r.⁸ działały we Lwowie oprócz wyżej wspomnianych: założone w 1872 r. Muzeum Przemysłowe Miejskie, Muzeum im. Dzieduszyckich – powstałe w 1880 r., gromadzące zbiory przyrodnicze i antropologiczne, Biblioteka Pawlikowskich i Biblioteka fundacji Wiktora hr. Baworowskiego. Działały też w tym czasie wśród wielu innych przede wszystkim Towarzystwo Oświaty Ludowej, założone w 1880 r. z inicjatywy Adama Asnyka, Uniwersytet Ludowy im. Adama Mickiewicza, Polskie Muzeum Szkolne, powstałe w 1886 r., Towarzystwo Literackie imienia Adama Mickiewicza, Towarzystwo dla Popierania Nauki Polskiej, Związek Naukowo Literacki we Lwowie prowadzący od 1898 r. szeroką akcję odczytową. Jego prelegentami i redaktorami wydawnictwa „Wiedza i Życie” byli m.in. Jan Gwalbert Pawlikowski, Kazimierz Twardowski, Józef Nusbaum i Jan Kasprówicz.

Uniwersytet Lwowski sięga tradycją 20 stycznia 1661 r., kiedy król Jan Kazimierz wyraził zgodę, aby istniejącemu we Lwowie kolegium jezuitów nadać godność akademii. 7 sierpnia 1817, po kongresie wiedeńskim, cesarz austriacki Franciszek I podpisał powtórny akt fundacji Uniwersytetu



Szymon Askenazy

Lwowskiego z niemieckim językiem wykładowym z trzema fakultetami. Prawdziwy jednak okres świetności Uniwersytetu Lwowskiego rozpoczął się w 1882 r., kiedy język polski stał się podstawowym językiem wykładowym. Uniwersytet miał trzy wydziały: prawny, filozoficzny i teologii. W roku akademickim 1894/1895 otrzymał jeszcze wydział lekarski, w 1904 r. – okazały gmach biblioteki.

W roku akademickim 1869/70 wykładało na uniwersytecie 51 osób. Uniwersytet miał 1082 studentów, w tym około 30% Ukraińców. W końcu XIX wieku na wydziałach filozofii i medycyny zaczęły studiować kobiety. W roku akademickim 1906/1907 było 3582 słuchaczy na wszystkich wydziałach⁹. Kadra naukowa była znakomita¹⁰. Na przełomie XIX i XX w. do najwybitniejszych profesorów należeli: filozof Kazimierz Twardowski – założyciel Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, zarazem psycholog i logik, twórca tzw. warszawsko-lwowskiej szkoły filozoficznej, zasłużony później organizator szkolnictwa wyższego w niepodległej Polsce; historyk prawa Oswald Balzer – badacz dziejów ustroju Polski, założyciel lwowskiego Towarzystwa Naukowego; historyk prawa polskiego i kościelnego Władysław Abraham – ojciec późniejszego generała, Romana; historyk i biograf Ludwik Finkel – współzałożyciel Polskiego Towarzystwa Historycznego; historyk i wydawca źródeł Ksawery Liske – współzałożyciel PTH, założyciel „Kwartalnika Historycznego”; historyk Tadeusz Wojciechowski – badacz średniowiecza; historyk Szymon Askenazy – znawca epoki napoleońskiej i walk Polaków o wyzwolenie w XIX w.; filolog Antoni Małecki – wydawca dzieł Słowackiego, autor

historyk sztuki i literatury Jan Antoniewicz-Bołoz – znawca sztuki polskiej XVI i XIX w. oraz renesansu włoskiego; historycy literatury Bronisław Gubrynowicz i Wiktor Hahn; zoolog Benedykt Dybowski – zesłany na Syberię za współpracę z rządem powstańczym w 1863 r., badacz fauny jeziora Bajkał i przyrody wschodniej Syberii; zoolog Józef Nusbaum-Hilarowicz – popularyzator ewolucjonizmu, propagator darwinizmu; geolog Rudolf Zuber; geograf Eugeniusz Romer; fizyk Marian Smoluchowski; chirurg Ludwik Rydygier i wielu innych.

Większość wykładów prowadzono w języku polskim, ale były także wykłady po ukraińsku i łacinie. Wraz z rozwojem ruchu narodowego ukraińskiego narastał podsyćany przez władze austriackie konflikt akademickiej społeczności polskiej i ukraińskiej o język uczelni (tzw. walka o utrakwizację uniwersytetu lwowskiego) – Ukraińcy żądali obowiązkowego wykładowego języka ukraińskiego.

Drugą co do wielkości uczelnią Lwowa była Politechnika¹¹. Utworzona w 1877 r. na bazie dawnej Akademii Technicznej z polskim językiem wykładowym mieściła się w gmachu zaprojektowanym przez znakomitego architekta lwowskiego Juliana Zachariewicza. Politechnika miała cztery wydziały: inżynierii, architektury, budownictwa maszyn i chemiczno-techniczny. Studiowali tu przed I wojną światową m.in. Stefan Banach, jeden z twórców słynnej w dwudziestolecie lwowskiej szkoły matematycznej, i Eugeniusz Kwiatkowski – w latach dwudziestych autor koncepcji rozwoju handlu morskiego i budowniczy portu w Gdyni, minister przemysłu i handlu (1926–1930),



Józef
Nusbaum Hilarowicz



Jan Gwalbert Pawlikowski

pierwszej o nim monografii, twórca polskiej monografistyki historyczno-literackiej, badacz gramatyki polskiej; historyk literatury i krytyk literacki Piotr Chmielowski – badacz literatury polskiej XIX w.; historyk literatury Roman Piłat; historyk literatury Józef Kallenbach – także profesor we Fryburgu i Krakowie, autor monografii o Adamie Mickiewiczu i Zygmuncie Krasińskim;



Eugeniusz Kwiatkowski

dokończenie na s. 23

Stanisław Łempicki, profesor UJK

KAZIMIERZ TWARDOWSKI

NAUCZYCIEL – UCZONY – OBYWATEL

Przemówienie wygłoszone na akademii żałobnej w Auli Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, 30 IV 1938

*Kazimierzowi Twardowskiemu w hołdzie
Senat Akademicki, Rada Wydziału Human-
istycznego Uniwersytetu Jana Kazimierza
i Polskie Towarzystwo Filozoficzne*

Mam mówić o znaczeniu Kazimierza Twardowskiego dla Uniwersytetu naszego i o jego pracy społecznej. Jakież to trudne zadanie zamknąć w krótkiej charakterystyce przeszło 40 lat pracy człowieka o tak niezwykłej inicjatywności i energii działania, jaką odznaczał się zmarły uczony, profesor i obywatel.

Mimo woli przesuwają się najpierw obrazy z własnych wspomnień studenckich, z pierwszego 10-lecia naszego wieku, a więc z czasów, gdy działalność Twardowskiego ogarniała najszerze kręgi, choć nie stanęła jeszcze u swoich szczytów. Z uderzeniem 8 godziny rano, prawie zimowym świtem, tłumy studentów i studentek cisną się do gmachu uniwersyteckiego przy ul. św. Mikołaja na wykład Twardowskiego. Wielka sala przepelniona po brzegi, mdłe światło gazowe pada na notatki, gwar i ożywienie niesłychane, choć niejednemu oczy się kleją po karnawałowej nocy. Mistrz, młody jeszcze – nie ma nawet 40 lat – wchodzi z przyległego pokoiku profesorskiego i uroczyście wstępuje na katedrę. Wykład jest jak nabożeństwo; wszystko słucha w skupieniu tych jasnych słów o trudnych często zagadnieniach, odzywa się tylko skrzywienie ołówków. – I tak prawie codziennie, bez odwoływań, bez luk, bez możliwości spóźnienia się.

Ale jakaż to mała – chociaż bardzo zasadnicza część ówczesnej pracy Profesora, który ma wtedy nieraz do 2000 zapisanych słuchaczy, w 1904/05 r. 112 członków seminarium filozoficznego, że trzeba zaprowadzać *numerus clausus*, nadto prowadzi pierwsze u nas ćwiczenia z psychologii

eksperymentalnej i regularnie musi być na piątkowych posiedzeniach Kółka Filozoficznego Czytelni Akademickiej, którego jest duszą i przewodnikiem.

Profesor Twardowski nie tylko dwoi się i troi w tych czasach, ale wprost uwielokrotnia w swoich pracach i inicjatywach.

W Uniwersytecie młody profesor nie tylko był już dwukrotnie dziekanem i prodziekanem Wydziału Filozoficznego i członkiem Senatu, ale dokonywa raz po raz rzeczy niezmiernie ważnych. Wspomnijmy tylko niektóre.

Kazimierz Twardowski jest w latach 1899–1903 właściwym organizatorem Powszechnych Wykładów Uniwersyteckich i Politechnicznych we Lwowie i jako prezes tej instytucji kładzie fundamenty pod jej świetny rozwój przedwojenny i jej do dzisiaj owocną i pożyteczną działalność. Sam wygłasza co roku stale cykl wykładów, jednolub więcej seriowy we Lwowie, a nadto nie waha się kilka razy do roku wyjeżdżać na prowincję z wykładami, i to nie tylko do Stanisławowa czy Przemyśla, wielkich miast, ale i do Kałusza, Delatyna, Skolego. W żelaznej garści, z świetnym planem, trzymając całą instytucję, sam jak apostoł propaguje wszędzie znajomość filozofii, psychologii, pedagogiki, dydaktyki.

Weźmy inny fakt. W zimie 1908/09 za rektoratu prof. Marsa otrzymuje ten sam Twardowski niezwykle trudny mandat reorganizacji – skromnie się to mówi – kancelarii Uniwersytetu Lwowskiego i sprawy wpisów studenckich. Kancelaria uniwersytecka prowadzona przez całe lata starą metodą XIX-wieczną, przez niefachowców docentów i profesorów, bywała nieraz utrapieniem dla sprawności życia uniwersyteckiego. Twardowski widział te braki, sam wymyślił sobie ów mandat, sam wziął na kilka prawie lat na barki ten ciężar i dokonał rzeczy znakomitej.

Od Niego datuje się decentralizacja tej kancelarii z uwzględnieniem potrzeb poszczególnych fakultetów i dziekanów, On stworzył pierwsze regulaminy i instrukcje dla dziekanów, urzędników i studentów, nadał właściwy sens i rolę kwesturze uniwersyteckiej, obmyślił nowy regulamin wpisów, dokonał całego szeregu drobnych zarządzeń i reform, które po prostu uporządkowały skomplikowaną biurokrację uniwersytetu. W czasie choroby i po śmierci pierwszego sekretarza uniw. dra Jordana osobiście prowadził tę kancelarię jak zwykły urzędnik. W 1913 r. Senat wręcza Mu za to pierścionek pamiątkowy.

Inne sprawy. Przełom XIX i XX wieku to okres, kiedy po długich walkach nastąpiło dopuszczenie kobiet do studiów uniwersyteckich, na filozofię i medycynę. To okres, kiedy na ziemiach polskich pod zaborem zaczęto w ogóle poważnie traktować sprawę gimnazjów dla dziewcząt i wyższego wykształcenia kobiet. Historykowi nie wolno zapomnieć, że Kazimierz Twardowski stał się na naszym gruncie jednym z najgorętszych i najbardziej konsekwentnych bojowników uprawnienia kobiet do studiów wyższych i uregulowania ich studiów średnich. Nie słowem demagogicznym działał, ale czynem. On *magna pars fuit* założenia we Lwowie pierwszego w kraju 8-klasowego pełnego gimnazjum żeńskiego im. Słowackiego we Lwowie. Na Jego wniosek ono powstało, On był gorliwym opiekunem jego zaczątków, On witał i żegnał w r. 1910 pierwsze abiturientki tej szkoły. Należał dalej do organizatorów Kursów Akademickich dla kobiet we Lwowie i przez trzy lata był ich sekretarzem, sam wykładając równocześnie. A w Uniwersytecie, na Wydziale Filozoficznym, w Jego dłoniach jako stałego referenta spoczywa referat studiów uniwersyteckich kobiet, sprawowany z ogromnym poczuciem sprawiedliwości i taktu. W historii walki kobiet polskich o wyższe wy-

kształcenie i dostęp do uniwersytetów rola Kazimierza Twardowskiego – choć pełna umiaru w traktowaniu problemu – nie może być zapomniana.

Ideowo łączy się z tym poniekąd sprawa drugiego, bardzo odpowiedzialnego referatu prof. Twardowskiego, który piastował w Uniwersytecie w ciężkich latach po rewolucji 1905 roku, w czasie strajku szkolnego w Królestwie i najwyższego nasilenia hakatystycznych prześladowań w zaborze pruskim. Był mianowicie referentem tzw. „uprawnień abiturientów szkół zagranicznych wobec uniwersytetów austriackich tj. galicyjskich”. W rękach takiego referenta spoczywał niejednokrotnie los dziesiątek i setek młodzieży polskiej obojga płci, zwłaszcza z Królestwa i zaboru rosyjskiego, chroniących się na Uniwersytet Lwowski. I trzeba doprawdy wczytać się w protokoły Rady Wydziału Filozoficznego z tych lat, aby przekonać się z najwyższym uznaniem, jak Twardowski traktował te sprawy; jak poczucie formalnego respektowania przepisów, tak



zawsze żywe u Niego, uległo pięknemu promieniowaniu Jego głębokiego polskiego patriotyzmu i chęci ratowania młodzieży. Ileż interwencji u władz miejscowych i centralnych, ileż zabiegów i wybiegów z Jego inicjatywy poświęcił uniwersytet tym sprawom.

Wreszcie jeszcze jeden stały referat Twardowskiego w Wydziale Filozoficznym w latach 1900–1910. To sprawy zasiłków ministerialnych dla kandydatów stanu nauczycielskiego – rzecz również bardzo odpowiedzialna.

Zdawałoby się, że już chyba dosyć: wyężona działalność nauczycielska – organizacja katedry i zakładu własnego, Powszechnie Wykłady, reforma kancelarii, sprawa studiów kobiecych, obrona młodzieży z innych zaborów, zasiłki dla swoich. Ale jakżeż daleko jeszcze do wyczerpania rejestru prac i za-

sług Twardowskiego w tym przedwojennym wspaniałym okresie Jego działalności.

Jakaś błogosławiona furia nauczania, wykładania, popularyzowania wiedzy ogarnia wtedy lwowskiego profesora filozofii. Ciągłe widzi się Go, słyszy i podziwia jako prelegenta. W swoim przysłowiowym czarnym angielu, z czarnym krawatem – jawi się ten chyba jeden z najlepszych polskich prelegentów naukowych na katedrze w różnych lwowskich towarzystwach i instytucjach: w stworzonym przez siebie Polskim Towarzystwie Filozoficznym, w Towarzystwie Kopernika i Prawniczym, w towarzystwach nauczycielskich, w Czytelnii dla kobiet, w Związku naukowo-literackim, założonym przez Pawlikowskiego i Wasilewskiego. Wykłada pedagogikę i dydaktykę na kursach nauczycielskich p. Bielskiej, filozofię stale na „Kursach Akademickich dla kobiet”, dla studentów politechniki psychologię, w Stowarzyszeniu Nauczycielek cykl psychologii pedagogicznej, itd. W różnych latach corocznie kilka takich kursów. Wyjeżdża na wakacyjne kursy do Zakopanego, ma wykłady o dydaktyce w Cieszynie, cykl wykładów dla nauczycielstwa polskiego w Warszawie, to w Domu Polskim w Czerniowcach. Wyjeżdża z wykładami do Towarzystwa Filozoficznego w Wiedniu, odbywa podróż naukową w 1904 r. do Niemiec i Francji, głównie dla zwiedzenia pracowni psychologicznych, ma wykład w paryskiej stacji naszej Akademii Umiejętności. – A kongresy? Psychologiczne w Giessen i Innsbrucku w latach 1904 i 1910, udział w pracy polskiej dla Międzynarodowego Kongresu psychiatrów, neurologów i psychologów w Amsterdamie w 1907, dla Międzynarodowych Zjazdów higieny w Buffalo i Paryżu – to znowu bardzo wybitny udział w pierwszych polskich zjazdach lekarzy i przyrodników, czy w zjeździe polskich neurologów, psychiatrów i psychologów – wszystko w latach 1900–1910.

Nie wspominam już o pracy Kazimierza Twardowskiego dla Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, o redagowaniu wszystkich wydawnictw tego towarzystwa, zwłaszcza prac uczniów, o udziale w redakcjach czasopism fachowych. Ogłosił też prof. Twardowski w latach 1898–1910 – 24 prace z zakresu swej specjalności oraz z zakresu pedagogiki, organizacji szkolnictwa, polityki

szkolnej itd. i 3 przekłady, oprócz sprawozdań i recenzji.

Lecz i to wszystko razem wzięte nie wypełnia ram ówczesnej działalności Profesora.

Nie można nie wspomnieć osobno o prezesurze sześcioletniej (1905–1911) Kazimierza Twardowskiego w Towarzystwie Nauczycieli Szkół Wyższych (TNSW), bo to duży rozdział Jego życia i wielki posiew Jego twórczej myśli. Przy tym w tej Jego pracy na szerokiej arenie poważnego zrzeszenia nauczycielskiego manifestuje się wyraźniej oblicze prof. Twardowskiego jako obywatela i działacza narodowego o rozległym zasięgu. Co zrobił dla samego TNSW jako najznakomitszy niewątpliwie prezes w jego dziejach, o tym nauczycielstwo polskie pamięta doskonale do dnia dzisiejszego. Okres Jego prezesury to okres najwyższego rozkwitu Towarzystwa, zarazem okres największego znaczenia i powagi TNSW, a pamiętajmy, że były to czasy zaborcze. O rozwoju TNSW mówią cyfry i fakty. Liczba członków z 930 podniosła się za Jego rządów do 1879, liczba Kół z 19 do 37, obrót kasowy z 9000 kor. na prawie 39000 kor., nakład czasopisma „Muzeum” z 1000 egzemplarzy jednotomowych do 2150 egzemplarzy dwutomowych z dodatkiem itd. Rozwinęła się doskonale oficyna wydawnicza TNSW, która stała się kolebką, podstawą dzisiejszej potęgi „Książnicy-Atlasu”. Pod redakcją Piniego zaczęły wychodzić prześliczne tomy „Nauki i Sztuki”. Układ T-wa został przeorganizowany, powstał nowy statut. Stworzony został działający do dzisiaj fundusz pośmiertny dla wdów i sierót po profesorach szkół średnich. Weszła w życie pierwsza kolonia wakacyjna TNSW. Powstały w Krakowie i Lwowie specjalne komisje dla reformy szkolnictwa, które opracowały wtedy pełny plan 8-klasowej szkoły realnej, ale przygotowały również bogaty materiał do pierwszej reformy szkolnictwa w wolnej Polsce, za czasów min. Łopuszańskiego. We wszystkich tych osiągnięciach i zdobyczach – od rzeczy ważnych aż do drobiazgów – czynna była myśl twórcza, wiedza i doświadczenie Twardowskiego. Dzięki Jego niezmordowanemu trudowi, umiejętności doboru współpracowników, zdolnościom organizacyjnym i niezwykłej – na owe czasy – odwadze cywilnej TNSW stało się instytucją respek-

towaną zarówno przez władze austriackie i Radę Szkolną Krajową, jak przez Sejm, społeczeństwo, prasę.

Ale prócz tych ważnych szczegółów, które należą już do historii, domaga się podkreślenia rzecz o wiele donioślejsza. To udział nauczycielstwa polskich szkół średnich b. Galicji pod komendą Kazimierza Twardowskiego w walce o odaustriaczenie i unarodowienie szkoły polskiej pod zaborem austriackim. Dziś się wiele rzeczy zapomina, a tu trzeba patrzeć w taki wspaniały dokument polityczny i wychowawczy, jakim jest księga pt. *Kazimierz Twardowski, mowy i rozprawy z okresu działalności w TNSW* (Lwów 1912), wydana w hołdzie przez polskie nauczycielstwo po ustąpieniu Profesora z prezesury w 1912 r. Księga ta jest wyznaniem wiary Twardowskiego w stosunku do zagadnień polskiego wychowania i polskiej szkoły, jest dokumentem mężnego samopoczucia polskiego myśliciela i wychowawcy, który nie lękał się niczego, nie pochlebiał nikomu, tylko z rycerską odwagą, nieustępliwy, choć roztropny, dążył do odwojowania galicyjskiej szkoły z rąk austriackiego centralizmu i niemieckiej pedagogiki. Niedaleko odbiegał od S. Szczepanowskiego, gdy stawiał przed oczy nauczycielstwa ideały Komisji Edukacji Narodowej, gdy żądał stworzenia w Galicji polskiej Krajowej Rady Pedagogicznej, a jego świetny artykuł pt. *Unarodowienie szkoły*, będący przemówieniem na wiecu rodzicielskim w 1905 r. we Lwowie, kreśli pełny program polskiego gimnazjum w b. Galicji, naprawdę niewiele różniący się od dzisiejszej naszej rzeczywistości szkolnej w wolnej Polsce. Jeśli zaś idzie o momenty wychowawcze, o to, co Twardowski mówi o kształceniu charakteru młodzieży, tępieniu wad narodowych polskich, o obowiązkowości i karności młodzieży – to rady te przydałyby się dzisiaj zarówno naszym centralnym władzom oświatowym, jak i uniwersyteckim, jak i nauczycielstwu. Jak Szczepanowski, umiał łączyć Kazimierz Twardowski realizm z głębokim idealizmem i gorącym, twardym stanowiskiem narodowym. W wystąpieniach swoich nigdy nie stał na jakimś wyłącznie galicyjskim stanowisku, Austriak był dla Niego w zasadzie takim samym zaborcą jak Moskal i Prusak, a w żadnej z swych mów nie pominął ani razu doli szkoły polskiej w Królestwie i Poznańskiem. Poprzez kor-

dony łączył wychowanie polskie w jedną organiczną całość.

Był Twardowski wybitnym człowiekiem szkoły, znawcą niepoślednim problemów szkolno-wychowawczych i szkolno-organizacyjnych. Interesowały Go wszelkie zagadnienia wychowawcze, tak samo jak szkolnictwo wszystkich stopni, zwłaszcza średnie i wyższe. Brał przed wojną, tak samo zresztą jak w odrodzonej Polsce, udział w licznych naradach i ankietach ministerialnych, nauczycielskich i społecznych, dotyczących reformy szkolnictwa średniego, typów i programów szkół, pragmatyki nauczycielskiej, reformy szkolnictwa akademickiego, przepisów organizacyjnych w uniwersytetach, reformy matury gimnazjalnej, nauczania propedeutyki, higieny szkolnej itd. Uchodził za autorytet zarówno w austr. Ministerstwie Oświaty i w Radzie Szkolnej Krajowej b. Galicji, jak i potem u Ministrów Oświecenia wolnej Polski. Ofiarowywano Mu w odrodzonej ojczyźnie niejednokrotnie wysokie stanowiska w szkolnictwie – czy to kuratora okręgu szkolnego, czy szefa departamentów ministerialnych. Człowiek szkoły walczył wtedy długo z uczonym. Tkwiła w Twardowskim i paliła się dążność reformatorska, znał swoje pod tym względem możliwości, wiedział, że wiele dobrego mógłby zdziałać. Ciągnął go do Warszawy min. Łopuszański, dawny Jego współpracownik w TNSW, ciągnął go min. Rataj, dawny Jego uczeń. Odmawiał ostatecznie za każdym razem; naukowiec i pedagog uniwersytecki zwyciężał reformatora i działacza szkolno-oświatowego. Ale choć nie zajął żadnego kierowniczego stanowiska w dziale administracji szkolnej odrodzonej Polski, to pedagogika Jego, skupiona w przemówieniach dorocznych w TNSW i artykułach „Muzeum”, zwarta, oryginalna, głęboko przemyślana, tchnąca czystą jak złoto polskością – zostaje po Nim jako jeden z najcenniejszych klejnotów w Jego spuściźnie.

Czyż trzeba jednak na tym miejscu, w tych murach rozwódzić się dłużej nad zasługą Kazimierza Twardowskiego jako obrońcy polskiego stanu posiadania w dziedzinie oświaty? Akty i kroniki Uniwersytetu Jana Kazimierza poświadczają, że prof. Twardowski należał w latach 1901–1910 do najgorliwszych atletów w walce o zagrożoną

polskość naszej *Almae Matris*. Spod Jego pióra (choć nie był historykiem) wyszły fundamentalne memoriały do austr. Ministerstwa Oświaty, dla użytku posłów polskich, do wiadomości całego społeczeństwa, udowadniające, że Uniwersytet lwowski i historycznie, i prawnie powinien i może być tylko uniwersytetem polskim, z polskim językiem wykładowym i urzędowym, o polskim duchu wewnątrz swoich sal i pracowni. Mam tu na myśli pracę Twardowskiego pt. *W sprawie Uniwersytetu Lwowskiego* z r. 1905 i niemiecką *Die Universität Lemberg. Materialien zur Beurteilung der Universitätsfrage*, wydaną w Wiedniu 1907 r. Nie był w tej walce osamotniony, wszyscy prawie kole-dzy byli jednego z Nim zdania. On jednak stał na każdy sposób w pierwszym szeregu wojującego frontu, tam, gdzie przed laty w walce z germanizacją stali profesorowie Zielonacki i Kabat.

Już w pomruku pierwszych strzałów wojny światowej objął Kazimierz Twardowski – jako nagrodę za prawie 20-letnią działalność profesorską – rektorat Uniwersytetu Jana Kazimierza. Wojna zaskoczyła Go w Tatrach, w Poroninie. Właśnie wtedy serdeczny Jego przyjaciel Jan Kasprowicz pisał tam swoją *Księgę Ubogich*:

*A może z straszliwej zawiei,
Co świat ten naokół niszczy,
Nie same li gruzi wyrosną,
Nie same li kupy zgłiszczy?*

Groza wojenna zalała ziemie polskie. Lwów dostał się od razu pod okupację rosyjską. Rektor, odcięty od swej macierzy uniwersyteckiej, znalazł się w stolicy monarchii w Wiedniu, aby u tzw. wielkiego ołtarza wedle możliwości być pomocnym uniwersytetowi, kolegom, młodzieży. Ten rok wiedeńskiego rektoratu Twardowskiego od jesieni 1914 do lipca 1915 r. – to osobna chlubna karta w Jego zasłużonym życiu. Rozwinął tutaj niesłychanie ożywioną działalność. Skupił dokoła siebie całą emigrację profesorską i studencką, i to nie tylko ze Lwowa, roztoczył przede wszystkim opiekę nad młodzieżą akademicką, zbiegłą przed okupacją, niezdolną do służby wojskowej stale lub chwilowo, spragnioną kontynuowania studiów, przymierającą nieraz głodem i chłodem. Jak wielki jałmużnik, zawsze jednak pełen swojej rektorskiej godności, wy-

dobywał pieniądze dla biedaków z różnych komitetów i od osób prywatnych, stworzył „Fundusz zapomogowy polskiej młodzieży akademickiej”, powołał do życia „Dom Akademicki dla słuchaczy szkół najwyższych z Galicji i Bukowiny”, w którym przez rok 1915 – 332 studentów i studentek, w tym 177 osób ze Lwowa, znalazło przytułek, opiekę i możliwość pracy; rozdzielał bony na obiady i kolacje, zapomogi odzieżowe, zasiłki dorywcze, udostępniał szpitale, pomoc lekarską, kąpiele. Nie dość na tym: z moralną odsieczą ruszył na pomoc rozproszonym i zdezorientowanym często studentom emigrantom: ułatwiał im, przy pomocy Komitetu, dostęp i wpisy do uniwersytetu i innych szkół wiedeńskich, patronował kursom naukowym, odbywał wspólnie z obecnymi tam profesorami Uniwersytetu Lwowskiego egzaminy i rygorozą prawnicze oraz pewne egzaminy filozoficzne, udzielał promocji, zachęcał do pracy i wytrwania. „Dom Akademicki”, choć z założenia swego nie wyłącznie polski, stał się w istocie ostoją polskiego życia akademickiego – i niejednemu to życie uratował. *Trudno nam wyrazić do-prawdy naszą wdzięczność, którą względem Waszej Magnificencji odczuwamy* – pisali później do naszego rektora studenci krakowscy – *możemy jedynie zapewnić, że żaden z nas, a zwłaszcza ci, którzy dzięki Waszej Magnificencji zostali z najskrajniejszej nie-jednokrotnie wyrwani nędzy, nie zapomną tego nigdy*. Może i nie zapomnieli.

Poza tą wielką działalnością filantropijną wobec młodzieży działał Kazimierz Twardowski na emigracji wiedeńskiej w wielu innych kierunkach. Nie brakło Go w żadnym polskim towarzystwie i przedsięwzięciu, miewał odczyty naukowe i popularne, w których Niemcom mówił o Polsce, interesował się pracami NKN i opieką nad legionistami polskimi. Interwencjami i wpływami swymi i swego Czcigodnego Brata ministra Juliusza Twardowskiego, ambasadora polskości w Wiedniu, dopomagał studentom Polakom z b. zaboru rosyjskiego w ich studiach, wyszukiwał posady bezrobotnym akademikom, pomagał w kłopotach paszportowych i wojskowych. Prof. Henryk Halban, niezmordowany opiekun polskiej młodzieży lekarskiej, rywalizował szlachetnie z rektorem w tej filantropijnej akcji.

Trzeba dzisiaj stwierdzić autorytatywnie, że z tej właśnie filantropijnej i zapomogowej akcji akademickiej rektora Twardowskiego, a także prof. H. Halbana, na gruncie Wiednia, w czasie wojny światowej, poczęły się i urodziły później we Lwowie wszystkie, dzisiaj tak doniosłe i można rzec – potężne akcje pomocy młodzieży akademickiej, jak Komisja Senacka opieki nad młodzieżą akademicką, jak Opieka Zdrowotna, rozbudowa domów i kuchni akademickich. Tutaj tkwił ich ideowy i moralny początek.

Wojenny rektorat Kazimierza Twardowskiego trwał – rzecz wyjątkowa w naszych stosunkach – trzy pełne lata akademickie. Jako władarz naszej *Almae Matris*, po powrocie do Lwowa, od lipca 1915 r. aż do września 1917 r., okazał się Twardowski mężem prawdziwie opatrnościowym. A przyszło Mu prowadzić nawę uniwersytecką w najtrudniejszych warunkach. Niepewność sytuacji wojennej, częste groźby ewakuacji miasta i uniwersytetu, fatalne stosunki gospodarcze i życiowe, ciągłe wzloty i upadki naszych polskich nadziei i oczekiwań, a równocześnie konieczność ustawicznego lawirowania wśród podejrzliwości, szpiegostwa, nieżyczliwości wojskowych władz austriackich, zwłaszcza w tzw. okresie Letowsky'ego – wszystko to wymagało niezwyklego spokoju, taktu, a nade wszystko hartu ducha. Odnalazł w sobie te cnoty trzykrotny rektor Twardowski. Ostrożny i dyplomatyczny polityk, gorący Polak, wpatrzony w jutrznię niepodległości, nieustępliwy obrońca autonomii, autorytetu i polskości naszej Uczelni Najwyższej, zawsze z głową podniesioną do góry nie przez osobistą pychę, ale na mocy wiekowego dostojeństwa uniwersytetów – umiał przeprowadzić lwowską *Alma Mater* uciążliwą cieśniną między Scyllą i Charybdą. Mimo fatalnych szczerb wśród profesorów i młodzieży powołał do nowego życia zgęmbiony uniwersytet, ściągając z wojska profesorów, docentów i funkcjonariuszy, ułatwiał wraz z senatem i kolegami powrót młodzieży z emigracji, uzyskiwał ulgi dla dokończenia studiów i egzaminów dla tych studentów, co służyli czynnie, starał się o wydobycie profesorów jeńców i zakładników, z taktem kierował sprawami tych, co znaleźli się na tzw. obcym terytorium. Przeniósłszy z Wiednia do Lwowa „Fundusz zapomogowy dla młodzieży akademickiej” ożywił go tu na nowo,

pomnożył swoimi staraniami – a z tego funduszu i z innych rozdał w swoim trzecieciu rektorskim przeszło 134 000 kor. zapomóg studentom głównie wracającym z wojny. Przewodniczył temu funduszowi do grudnia 1920 r., a może dłużej, aż do chwili, gdy przeszedł on w ręce nowo utworzonego Komitetu Senackiego o innych zasadach organizacyjnych. W porozumieniu z amerykańskim komitetem filantropijnym zajmuje się wysyłką chorej młodzieży do Zakopanego, dożywianiem itd. Otwiera pierwszą po wojnie wielką kuchnię studencką w Domu Akademickim im. Potockiego, która żywiła młodzież przez lata aż do reaktywowania przedwojennej Mensa Academica w domu przy ul. Łozińskiego, którego akcje filantropijne gorąco wspierał.

Wreszcie odparł jeszcze jeden ostatni, sprytnie obmyślany atak na polskość Uniwersytetu Lwowskiego, atak, który parł ku utrakwizacji.

Jak niegdyś bywali we Lwowie wojenni burmistrzowie, tak Kazimierz Twardowski może być nazwany wojennym rektorem naszej Wszechnicy. Niejednokrotnie stał w ogniu, a strzały padały z różnych stron. Słusznie więc, gdy w październiku 1917 ustępował z dowództwa, obdarował Go Senat wojennym żelaznym pierścieniem w złotej oprawie z herbem uniwersytetu na tarczy.

Trzeci okres w działalności uniwersyteckiej i społecznej prof. Twardowskiego – to praca Jego w wolnej już Polsce, od 1918 do 1930 r., gdyż w maju 1930 przeszedł na emeryturę, zaskoczony przedwczesną chorobą – i wycofał się w zacisze ogniska domowego i swej osobistej pracowni.

Nie mógł może – On, gorący patriota – ofiarować odrodzonej ojczyźnie tyle, ile pragnął; zaledwie 12 lat pracował czynnie pod jej skrzydłami. Dał jednak z siebie bardzo wiele. Przede wszystkim jako profesor i wychowawca pierwszego młodego pokolenia oswobodzonej Polski. Znakomicie sprawował w tych latach swe obowiązki profesorskie, kierując równocześnie prócz swej katedry pracownią psychologiczną i osieroconym zakładem pedagogiki. Osiągnął największą chyba ilość studentów spośród profesorów uniwersytetu naszego; musiał wyklądać w specjalnie wynajętych salach. Prowadził od 1919 konwersatorium filozo-

ficzne. Uczniów swoich oglądał na katedrach wszystkich prawie uniwersytetów polskich.

Z rokiem 1919 objął również na szereg lat kierownictwo Naukowej Komisji Egzaminacyjnej dla kandydatów na nauczycieli szkół średnich i tokowi pracy w tej Komisji nadał piętno rygoru i porządku.

Rząd Rzeczypospolitej – jak już nadmieniono – korzystał w latach wielkiej budowy i organizacji polskiego szkolnictwa niejednokrotnie z rad i opinii prof. Twardowskiego. Głos jego w Warszawie często zaważył na szali. Niemalą rolę odegrał lwowski uczyony w momencie organizacji stołecznego uniwersytetu w Warszawie, który Go później dwukrotnie powoływał do siebie, to na katedrę psychologii, to na katedrę filozofii. Twardowski został jednak wierny Lwowowi.

W latach 1918–1920 opracowywał jako referent senatu projekt nowej ustawy o szkołach akademickich, uczestniczył w najważniejszych ankietach ministerialnych – zwłaszcza w 1920 roku. Był członkiem Ministerialnej Podkomisji Pedagogicznej i Podkomisji dla Historii Wychowania i Szkół w Polsce oraz energicznym przewodniczącym oddziału tej drugiej we Lwowie.

W uniwersytecie jako jeden z najstarszych profesorów, wieloletni dziekan, rektor i senator stał się za naszych czasów prawdziwym arbitrem w sprawach ustaw, przepisów i obyczajów uniwersyteckich, jak w ogóle we wszystkich kwestiach, dotyczących szkolnictwa. Słowo Jego na Radzie Wydziału Filozoficznego, potem Humanistycznego oraz na Senacie Akademickim miało w tych sprawach często znaczenie decydujące; był mądrym i najżyczliwszym doradcą swoich dziekanów i wielu rektorów.

Nie można powiedzieć, aby usuwał się w tym czasie od pracy społecznej. Poczynając od żołnierskiej służby w Straży Obywatelskiej w czasie obrony Lwowa (1918–1919) – widział się Twardowskiego na wielu jeszcze polach pracy. Czy to w „Towarzystwie dla popierania nauki polskiej”, a później w zarządzie Lwowskiego Towarzystwa Naukowego, czy przy organizacji „Związku Polskich Towarzystw Naukowych we Lwowie”, czy w zarządzie Związku Gospodarczego Profesorów Uniwersytetu Lwowskiego. Nie uchylał się również od akcji patriotycznych i obywatelskich. On, który już w czasach wojennych z obozem legionowym współpracował z całą

gotowością. Ale nie były to już dawne czasy z lat 1895 do 1914, kiedy energia 30-, 40-, a nawet 50-letniego Twardowskiego miała charakter wprost żywiołowej siły, organizującej od razu wiele dziedzin i odcinków naszego kulturalnego życia.

Plony pracy i zasług zbiegały się teraz do Jego rąk: dowody uznania i szacunku, odznaczenia i godności naukowe, serdeczne monumenta wdzięczności uczniowskiej, doktoraty honorowe Uniwersytetu Lwowskiego i Poznańskiego.

A Jego, Twardowskiego – prócz silnego zwrócenia się ku pracy naukowej i naukowo-wydawniczej w dziedzinie filozofii – cechuje teraz jedna gorąca namiętność z dawnej epoki burzy i rozpędu: wychować młodzież uniwersytecką nowej Polski tak, jak o tym niegdyś pisał w rozprawie o *Unarodowieniu szkoły*, jak ją sam zresztą wychowywał wytrwale i z żelazną konsekwencją jeszcze w latach niewoli. Uczył nowych Polaków obowiązkowości i punktualności, karności i posłuszeństwa względem prawa i przepisu, panowania nad sobą, nieskalanego poczucia honoru i godności akademickiej; wdrażał im miłość do nauki i tej wartości bezcennej, jaką jest prawda naukowa, osiągnąta przez metodyczne badanie; uczył ich stosunku prawie kornego i nabożnego względem Dostojeństwa Uniwersytetu. Śmiem powiedzieć, że i kolegów swoich, profesorów, uczył także niejednokrotnie tego szacunku wobec uniwersytetu.

Im bardziej z biegiem lat zmniejszał się w społeczeństwie powojennym respekt dla kultury ducha i nauki, im częściej czy to ze strony oficjalnej czy ze strony młodzieży, czy innych czynników pojawiały się objawy niemądrego i karygodnego lekceważenia roli i powagi najwyższych szkół akademickich, tym donośniej brzmiał głos Kazimierza Twardowskiego, najżarliwszego z obrońców niezależności uniwersytetów, powagi i prawie świętości nauki. Mamy przekonanie, że nie był On w tej roli jakimś obrońcą okopów św. Trójcy z *Nieboskiej* Krasińskiego, ale heroldem walki o ideały nieprzemijające.

Jako testament swój zostawił Twardowski książkę *O dostojęństwie Uniwersytetu*, mowę wygłoszoną w chwili, gdy Poznań nadawał Mu we Lwowie doktorat honorowy. Powiedziano w tej mowie: *Uniwersytet, mając pełne*

prawo domagania się, aby jego niezawisłość duchowa nie była przez nikogo naruszana, mając więc także pełne prawo bronięcia się przeciw wszelkim jawnym lub podstępным zakusom poddawania jego pracy naukowej czyjejkolwiek kontroli lub komendzie, Uniwersytet ma zarazem obowiązek unikania także i ze swojej strony wszystkiego, co by mogło tę niezawisłość nadwierać lub stwarzać choćby tylko pozory ulegania jakimkolwiek wpływom i dążnościom, nie mającym nic wspólnego z badaniem naukowym i jego celem. Uniwersytet musi odgradzać się od wszystkiego, co nie służy zdobywaniu prawdy naukowej, musi przestrzegać należytego dystansu między sobą a nurtem, którym mknie około jego murów życie dnia potocznego, zgiełk ścierających się prądów społecznych, ekonomicznych, politycznych i wszelakich innych; wśród walk i zmagania się tych najrozmaitszych prądów, Uniwersytet winien trwać niewzruszenie jak latarnia morska, która wskazuje swym światłem okrętom drogę przez wzburzone fale, lecz nigdy światła swego nie nurza w samych falach. Gdyby to uczyniła, światło by zgasło, a okręty pozostałyby bez gwiazdy przewodniej.

I powiedziano tam dalej: Na zawód i stanowisko profesora i docenta Uniwersytetu splota dostojeństwo instytucji, w której ramach oni się swemu zawodowi poświęcają. Nauczyciel uniwersytecki jest przede wszystkim sługą prawdy obiektywnej, przedstawicielem jej i głosicielem wśród młodzieży i społeczeństwa. Służba to szczytna i niezmiennie zaszczytna, ale zarazem wymagająca nie tylko odpowiednich kwalifikacji intelektualnych i stosownej wiedzy fachowej, lecz także wielkiego hartu ducha i silnego charakteru.

Ten hart ducha i ten silny charakter posiadał w całej niezaprzeczalnej pełni Kazimierz Twardowski, wielki nauczyciel uniwersytecki, wychowawca polskiej młodzieży i polskiego społeczeństwa. I może dlatego mógł – na straszliwym przełomie czasów – tak wysoki i piękny ideał stawiać przed oczu uniwersytetem i jego nauczycielom.

Odseł w 1930 r. z życia uniwersyteckiego i społecznego przedwcześnie, dobrowornie, choć z wielkim żalem zrywając najserdeczniejsze kontakty. Do końca życia interesował się jednak żywo wszystkim, co

dotyczyło ukochanego, przez 30 lat z górą warsztatu Jego pracy, Uczelni naszej, Lwowa i walczącej o jaśniejsze jutro Ojczyzny.

Wiele osób, które się z Nim stykały, znało Go tylko jakby od zewnątrz. Podziwiano Jego silną wolę i energię, pracowitość, wytrwałość, umiejętność sugestywnego działania na ludzi, dokonywania rzeczy postanowionych.

Pozwolono mi w ostatnich dniach zajrzeć w Jego osobisty pamiętnik, który będzie kiedyś pierwszorzędnym źródłem do poznania człowieka, jego czasów i ludzi rówieśnych. Wygląda z tego pamiętnika człowiek o wielkiej dobroci, najczulszym sercu, oddany całą duszą życiu rodzinnemu i swoim najbliższym, zatroskany w chwilach ważnych głęboko o los swego narodu i ojczyzny, pomocny wszelkiej ludzkiej niedoli. Na spizową postać władczego wychowawcy i dostojnego, surowego profesora, jakim go znaliśmy, padają z tych zapisek codziennych jakby łagodne jakieś promienie, nadające posagowi więcej życia i wyrazu. Takim go widzieli już dawno jego bliscy, przyjaciele i uczniowie, przywiązani fanatycznie do Mistrza.

Był bowiem człowiekiem pełnym, któremu nic ludzkiego nie było obce, u którego rozum, uczucie i wola w idealnej prawie ze sobą zostawały harmonii.

W pamięci naszej *Almae Matris* zostanie Kazimierz Twardowski na zawsze jako wzór profesora i pedagoga. W pamięci społeczeństwa polskiego, a Lwowa przede wszystkim, zostanie jako obywatel i działacz, który w przedświtowych i porannych godzinach nowej Polski budował mocno i solidnie, nie oszczędzając nigdy samego siebie, zręby narodowej kultury i – jak Sokrates – rzeźbił duszę polskiego człowieka.

Serdeczne podziękowanie składamy Pani Ewie Darlewskiej, która ofiarowała nam tekst wspomnianego wspomnienia prof. S. Łempickiego o Jej Dziadku, Profesorze Kazimierz Twardowskim.

Zarazem prosimy o wybaczenie, że tekstu tego nie wykorzystaliśmy wcześniej, trudno nam jednak uporać się z coraz to bardziej piętrzącymi się trudnymi problemami, które ogarniają nas z różnych stron.

Proszę przyjąć nasze najlepsze wyrazy poważania.

Redakcja

WSPOMNIENIA PODOLSKIE (3)

Moje prywatne sprawy

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA

1 września rozpoczęła się wojna, a 17 dni później nastąpiła okupacja sowiecka. Pracowałem w Państwowym Banku Rosyjskim. Po prawie 5 miesiącach, w styczniu, zwolniono mnie za sabotaż, ale jaki to miał być, do dzisiaj nie domyślam się. Pracowałem uczciwie, a wyrzucono mnie. W marcu dostałem pracę tłumacza w Salinach, a po miesiącu w Kasie Oszczędności gdzie pracowałem aż do wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej¹. W czasie okupacji niemieckiej pracowałem tam dalej, ale już w banku niemieckim i na głodowych warunkach. Potem przeniosłem się do Legienschaftu na zarządcę majątku Czyski pod Lwowem, a dzieci pojechały do Włodka, do Pleśnej koło Tarnowa. Dyrektorem został jakiś Ukrainiec i gdy dowiedział się, że jestem Polakiem, zwolnił mnie. Przeniosłem się wtedy do Krasówki², a następnie do leżącego obok majątku w Draganówce³. Mieszkaliśmy tam do listopada 1943 roku. W czasie mordów dokonywanych przez bandy UPA wyjechalśmy do Pleśnej koło Tarnowa, gdzie mieszkał brat mój Włodek. Tam dostałem posadę kasjera w mleczarni.

W grudniu 1944 roku wkroczyli Rosjanie. Na Podolu zaczął się okres ponownej okupacji sowieckiej, następne represje i prześladowania NKWD, napady i mordowanie Polaków przez bandy spod znaku tryzubą, no i w końcu ekspatriacja ludności polskiej.

PO WOJNIE

W maju 1945 roku w Pleśnej zostałem dyrektorem w przedsiębiorstwie zajmującym się mieniem poniemieckim, a w lipcu zostałem powołany z powrotem do Banku Gospodarstwa Krajowego w Katowicach, zaś następnie przeniesiono mnie na stanowisko prokurenta do oddziału BGK w Wałbrzychu. W 1951 roku zwolniłem się, gdyż ówczesny dyrektor oddziału Czesław Fabian, którego w czasie okupacji niemieckiej ukrywałem u siebie, zaczął mną pomiatać. Przeniosłem się do pracy w uzdrowisku w Szczawnie koło

Wałbrzycha. Tu pracuję do chwili obecnej, tj. grudzień 1956 rok.

W tym miejscu Aleksander Świstun zakończył pierwszą część wspomnień wynikających z przeżyć ojca i swoich własnych. Określić je można, jako wspomnienia rodu autora „po mieczu”. Druga część wspomnień dotyczy przeżyć wynikających z kontaktów rodzinnych „po kądzieli”, czyli ze strony matki – Heleny Fedorowiczówny.

RODZINA FEDOROWICZÓW

Dzieje rodziny Fedorowiczów sięgają bardzo dawnych czasów, ale zacząć je opisywać od mego pradziadka Andrzeja. Pradziadek Andrzej Fedorowicz (1778–1855) mieszkał w Żerebkach koło Tarnopola. Był właścicielem wielu okolicznych majątków. Były to czasy napoleońskie. Gospodarowanie było intratne, a pradziadek głowę do interesów miał dobrą. W czasie napoleońskich wojen, od uciekających ziemian, za bezcen kupował sterty zboża i sprzedawał je z ogromnym zyskiem armii napoleońskiej, będącej w pochodzie na Rosję. Chociaż miał już kilka majątków, to w czasie wojny i później dokupił jeszcze kilka i w sumie miał około 30 tys. mórg ziemi, lasów itp. Był magnatem całą gębą. Miał córkę i czterech synów, w tym Antoniego – dziadka Wiśki, i mego dziadka – Alojzego. Synom zostawił ładne majątki. Alojzy otrzymał Żerebki, Magdalcówkę i Mytnicę – razem około 3900 mórg ziemi, w tym 600 mórg lasów. Antoni dostał Hałuszczyńce i Kokoszyńce razem około 3 tys. mórg. I tak każde z dzieci dostało wystarczającą ilość ziemi, która zapewniała im wytworne życie.

Mój dziadek Alojzy z Żerebek był dobrym gospodarzem, powszechnie szanowanym obywatelem, a nawet wybrany był marszałkiem powiatu skałackiego. Marszałkiem powiatu zostawał zawsze niezależny, bogaty i mądry człowiek. Urząd był bezpłatny, a wybierali go mieszkańcy powiatu.

Marszałek był gospodarzem powiatu, pod którego opieką były szkoły wiejskie, gościńce powiatowe, mosty, szpitale. Dziadek był też bardzo gościnny, założył orkiestrę w Skalacie. W owych czasach nie było radia ani gramofonów, a często odbywały się różne zjazdy, kuligi, wesela, imieniny, na które muzyków sprowadzać trzeba było aż z Tarnopola. W Skalacie była taka „echt” żydowska kapela, ale grała jedynie żydowskie kawałki. Dziadek mój jednego z członków tej kapeli (nazywał się Nusym) posłał na naukę muzyki, a potem na studia do Lwowa. Płacił na utrzymanie, a po paru latach sprowadził Nusyma do Skalatu i kazał mu założyć orkiestrę. Gdy dziadek usłyszał, jak gra ta nowa orkiestra, powiedział: *Stuchaj, Nusym – jak długo ja będę żył i po mojej śmierci też, masz zawsze przyjeżdżać do Żerebek i w dzień wigilii grać kolędy*. Jak pamięć moja sięga – Nusym zawsze w dzień wigilii stawiał się o piątej po południu ze swoją orkiestrą i cichutko zaczynał – *W żłobie leży*, a potem przez cały wieczór grał inne kolędy, których z zachwytem słuchaliśmy. Po śmierci dziadka i babki w Żerebkach został wuj Aloni (Alojzy), który musiał je sprzedać. Ale w dzień wigilii, gdy w domu był już tylko sam wujek, przyjechał Nusym i zagrał *W żłobie leży*. Kiedy wuj powiedział, że już nic nie ma i nie może mu zapłacić, Nusym ze łzami w oczach odrzekł: *Pan marszałek tak mi kazał i to dla niego grałem! Ja nic nie chcę, zagram tylko W żłobie leży i wrócę do Skalatu. Więcej nie mam tu, po co przyjeżdżać*. Zagrał, zapłakał i odjechał. Syn jego Dudio założył drugą orkiestrę w Podwołoczyskach, a wnuki byli znanymi muzykami. Wolształówna to pierwsze skrzypce w orkiestrze operowej we Lwowie.

Żerebki! Wieleż to wspomnień z dziecinnych lat wiąże się z tą nazwą. Żerebki to wieś koło Skalatu, położona u stóp pasma górskiego Miodobry albo Toutry, które wznoszą się nad Płytą Podolską 80 do 100 metrów, a najwyższy szczyt ma wysokość 400 m n.p.m. Dawniej rosły tam wspaniałe dęby i lipy, stąd nazwa Miodobory. Potem, już za mojej pamięci, ziemianie ratując finanse wycinali lasy i pozostały tylko goliźny, chociaż niektóre partie zachowały się jeszcze, zwłaszcza w okolicy Zbaraża i Grzymałowa. Skąły wapienne potworzyły fantastyczne formy, liczne pieczary, a że przez



te okolice wyznaczony był jeden z trzech głównych szlaków najazdów tatarskich, nazywany Czarnym Szlakiem, toteż w tych pieczarach natrafiano na duże ilości znalezisk ze średnich wieków.

Na przykład u dziadka w Żerebkach na Skalce pod ogromnym głazem była pieczara, do której wchodziło się na czworakach. Zaraz za wejściem była wykuta w kamieniu studnia głęboka na około 20 m i o średnicy 3 do 4 metrów. W sklepieniu nad otworem studni, po lewej stronie był otwór o takiej średnicy, że mężczyzna mógł wczołgać się tylko na brzuchu. Takim korytarzem trzeba było czołgać się ponad 4 metry i nagle otwierała się przestrzeń, sala o wysokości kilku metrów, szeroka około 6 do 10 metrów, i nie wiadomo jak długa? Mówią, że aż do zbaraskiego zamku. Mój wuj, który tam wchodził, ze świeczką, szedł przez godzinę, ale wrócił, w obawie, że świeczka się wypali. Bał się wracać w ciemności, bo chociaż podłogę wyrównane ręką ludzką, zawalone było głazami. W jaskini tej wuj Włodzimierz Fedorowicz znalazł pudełko ze srebrnymi pieniążkami z wizerunkiem bogini orła z datami 1543 i 1569, kilka złotych talarów z trudno czytelnymi napisami oraz jakieś pordzewiałe miecze, topory, kości zwierzęce, wszystko to widocznie z czasów, gdy ludność chowała się tam przed Tatarami. W ogóle pod Miodoborami często natrafiano na różne znaleziska, np. chłop w czasie orki za skibą wydobył kilkanaście złotych talarów polskich, a gliniany garnuszek rozbił lemieszem. Dziadek na folwarku stawiał ogrodzenie z kamienia, bo kamień był

swój, darmowy i przy kopaniu fundamentów robotnicy natrafili na sklepienie z kamienia. Donieśli o tym dziadkowi. Dziadek popatrzył, podumał i powiedział: *a może tam ktoś kiedyś został pochowany, nie ruszajmy go*. I stare sklepienie, które może kryło jakieś historyczne pamiątki, zasypało. Na górze na skałkach były głazy wykute w kształcie ławek, a na dwóch głazach były wykute tabliczki, na których znajdował się jakiś napis nieznanymi literami.

Pewnego razu, gdy dziadek siedział na górze i patrzył jak w dole na łanie robotnicy siali i bronowali, przystąpił do niego jakiś Niemiec i zaproponował kupno tych tablic. Dziadek nie zgodził się, ale na drugi dzień rano już nie było ani Niemca, ani tablic. W ogóle widać, że historia toczyła się przez te stopy i znaczyła swą drogę „czarnym szlakiem tatarskim”, kopcami orientacyjnymi sypanymi na najwyższych miejscach w okolicy, aby z jednego kopca widać było drugi, z drugiego trzeci itd. Były to punkty orientacyjne dla czambułów tatarskich napadających lub powracających z napadów. Dużo też łez musiało być wylanych na tych ziemiach i dużo krwi przelanej, bo bławatków i maków nie brak po polach i miedzach. Wiele śladów tatarskich, być może dezenterów, którzy zostali na tych ziemiach i zachowali swoje nazwiska, można znaleźć wśród chłopów pod Miodoborami, jak np. Kich, Mormol, Bachmaj, Czantaj i inni.

Ale nie tylko tatarskie ślady ta ziemia na sobie nosiła, niejedna zawierucha wojenna w Polsce rozgrywała się na tych bogatych „mlekiem i miodem płynących” ziemiach. Opowiadała mi matka o wydarzeniu, które może trochę koloryzowane, było w efekcie prawdziwe. Śniło się dziadkowi, że jakieś trzy postacie, raczej szkielety, proszą o pochówek ich na cmentarzu. Sen mara, dziadek nie reagował na to, ale gdy sen powtórzył się drugi i trzeci raz, dziadek zawołał dwóch chłopów i poszedł kopać w miejscu wskazanym we śnie. Po odrzuceniu kilku warstw ziemi, odkopali trzy skute szkielety, dobrze zachowane, jakiś hełm i kilkanaście pieniędzy szwedzkich. Podejrzewano, że jeszcze w czasie Potopu (szwedzkiego) jacyś żołnierze aż tu zjechali, tu ich chłopci załukli, że to „niewierne Lutry”, i w rowie przy starym cmentarzu pochowali. Na cmentarzu tym nie było już śladu mogli ani żadnych krzyży, ale

że ziemi było dosyć, a cmentarze u ludności były w poszanowaniu, miejsce to ogrodzono głębokimi fosami, aby było grobów nie pa-skudziło. Może to bajka – fantazja, ale faktem jest to, że wykopano trzy skute szkielety i pochowano je na cmentarzu, a pieniądze odesłano do muzeum we Lwowie.

Dziadek Alojzy z Żerebek dobrze gospodarował, dorobił się majątku, kochał przyrodę i mimo że miał na Miodoborach kilkaset morgów lasów, to jeszcze na gorszych gruntach sadził nowe lasy. Jeden z nich nazywany był Czołhańszczyzną, liczył około 20 ha i w tym lesie jeszcze ja zbierałem grzyby i maliny. Potem, po śmierci dziadka, synowie lasy wyrąbali, zostały gołe skały i gdzieś niedługo stare, pokrzywione dęby, które nie nadawały się na materiał do przeróbki, bo pełno było na nich guzów, narośli i sęków, które nie zachęcały do wycięcia ich nawet na opał. Zachowały się te stare dęby i świadczyły, że był tu kiedyś las, w którego cieniu grasowały wilki i dziki. Chłopi pługami podpychali się coraz wyżej, ale na skalnej ziemi zbierali tylko kiepski owsik, wreszcie pola te na pastwiska zamieniono, które spalone słońcem też nie przedstawiały żadnej wartości i tylko rude pasmo gór było widoczne ze znacznej odległości. Gdzieś niedługo zostały jeszcze resztki pięknych lasów, zwłaszcza na południu, koło Rasztowic⁴ za Oknem nad Zbruczem⁵. Tam Miodobory miały już charakter dzikich gór. Kompleks lasów mierzyło się na tysiące hektarów, a brak dróg nawet partie prastarego lasu zachował. Przez te lasy prowadziła jedynie stara droga, którą wyrąbał Sobieski, gdy siedł na Kamieniec Podolski, a nawet zachował się most przez niego zbudowany i do dzisiaj używany. W górach, w bloku skalnym była wyrąbana chatka z kamienną pryczą, robiła na nas wrażenie, w niej przed wiekami żył pustelnik, a potem mniej świętobliwi jego naśladowcy. Ostatni z nich, który leczył ziołami i udzielał porad młodym, ładnym dziewczętom, jagody i kozłonki zamieniał na śmietanę i kury.

W tych to lasach, w okolicy Rasztowic, z moim bratem byłem na jednym z polowań na dziki. Było to pod koniec lutego 1912 roku. Dzień był piękny, prawie wiosenny. Zboczami płynęły strugi wody, śniegu już prawie nie było, ptaszki śpiewały. Stanęliśmy na stanowiskach. W rogu miotu ja stałem, a 50 kroków obok, na linii stał mój brat, potem

starosta rzeszotarski i inni myśliwi. Strzelać było wolno tylko do dzików i lisów. Z bratem mieliśmy dobre dubeltówki i oprócz tego manlichery myśliwskie. Po chwili ruszyła nagonka, a po paru minutach usłyszałem trzask łamanych gałęzi i z gęstwiny krzaków wysunęła się długa morda dzika. Przeczulałem, że jest ich więcej, ale nic nie widziałem prócz tego jednego ryja, który zza grubego dębowego pnia fukał, węszył i badał. Ścisnąłem swego manlichera i już w myśli widziałem tę jatkę, którą za chwilę razem z bratem sprawimy. Brat strzelał sprawnie, ja też nie najgorzej, ale dzik chyba mnie zwęszył, dość, że w sekundzie zawrócił i gwałtem ruszył wzdłuż linii. Słyszę strzał brata, ale nie z manlichera, potem strzelał starosta i Bortnik i po chwili widzę, jak w odległości około 200 metrów przez linię przeskakuje ogromny dzik, a za nim sypie cała chmara, mniejszych i większych warchlaków. Trwało to kilka sekund. Po minucie zapanowała cisza, nadal śpiewają ptaszki i jest wiosna! Schodzimy ze stanowisk. Okazało się, że wszyscy strzelali do największej sztuki. Brat zmienił manlichera na 16-calową dubeltówkę, a pozostali myśliwi strzelali 12-calowymi. Szukamy farby. Jest! I 100 kroków za linią leży ogromna samura. Oglądają i orzekają, że śmiertelna kula jest z szesnastki, więc przyznali memu bratu honorowe trofeum, bo upolowaną zwierzynę zabierał gospodarz. Ja w ogóle nie strzeliłem, jednak wrażenie zostało na całe życie. Ojciec, który nie był myśliwym, zawsze mówił: *że też wam chce się jechać 50 kilometrów i albo zabić, albo nie zabić zająca, wołałbym kupić wam tego zająca niż męczyć siebie i konie*. Jednak nigdy nie żałował na naboje czy na kupno broni, której mieliśmy cały skład, i to broni pierwszorzędnej, z lunetami, specjalnie ostrzelanej i z pedanterią pielęgnowanej.

Polowania te bardzo krytykował mój „zimny” dziadek Kazimierz Stopczyński, stary kawaler, brat mojej babki z Żerebek, doktor prawa i jak na owe czasy był bardzo mądrym człowiekiem. Był właścicielem majątku Dorofijówka nad Zbruczem, nigdy nie gospodarował, hodował tylko piękne konie, polował, dużo jadł i potrafił wypić morze wódki czy piwa. On to właśnie mówił, że jesteśmy tylko rzeźnikami, bo strzelamy po 100 zające, a dawniej... i opowiadał jak szło się do lasu, to każdy stawał na prze-



smykach, gajowi zapuszczali gończaki (psy), a myśliwi tymczasem schodzili się grupkami i dla rozgrzewki z rąk do rąk podawali sobie pełne manierki. A kiedy usłyszeli gon psów, to każdy leciał na swoje stanowisko. Wtedy sypał proch do lufy, potem konopne pakuły przybijał „pucstokiem”, z woreczka sypał miarkę śrutu, znów pakuły i kapiszonówka była gotowa do strzału. Dużo strzelali i w końcu triumfalny okrzyk: *Jest!* Wtedy łapało się psy i całe towarzystwo schodziło się na *jednego głębszego, na trupa*. Biedny zajączek nawet nie przypuszczał wiele manierek wypito na jego cześć, a przy wypróżnianiu manierek opowiadano przeróżne historie. W tym czasie gajowi zapuszczali psy na nowe rewiry. Po kilku opolowanych rewirach, zabitych było 5 zające, czasem lis, ale za to nasłuchiwało się wiele dowcipów, opowiadań i w jakich humorach panowie wsiadali do sań. Wracało się do gościnnego gospodarza, gdzie myśliwych oczekiwały piękne panie i jeszcze piękniejsze zakąski i kolacyjki. To były polowania! *Ej, chłopcy!* – zwracał się do nas – *wy to jeszcze chłopcy, ale inni? Do mnie, gdy przyjeżdżało dziesięciu panów, to kupowało się 10 kg mięsa i 10 litrów wódki, a teraz na dziesięciu kilogram mięsa i litr wódki za dużo. Co tu gadać, inne czasy były. Ale idę już modlić się* – i przy tych słowach wstawał od stołu, podnosił opadające portki, bo schudł, a ważył około 130 kg i szedł do swego pokoju.

Jednak był dobrym politykiem, pogląd miał trzeźwy i w 1914 roku po bitwie nad Marną powiedział od razu: *Niemcy wojnę przegrały, bo jeżeli całą potęgą ruszyli i nie wygrali Marny, to już koniec z nimi i Polska musi powstać, dlatego lżej mi będzie umie-*

rać. W 1915 roku zachorował, leżał w szpitalu w Skalacie, gdzie miał zapewnione miejsce. Gdy budowali szpital, dziadek ofiarował 10 tys. koron z zastrzeżeniem, że przyjmą go na leczenie za darmo i na tak długo, jak długo będzie trzeba. Po dwóch tygodniach spokojnie umarł i tam na cmentarzu w Skalacie został pochowany. Wieczorami dużo nam zawsze opowiadał: o moim dziadku z Żerebek i dziadku mojej żony Antonim z Hałuszczyniec, o różnych swoich przeżyciach oraz o epizodach, które charakteryzowały podolskich szlagonów (typowy przedstawiciel prowincjonalnej szlachty).

W czasie wybuchu I wojny światowej wtedy, gdy moja mama z siostrą wyjechały do Wiednia, ja z ojcem i bratem zostaliśmy w Poznaniu. Był tu stojący na pagórku nieduży, murowany dom, kryty blachą, a 50 metrów poniżej była oficyna, w której zazwyczaj mieszkaliśmy z bratem. Jednak dla bezpieczeństwa przenieśliśmy się do górnego domku, chociaż różnego kalibru broni mieliśmy bardzo dużo, dwa manliche-ry z lunetą, dubeltówki, sztucery, floberty itp. Jednego dnia po obiedzie, kilka dni po wybuchu wojny, zjawił się u nas brat babki Kazimierz Stopczyński, który z Podwołoczysk piechotą przyszedł do nas, a miał już wtedy 74 lata! Był wysoki, barczysty, czarny jak kruk, z ogromnymi faworytami i bardzo inteligentny. Całe życie spędził na swojej wsi Dorofijówce, w swojej bibliotece, nie bardzo zajmując się uprawą ziemi. Następnie sprzedał majątek, długi spłacił, a za resztę kupił domek w Podwołoczyskach i przeżywał swój skromny kapitalik. Ten to dziadek, gdy pierwsza potyczka miała miejsce nad granicą w Podwołoczyskach, wziął z piwnicy 5 glinianych gąsiorków z pitnym miodem po swoim dziadku, kuferek z bielizną, wszystkie inne rzeczy pozostawił i przyszedł do nas. Ojciec bardzo ucieszył się, bo politykowaniu nie było końca, a że słowianofilami byli obaj, więc rozbijali Austrię i Niemcy, wskrzeszali Polskę, a losy wojny i zmienne koleje przeżywali całym sercem. Do ojca zwracał się *konsyliarzu* (przestarzały, dziś żartobliwie lekarz), a ojciec do niego *wuju*. Obaj ważyli po ponad 130 kilogramów, to nikt się nie dziwił, że w chwilach wolnych od polityki układali jadłospis na obiad. Wieczorami zaś, gdy wszyscy siedzieliśmy przy stole, opowiadał rodzinne epizody, miłostki,

interesy, a że miał dar wymowy, to chętnie go słuchaliśmy. Pamiętam takie opowiadanie:

Dziadek mój lubił przyrodę, zimą karmił zające i sarny, nie tyle dla celów myśliwskich, ale raczej z ambicji dla podkreślenia, że w jego lasach jest dużo zwierzyny. Pewnego razu, gdy w słońcu siedział na ganku i palił fajkę na wiśniowym, długim co najmniej na pół metra cybuchu, przyszedł chłop i mówi: *Sława Bohu*, a dziadek odpowiada *Sława na wiki* i pyta, czego chce. Chłop wyciąga z worka małe sarniątko, dopiero co urodzone i prosi, aby dziadek dał mu na „mohorycz” tzn. na piwo. *Dobrze, dobrze, chodź do mieszkania*, a gdy chłop wszedł, zbił go tym cybuchem za to, że zabrał takie maleństwo, które jeszcze chodzić nie umie. Jednak po chwili pożałował chłop, więc dał mu koronę i kazał odnieść sarniątko do lasu. Chłop był zadowolony, bo za koronę cały dzień musiałby pracować. Brat mojego dziadka Alojzego, a dziadek mojej żony – Antoni, także dobrze gospodarował, skromnie żył, ale miał swoje dziwactwa. Jednego roku zauważył, że ktoś systematycznie kradnie zboże ze stodoły, Mimo poszukiwań złodzieja nie znaleziono, a zboża w zasieku wciąż ubywało. Wówczas dziadek postanowił sam zadziałać. Schował się w krzaki koło stodoły i wkrótce zauważył, jak ktoś ukląkł pod ścianą stodoły i przez mały otwór wysypuje do worka zboże. Dziadek po cichu wyszedł i z krzykiem skoczył na kark złodziejowi: *Mam cię draniu!* Złapany ukląkł na kolana i woła: *Proszę wielmożnego pana, ja dla swoich dzieci, a mam tak jak wielmożny pan ośmioro, a teraz na przednówku głodują*. Wtedy dziadek kazał mu schylić się, zarzucił mu worek na plecy i pokazał mu, którądy ma cicho iść, aby go stróż nocny nie złapał.

Pamiętam jeszcze jeden z tych licznych epizodów opowydanych przez dziadka. Opowydał, mój brat, świętej pamięci Piotr, był wyższy ode mnie o głowę i odpowiednio silny. Pewnego dnia zimą, ubrany w ciężki kozuch, jechał sańmi do Tarnopola. Szosy wtedy nie było, jeździło się polnymi drogami, a zimą drogami na przełaj. Droga wiodła przez lasy, w których było wiele wilków i dzików, a w dodatku liczne bandy rabusiów. Za wsią, za karczmą wyskakują rabusie z krzykiem *Dawaj pieniądze!* Piotr odpowiedział, że pieniądze ma w bluzie i musi zdjąć kozuch. Wylazł z sań, zdjął kozuch i futerko, został tylko w bluzie i jak

nie wyróżnie jednego w pysk, ten w rowie wylądował, wyróżną też drugiego, który też do rowu wpadł, trzeciemu wywinął rękę, a czwarty jak zobaczył, co się dzieje, to uciekł do lasu. Piotr ubrał się i już spokojnie dojechał do Tarnopola. Po kilku miesiącach wracał z jarmarku i znów banda opryszków zatrzymuje konie krzycząc: *Dawaj pieniądze*, ale w tym momencie jeden z poszkodowanych w zimie rabusiów poznał Piotra i zawołał: *Uciekajcie chłopcy, to Petryk jedzie*, a Piotr bez wypadku wrócił do domu. Ale to był mężczyzna – na obiad jadł kurę albo kilo mięsa, nie to, co dzisiejsi chłopcy. Tak zawsze kończył swoje opowiadania twierdząc, że kiedyś było inaczej.

O Piotrze powiedział nam jeszcze jeden epizod, jak to pewnego razu końmi dwa dni jechał do Lwowa na karnawał. Kolej jeszcze nie było. Żelazna kolej zaczynała się dopiero od Lwowa w kierunku na Kraków. Po balu wracał przez lwowski rynek i koło jednej studni zatrzymuje go dwóch batiarów z pytaniem, która godzina. Piotr odpowiada, że druga w nocy. A oni na to – *Pokaż, czy masz zegarek?* Wtedy Piotr już nie czekał na nic, tylko złapał jednego i wrzucił do basenu, koło studni. Widząc to drugi batiar uciekł wołając: *A niech ci dunder ściśnie*. Tak to czasami siła fizyczna przydaje się, ale wtedy byli inni ludzie, nie to, co dzisiejsza młodzież. I tym sloganem, jak zwykle zakończył swoje opowiadanie.

Ex oriente lux – dokończenie ze s. 9

w latach trzydziestych współtwórca Centralnego Okręgu Przemysłowego, dyrektor Państwowych Fabryk Związków Azotowych w Chorzowie i Mościcach.

Dokończenie w następnym numerze

PRZYPISY

- ¹ *Lwów – miasto, społeczeństwo, kultura*. Studia z dziejów Lwowa pod red. H.W. Żalińskiego i K. Karolczaka. Tom III. Kraków 1996, 1998; O. Czemer: *Lwów na dawnej rycinie i planie*. Ossolineum 1997, ss. 269; R. Cielątkowska: *Architektura i urbanistyka Lwowa II Rzeczypospolitej*. Gdańsk 1998, ss. 387; Stanisław Niciejka: *Łyczaków – dzielnica za Styksem*. Ossolineum 1998, ss. 570; Leszek Podhorodecki: *Dzieje Lwowa*. Warszawa 1993, ss. 286; Barbara Gierszewska: *Kino i film we Lwowie*. Kielce 2006, ss. 428

PRZYPISY

- ¹ Niemiecki atak na Związek Radziecki bez wypowiedzenia wojny w dniu 22 czerwca 1941 roku był początkiem tzw. operacji „Barbarossa”
- ² Wieś w powiecie tarnopolskim, znana od 1565 roku, tu w kwietniu 1945 roku banderowcy zamordowali 4 Polki.
- ³ Wieś 4 km na południowy zachód od Tarnopola, do II wojny światowej w zdecydowanej większości zamieszkała przez Polaków, tu w 1945 roku zostało zamordowanych 8 Polaków bezpośrednio po kazaniu księdza greckokatolickiego Iwana Diducha, który denerwował się, że nic się we wsi nie dzieje, a powinno paść przynajmniej 100 Polaków
- ⁴ Wieś Rasztowice, tu urodziła się młodopolska poetka ze środowiska krakowskiego Kazimiera Zawistowska z domu Jasieńska (1870–1902), pisała melancholijne wiersze, sławiące między innymi uroki podolskiego krajobrazu, publikowała pod pseud. Ira,
- ⁵ Wieś znana od 1440 roku, w 1850 roku majątek w Oknie nabył Jan Fedorowicz, działacz społeczny, uczestnik powstania listopadowego, później deputowany do wiedeńskiej Rady Państwa. Po Janie Fedorowiczu majątek objął jego syn Władysław (1845–1918).

* WYJAŚNIENIE DLA CZYTELNIKÓW

Stosowaliśmy dotąd nazwisko autora Wspomnień podolskich w wersji Świstun. Zwrócono nam jednak uwagę, że prawidłowo brzmi ono Świstun. Od tego więc numeru stosujemy poprawną wersję.

- ² Stanisław Wasylewski: *Lwów*. Poznań 1931, s. 100
- ³ Leszek Podhorodecki: *Dzieje Lwowa*. Warszawa 1993, s. 99
- ⁴ Tamże s. 101
- ⁵ Urszula Jakubowska: *Lwów na przełomie XIX i XX wieku*. Warszawa 1991, ss. 212
- ⁶ Jerzy Myśliński: *Prasa polska w Galicji w dobie autonomicznej (1867–1918)* w: *Prasa polska 1864–1918*. Warszawa 1976
- ⁷ m.in. Jacek Szczerbiński: *Środowiska inteligencji lwowskiej w latach 1831–1867*. „Biuletyn Polonistyczny” 1991 nr 3/4, s. 120–129
- ⁸ Józef Wiczkowski: *Lwów jego rozwój i stan kulturalny*. Lwów 1907
- ⁹ Józef Wiczkowski; tamże s. 174
- ¹⁰ Cytuję dalej za L. Podhorodeckim: *Dzieje Lwowa*. Tamże s. 132–133
- ¹¹ Zbysław Popławski: *Dzieje Politechniki Lwowskiej 1844–1945*. Ossolineum. 1992, ss. 363

Marta Walczewska

Początki sportu we Lwowie

Wspomnienie rodzinne

Z czasów mego dzieciństwa we Lwowie pamiętam nazwisko Piaseckich – rodziny, z którą od kilku pokoleń przyjaźnili się Jedlińscy – rodzina mojej matki, Zofii z Jedlińskich Breitowej. Jej brat – dr Jacek Jedliński – w swoich wspomnieniach pisał:

Z trzema głównie domami Rodzice pozostawali w zażytych bardziej stosunkach: Włodzimirskich, Piaseckich i Pietrzyckich. Z domem Piaseckich łączyły nas węzły serdecznej sympatii; z Geną, Staszkiem i Władkiem bawiliśmy się wspaniale, przy czym najatrakcyjniejszym punktem niedzielnego popołudnia były zabawy w sali dla gimnastyki ortopedycznej na ul. 3 Maja 10. [...] Aura domu Piaseckich była nieco inna. Kult dla gór, Zakopanego i Krakowa, problemy sportu i zdrowia. Oto ułamki rozmów starszych, które zdołaliśmy zasłyszeć. [...] Zaginęły niepowrotnie rodzinne albumy fotograficzne, jakże piękne vademecum wspomnień. Uchodzą zawodnej pamięci obrazy, zdarzenia, ludzie... Toną jakby w dalekiej, coraz grubszej mgłę... Ale, czyż z dniem każdym w tę dolinę mgieł i cieni nie wstępujemy my sami?

Eugeniusz Piasecki przyjaźnił się z moim dziadkiem Ludwikiem Jedlińskim – dyrektorem Towarzystwa Asekuracyjnego „Florianka”, gimnastykiem, instruktorem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Jedlińscy wychowali i wykształcili ośmioro dzieci. Dwoje umarło w dzieciństwie. Moja matka Zofia była najmłodszym, dziesiątym dzieckiem.

Piaseccy mają wielkie zasługi dla rozwoju sportu we Lwowie na początku XX wieku. A były to lata, kiedy zajęcia sportowe w szkole były widziane bardzo niechętnie. Najwyższa Magistratura Szkolna nie pozwalała na przynależność uczniów do klubów sportowych. Wenanty Piasecki, lekarz, był jednym z założycieli „Sokoła” i przyjacielem doktora Henryka Jordana – pioniera polskiego sportu, twórcy „ogródków”.

Syn Wenantego Piaseckiego – Eugeniusz, też lekarz, orientował się w najlepszych systemach wychowania fizycznego. W wyniku prowadzonej przez niego polityki z władzami szkolnymi wprowadzono sport i grę w piłkę do szkół. W 1900 r. w „Gazecie Sportowej” pisano o meczu futbolu w IV Gimnazjum we Lwowie, gdzie sędzią rozjemczym był pan dr Eugeniusz Piasecki.

W 1903 roku powstało Kółko Footballowe „Sława”, które przekształciło się w klub pod nazwą „Czarni” (1906). W 1904 r. powstała organizacja już nie szkolna, ale krajowa – Towarzystwo Zabaw Ruchowych Młodzieży – TZR. Jego prezesem był dr Henryk Jordan. Związek miał spore środki materialne. Dr Jordan wyprowadził młodzież z sal gimnastycznych na powietrze – do ogródków z boiskami, sprzętem sportowym i urządzeniami.

Lwowski „Wiek Nowy” pisał w 1904 roku: *Z uczniów IV Gimnazjum powstały pod kierownictwem dra Piaseckiego dwa kółka, które grywają na Placu Powystawowym w każdą niedzielę.* W tym samym roku urządzono zawody między uczniami IV Gimnazjum ze Lwowa a III Gimnazjum krakowskim w Parku Jordana. Grano wtedy piłką „uszatą” – ze skóry, z uchem, za które łapało się ręką i ciskało do współpracownicy. Z inicjatywy E. Piaseckiego założono w 1907 roku w IV Gimnazjum Klub – tzw. KGS – Klub Gimnastyczno-Sportowy, który stał się załazkiem „Pogoni”. Uczniowie-sportowcy z „Pogoni” przyjęli barwy Lwowa – nosili czerwone spodenki i niebieskie koszulki. W 1907 r. „Pogoń” wydzierżawiła tor z kawałkiem murawy i boiskiem. Była pierwszym klubem, który miał plac do gry na stałe.

Towarzystwo Zabaw Ruchowych przeniosło się do parku, wyposażonego w infrastrukturę sportową. Dr Jordan na widok tego obiektu powiedział: *To jest to, o czym myślałem i czego chciałem, a oni mi tak mój krakowski park spartaczyli.*

We Lwowie powstają coraz to nowe kluby. W 1909 roku powstaje Polski Związek Sportowy, federujący kluby. Prezesem Klubu – organizacji sterującej polskim sportem w Galicji – został dr Eugeniusz Piasecki.

W tym czasie w Krakowie istniała już „Cracovia”, drużyna, w której grał 16-letni wówczas Józef Kałuża.

W 1911 roku powstał Polski Związek Piłki Nożnej dla Galicji. Był on członkiem Austriac-

kiego Związku Piłki Nożnej. Prezesem został inż. Ludwik Chriestelbauer ze Lwowa. Lwów stał się stolicą piłki nożnej do wybuchu I wojny światowej.

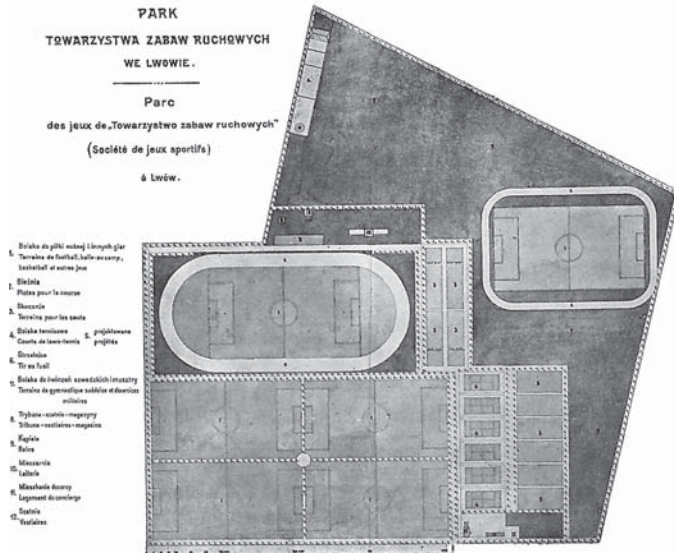
W 1912 r. dr Eugeniusz Piasecki został honorowym członkiem Klubu „Pogoni”. Wydał on w tym czasie pierwszy podręcznik skautingu i wymyślił polską nazwę Harcerstwo, wziętą z języka węgierskiego.

Zaszczytny tytuł honorowego członka Klubu otrzymał też p. Ludwik Kuchar – z rodziny pochodzenia węgierskiego – polski patriota. Jego sześciu synów zostało wybitnymi sportowcami, a z nich największym był czwarty, urodzony w roku 1897 – Wacław. Mówiono, że pan Ludwik Kuchar był najbardziej usportowionym ojcem polskiego sportu. On, wraz z żoną Ludwiką, całym sercem wspomagali rozwój sportu.

W latach 1921–22 rozkazem Ministra Spraw Wojskowych powołano Centralną Wojskową Szkołę Gimnastyki i Sportu w Poznaniu. Szkoła współpracowała ze Studium Wychowania Fizycznego przy Uniwersytecie Poznańskim, którego rektorem był dr E. Piasecki. Wacek Kuchar został powołany na instruktora zajęć gimnastycznych. Wystąpił też w poznańskiej „Pogoni”, strzelając bramki. W 1929 r. powstał w Warszawie na Bielanach Centralny Instytut Wychowania Fizycznego (CIWF – poprzednik Akademii Wychowania Fizycznego). Działające od 10 lat Studium, założone przez dra Eugeniusza Piaseckiego – pierwszego prezesa „Pogoni”, było wzorem dla nowego Instytutu.

Przyjaźń dwóch rodzin przetrwała mimo przeniesienia się Piaseckich do Poznania, mimo trudnych czasów wojennych i ekspatriacji ze Lwowa.

Wuj Jacek Jedliński w 1939 r. z Wojskiem Polskim znalazł się w Rumunii, gdzie organizował szkoły dla polskich dzieci na uchodźstwie. Tam dla swoich synów – Ryszarda i Jerzego – pisał wspomnienia. W 1945 r., po zakończeniu wojny, nie mógł już wrócić do swego domu we Lwowie. Osiadł w Makowie Podhalańskim (mówił: *Tu są góry podobne, jak nasze huculskie*). Założył gimnazjum, był jego dyrektorem. Pomógł mojej matce,



która ekspatriowana ze Lwowa z trojgiem dzieci szukała nowego miejsca do życia. Wuj przyjął nas do swego małego mieszkania służbowego w Makowie. Nawiązał kontakt z przyjacielem z dzieciństwa – Władysławem Piaseckim, synem Eugeniusza.

Mgr Władysław Piasecki (1901–1978) był absolwentem Uniwersytetu Poznańskiego, pracownikiem m.in. Biblioteki Zakładu im. Ossolińskich we Lwowie, Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, a od 1949 r. kierownikiem, a następnie dyrektorem Biblioteki Głównej AGH w Krakowie. Zainicjował i nadzorował budowę nowego gmachu Biblioteki AGH. Był autorem pracy *Zwężły wstęp do bibliotekarstwa* (1968). W 1987 roku budynkowi Biblioteki Głównej AGH nadano imię Władysława Piaseckiego, doceniając rolę wieloletniego jej dyrektora, który wyznaczył główne kierunki rozwoju biblioteki na następne lata.

Żona Władysława Piaseckiego, zwana przez nas Ciocią Lilą, bywała gościem w naszym domu. Syn Piaseckich – Marek, starszy ode mnie o parę lat, zajmował się fotografią artystyczną i malarstwem. Wyjechał na stałe do Szwecji. Oboje państwo Piaseccy, jego rodzice, spoczywają na krakowskim cmentarzu w Batowicach.

W liście z 1963 roku wuj Jedliński dziękuje za gratulacje otrzymane z okazji 40-lecia pracy kulturowo-oświatowej Władysława i pisze: *Wracam tklivym wspomnieniem do świetlnych lat na wspólnych zabawach spędzonego dzieciństwa! Ten drogi Lwów i ten przezacny, przemity dom Doktorostwa Eugeniuszostwa Piaseckich! Tam umiem szukać początków moich późniejszych – literacko-artystycznych zamiłowań! [...] To też zasługa moich Rodziców, którzy nie tylko potrafili*

ocenić i zrozumieć aurę Waszego Domu, ale umieli przekazać naszemu młodemu pokoleniu Jedlińskich ten głęboki sentyment „pokrewieństwa z wyboru”, który nas umiał tak mocno powiązać – na całe życie. I kiedy – ze wzruszeniem i czcią – przypominam sobie postać Waszego Kochanego Ojca i Drogiej Waszej Matki, mam tę – wśród wielu – głęboką satysfakcję, że w imieniu naszym Oleńka Rolińska (siostra J. Jedlińskiego) mogła opromienić jakże smutne ostatnie ich chwile... Nie tylko „habent sua fata libellae”, ale i związki rodzinne! (bo byliście niejako naszą Rodziną!). Inna już była platforma spotkań młodszego naszego pokolenia. Znajomość Ryszarda (obecnie już trochę ustatkowanego, ale zawsze – poety) z Waszym Markiem (także artystą, fotografikiem, plastykiem) miała już zupełnie inne wymiary i bodaj nie wiedzieli obaj o serdecznych, braterskich i siostrzanych węzłach, jakie łączyły ich Rodziców, tj. nas!

I dalej: Każdy Twój sukces Władku, jako wybitnego pracownika naukowego, jest dla mnie źródłem radości – i więcej rad bym o Was, moi Drodzy, wiedzieć, ale na przeszkodzie staje czas i zdrowie. Mówiąc poetyckim językiem Leopolda (również ze Lwowa) Staffa, czas idzie już z takim pośpiechem, że podołać trudno – wielu, bardzo wielu potrzebom niespokojnego serca... Z wiosną będę w Krakowie. Do rychłego więc i miłego zobaczenia – Wasz Jacek.

Rozproszenie mieszkańców Lwowa i Kresów po drugiej wojnie światowej spowodowało zerwanie licznych więzów rodzinnych i przyjacielskich. Tylko nieliczne przetrwały – jak serdeczna więź pokoleń rodzin Piaseckich i Jedlińskich.

Napisane na podstawie wspomnień dra Jacka Jedlińskiego i książki Jacka Bryła pt. Wacław Kuchar.

Remigiusz Węgrzynowicz

Weterynaria we Lwowie

Wpływy wiedzy weterynaryjnej, od wieków głoszonej przez Polaków, obejmowały całą Słowiańszczyznę (A. Perenc*). Medycyna rosyjska korzystała z polskiej medycyny i wywodzącej się z niej medycyny zwierzęcej. Już w roku 999 Polak Jan Szmera był lekarzem Wielkiego Księcia Włodzimierza I. Najdawniejsza księga lekarska, przetłumaczona z polskiego na rosyjski, ukazała się w 1423 roku. Przekłady dzieł polskich na język ruski czy rosyjski z zakresu leczenia zwierząt: „Hippika” Dorohostajskiego (1603) przełożona na język ruski w 1752 r. (wg „Bibliografii” Daszkiewiczza i Gąsiorowskiego), jak również książka lekarstw końskich oraz sposoby ratowania w chorobach bydła, owiec etc., wydana w Poczajowie w 1788 r. w typografii oo. Bazylianów, przedstawia przekład dzieła królewskiego kowala Conrada „Sprawa a lekarstwa końskie” z roku 1532.

Mnogość autorów polskich, których prace tłumaczone na język rosyjski świadczą o wkładzie polskiej myśli naukowej w rozwój nauk weterynaryjnych, sięgają znacznie poza Kresy. Podwaliny pod nowoczesną literaturę weterynaryjną w Bułgarii (związanej z Rosją) stworzyli dwaj polscy lekarze weterynarii Ludwik Timofiejewicz i Fortunat Chelchowski, który pełnił obowiązki okręgowego lekarza weterynarii w Tyrnowie (Bułgaria), a w r. 1885 został członkiem Rady Medycznej i szefem cywilnego Wydziału Weterynarii przy bułgarskim MSW i wykładowcą w Szkole Wojennej w Sofii.

Bibliografia polskiej weterynarii i hodowli zwierząt prof. S. Królikowskiego zawiera cały szereg dzieł i artykułów z zakresu weterynarii autorów polskich w języku rosyjskim (wg Perenca: P. Boczkowski, L. Cienkowski, N. Cybulski, Dziedziul, Dogiel, M. Fonberg, I. Gajewski, H. Gumilewski, A. Jelski, G. Kaczyński, H. Kotłubaj, Koziorowski, Alfred Krajewski, Antoni Krajewski, S. Królikowski, J. Leontowicz, K. Łowicki, T. Mokrzycki, F. Nawrocki, E. Nomiewicz, L. Pawłowicz, G. Poluta, J. Rozdziewicz, Rawicki, P. Seifman, A. Studziński, A. Strzedziński, K. Wiszniewski, M. Żurawski, i wielu innych).

Jak podaje dr P. Boczkowski**, Uniwersytet Wileński był kolebką medycyny zwierzęcej w Polsce. Od roku 1832–1841 Akademia Medyczna Chirurgiczna w Wilnie

udzielała tytułu *Medicus Veterinarius*, po rosyjsku *Weterinaryj lekar*. Wg K. Millaka***, współtwórcą polskiego szkolnictwa weterynaryjnego w ramach fakultetu lekarskiego w Wilnie był Ludwik Bojanus.

Jak podaje A. Perenc, działalność nauczania zapoczątkował na uczelniach rosyjskich prof. dr Karol Edward Miram, który po likwidacji polskiego Instytutu w Wilnie (1842) powołany został na profesora fizjologii na Uniwersytecie św. Włodzimierza w Kijowie. Podobny los spotkał dyrektora Szkoły Weterynaryjnej w Warszawie Edwarda Feliksa Ostrowskiego, który w roku 1853 przeniesiony został na stanowisko profesora do Charkowa, a w roku 1874 prof. Piotr Seifman skierowany został do organizacji Instytutu Weterynaryjnego w Kazaniu.

W tymże roku stanowisko profesora fizjologii, anatomii patologicznej oraz histologii i farmakologii w Charkowskim Instytucie Weterynaryjnym obejmuje M. Żurawski, przeniesiony z Warszawy. W późniejszym okresie w tymże Instytucie katedrę epizootologii obejmuje prof. Jan Gordziałkowski, a chirurgii kończyn w Instytucie Weterynaryjnym w Dorpacie Ignacy Szantyr. Odo Bujwid, wybitny uczony, pionier szczepień przeciwwściekliznowych oraz badań środków spożywczych, w 1886 r. utworzył ośrodki badań bakteriologicznych w Petersburgu i w Odessie. Antoni Barański, lekarz armii imperium otomańskiego 1877–1878, weterynarz okręgowy bośniackiej Tuzli, był pierwszym dyrektorem Szkoły Weterynaryjnej we Lwowie.

Starania społeczne o utworzenie uczelni weterynaryjnej we Lwowie poprzedzone zostały faktem istnienia w latach 1784–1849 przy Wydziale Medycznym Uniwersytetu Józefińskiego Katedry Weterynarii. W 1871 r. Sejm Galicyjski postanowił założyć we Lwowie uczelnię (P. Wyrost****). Po dziesięciu latach (!) ukazało się Postanowienie Najwyższe MSW w wyniku którego powstała „ck Szkoła Weterynarii we Lwowie”. Duszą przedsięwzięcia był protomedyk dr Alfred Biesiadecki. Przy układaniu programu wykorzystano doświadczenie szkół wileńskiej i warszawskiej z lat 1840–1873. Uprawnienia akademickie pod nazwą Akademii Weterynarii nadano jej w roku 1896, a w 1908 r. uzyskała prawo nadawania stopnia naukowego doktora medycyny weterynaryjnej. Rola uczelni polskiej nabiera szczególne-

go znaczenia w czasie politycznego nieistnienia państwowości.

Lwowska Akademia Medycyny Weterynaryjnej (nazwa nadana w 1922 r.) była centralą wychowawczą słowiańskich lekarzy weterynaryjnych. Od 1881 do 1921 wykształciła Polaków 1219, Rusinów 217, Ukraińców 8, Czechów 110, Morawian 3, Słowaków 2, Bułgarów 28, Serbów 10, Chorwatów 46, Dalmatyńczyka 1, Bośniaka 1, Słoweńców 5, Jugosłowian 17 i 1 Rosjanina.

W pięćdziesięciolecie (1886–1935) „Przeglądu Weterynaryjnego” Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, prezentując wykaz bogatej bibliografii, zawierającej 1256! pozycji badań naukowych, profesor Stefan Gajewski pisze: [...] *bo te roczniki to skarbcze szlachetnego kruszcu cenniejszego od złota, bo niewyczerpane, a przy tym nie martwe [...] Wsłuchajmy się w tętno tego życia, co mówią nam zawarte w rocznikach prace, boć one przecież są sercem tętniącym rozgłosnie. [...] Prace te to wyczyn zbożny, bo dźwigające naukę polską coraz wyżej, to wysiłek ducha, to owoc ciężkiego trudu i walki [...] Czytamy życiorysy naszych mistrzów [...] z tą miłością jaką darzyliśmy ongiś [...] przed laty [...] Ukochna Alma Mater nasza opowiada nam swe przeżycia dobre i złe, wesole i smutne. Jej pamięć to pamięć nasza, jej radość i smutki to nasza niepodzielna własność. To historia bez braku jednej godziny. Ciągu jej nie przerwały ani wstrząsy dziejowe, ani pociski padające na naszą Alma Mater, ani szczęk walki pod Zadwórzem. Ona jak dzisiaj, żyła, patrzała, czuwała i czuła [...] a teraz mówi.*

Wspaniała kadra naukowa Akademii Weterynaryjnej we Lwowie sprawiła, że w rankingu światowym zajmowaliśmy jedno z czołowych miejsc w tej dyscyplinie.

Wśród wielu zasłużonych wymienić należy pionierów: profesorów Piotra Seifmana, Antoniego Barańskiego, Józefa Szpilmana, Henryka Kadyego, Pawła Kretowicza, Stanisława Królikowskiego, Kazimierza Panka, Stanisława Legeżyńskiego, Włodzimierza Kulczyckiego... W miarę rozwoju uczelni kadra naukowo-dydaktyczna wzbogacała się (do 1939 r.) o wybitnych nauczycieli, jak: Wacław Moraczewski, Stanisław Runge, Kazimierz Szczudłowski, Alfred Trawiński, Zygmunt Markowski, Stefan Grzycki, Wincenty Skowroński, Bronisław Janowski, Tadeusz Olbrycht, Andrzej Klisiecki,

Antoni Bant, Aleksander Zakrzewski, Stanisław Mglej, Stanisław Niemczycki, Jerzy Alexandrowicz, Stefan Gajewski, Gustaw Poluszyński, dr Z. Sembratowa i in.

Większość żyjącej wówczas kadry profesorskiej przetrwała wojnę prowadząc zajęcia dydaktyczne i badania naukowe w czasie okupacji sowieckiej i niemieckiej. Po zakończeniu wojny wyjechali jako ekspatrianci.

Wydział Medycyny Weterynaryjnej przy Uniwersytecie Wrocławskim wyrósł z korzeni Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie. Również inne uczelnie krajowe zasilił lwowski profesorowie: w Lublinie prof. A. Trawiński i T. Żuliński, w Warszawie prof. Herman i Mikulaszek, w Krakowie po uzyskaniu docentury Zygmunt Ewy i Władysław Bielański. Pozostali we Lwowie prof. W. Moraczewski, W. Skowroński i S. Grzycki.

Lwowska kadra asystentów i adiunktów (Eliasiewicz, Senze, Garncarz, Szwabowicz, Skurski, Wandokanty, Barnecki, Szczudłowska, Lachowicz, Lorenc, Ogielski, Myczkowski, Sobiech, Załucki, Jara, Łobarzewska, Janowski i in.) dzielnie uczestniczyła w organizacji Wydziału. Wielu po uzyskaniu docentury obejmowało kierownictwo katedr.

Absolwenci AMW we Lwowie składający końcowe egzaminy dyplomowe jako asystenci etatowi uczestniczyli w organizacji katedr i prowadzili zajęcia dydaktyczne ze studentami: Furgalówna, Bąk, Janiak, Koprowski, Kuprowski, Potaszyńska, Lipanowicz, Martynowicz, Stechlik, Stechlikowa, Węgrzynowicz, Zarzycki i in. (to niepełna lista, pisana z pamięci).

* Aleksander Perenc, „Przegląd Weterynaryjny”, 1936

** Jarosław Sobolewski, „Weterynaryjne Zeszyty Historyczne”

*** Konrad Millak, *Słownik Polskich lekarzy weterynaryjnych 1394–1918*

**** Piotr Wyróst, *Setna rocznica utworzenia we Lwowie polskiej uczelni weterynaryjnej (1881–1981)*

Redakcja CL składa Panu Profesorowi bardzo serdeczne podziękowanie, a zarazem słowa podziwu za tak doskonałą pamięć! Życzymy rychłego powrotu do pełnego zdrowia i dalszych wspomnień, mających wszak znaczenie dokumentów historii Lwowskiej Weterynarii. Czekamy więc na kolejne!

Adam Krajewski

Lwowskie przedmieścia Obrazki i szkice sprzed półtora wieku (4)

OGRÓDKI DAWNEGO LWOWA

Jak długo stary gród był miastem zamkniętym murami i gdzie wieczorem bramy i furty miejskie zamykano na głos dzwonu ratuszowego, były dla mieszczan tylko piwnice i browary. Ceniono własne ogniska domowe, gdzie siadywano nad gąsiorem miodu lub dzbanem piwa.

Zwyczaj ogródków restauracyjnych przyszedł do nas z Zachodu, wraz z niemieckimi urzędnikami. Po pół wieku zwyczaj ten tak się u nas przyjął, że jak grzyby po deszczu wyrastały różne miejsca zabawy towarzyskiej. Tak inteligencja, jak i ludek przedmiejski skupiał się w niedziele i święta w ogródkach przedmiejskich, będących wyłącznie w rękach chrześcijańskich. Każde przedmieście miało je dla siebie.

Prym zawsze między przedmieszczanami trzymał Łyczaków i w tym temacie też miał pierwsze miejsce. Cywilizacja kończyła się z kościołem św. Antoniego, dotąd tylko mogli się bezkarnie zapuszczać lowelasi miejscy. Dalej ciągnął się szereg ogródków, gdzie bawiło się przedmieście, a przygodnie i mieszcuchy. Były więc ogródki w browarze Hübnera „Pod gołąbkami”, „u Otawichy”, „Kijaka” i w dziś jeszcze istniejącym „Hotelu de Laus”^{**}.

Podawano tam głównie piwo i *plucery* w kamionkach. Dla zabawy służyła kręgielnia i huśtawki. Ludziom to wystarczało. Ostatni ogródek był u Weissmana, już za rogatką na drodze gliniańskiej.

W najbliższym sąsiedztwie Łyczakowa, „Na Rurach” (ul. Kochanowskiego), prócz starej i tradycyjnej Pohulanki, służył rozrywce ogródek Makolondry.

Zielone przedmieście podupadło, gdy przestało być jednym z traktów; tam nie było ogródków, mieszkali ludzie biedni. Szczęśli-

Tamten Lwów

wiej było na Stryjskim, gdzie były ogródki na uroczej Żelaznej Wodzie i na Zofiówce u Cieślewicza i Jaworskiego, nie licząc mniejszych. Tam poiono się raczej nabiałem tak świeżym i niefałszowanym, o jakim już nie mamy pojęcia. Na jednym z takich miejsc, w okolicy dzisiejszej Stillerówki, wyobrażoną była na szyldzie „Opatrzność”, a pod nią napis: *Ja żyję z Bożej Opatrzności, niech Bóg da temu, co mi zazdrości...*

Po drugiej stronie miasta też bujnie powstawały ogródki i miejsca zabawy. Słynnym był ogród Prochaski (w górze dziś ul. Kopernika) przy browarze tego samego właściciela, a dalej na Wulce tzw. „Kasyno panińskie”. Do tej samej kategorii należał tzw. „Hunergarten” przy ul. Gołębiej i Kalczej, gdzie dziś willa Zacisze.

Ulica Gródecka miała jeden, ale bardzo ładny ogródek „Pod różą”, gdzie dziś stoi szereg kamienic ul. Głowackiego.

Najsilniej kupił się ludek około Wysokiego Zamku i z każdej strony. Na stokach góry od strony ulicy Zamkowej był ogród Florka, duży i ładny, z drzewami równymi wiekiem zamkowemu. Była tu wysoka na kilkanaście łokci huśtawka i karuzela z końmi (drewnianymi) na łańcuchach. W niedziele i święta roіło się tam od dzieci małych i wielkich. Ogródek ten podupadł po nieszczęściu, które przydarzyło się na wysokiej huśtawce. Dziś po ogródku Florka zostały tylko stuletnie drzewa.

Na innym stoku Zamkowej Góry, koło browaru Kisielki, stoi jeszcze jedna szopa z dachem na słupach. Tu w niedziele do późnej nocy grała hałaśliwa orkiestra, przy której tańczyły służące z żołnierzami. Ile tam głów rozbito, ile żeber połamano, ile podarto sukien, kto zliczy? Dziś sterczy szopa, służąca za schronisko rycerzom nocy.

Od strony Teatyńskiej, gdzie była realność Jaegermana, było miejsce, szumnie zwane „salą do tańca”, gdzie odbywały się zabawy, też smutnie kończące się parowy, których miejsce zajęły potem plantacje wiodące na Kopiec Unii Lubelskiej, były świadkami niejednej zbrodni.

Całkiem już blisko miasta, w ulicy Kurkowej, gdzie dziś nr 7 i 9, był ogródek z salą do tańca p. Tierra. Niemcy nazywali go „Veteranische Hoehle” z racji, że pewien p. Veterani zainstalował tam kasyno dla oficerów i beamterii. Z upadkiem niemieckości we

Lwowie padła „jaskinia Veteraniego” i zeszła na zwykłą żołnierską *tancbudę*.

Dziś to wszystko poznikalo. Lwów ucywilizował i wyparł z miasta to co mało europejskie. Nowoczesne miejsca spacerowe przestały być tym czym dawniej. Są dziś rodzajem salonów na wolnym powietrzu, dla wystawy strojów i flirtu.

GALERIA ZAPOMNIANYCH LWOWSKICH ORYGINAŁÓW

Każde miasto ma swe odrębne właściwości, ma też swoje oryginalne typy, jakich się nie znajdzie gdzieindziej. Ma swe rozmaite figury brukowe, tak popularne, że sława ich nie tylko z pokolenia na pokolenie, ale i do tradycji przejdzie, a nawet niekiedy sięgnie i poza rogatki naszego grodu.

Kilkanaście takich figur typowych przesunęło się na bruku lwowskim w przeciągu ostatnich lat czterdziestu.

Łucyk

Pierwsze miejsce należy się temu, który diogenesowską manierą bawił Lwów w latach 60. i 70. Był to Jan Łucyk. Niski, krępy, z gęstą brodą, z obliczem spotykanym na ikonach bizantyjskich, z rozkołysanym chodem. Przeszłości nikt dobrze nie znał, wiadomo było, że jest synem ruskiego księdza na Podolu. We Lwowie zjawił się jako uczeń szkoły medyczno-chirurgicznej, wydającej studentom dyplomy.

Łucyk szkoły tej nie ukończył, ale nie mogąc być lekarzem, został... szarlatanem. W związku z tym zmienił swoją powierzchowność, przypinając do ubrania mistyczne gwiazdy i koła mosiężne, na ramieniu przewieszony nosił futrzany zaręka-wek, a w nim żywego węża grzechotnika. Na szyi zwieszał mu się naszyjnik, złożony ze szkiełek z kościelnego pająka. Czasem widziano go w białą dzień z zaświeconą latarnią w ręce, a zapytany o to odpowiadał: *Szukam człowieka*.

Mieszkał na przedmieściu, ale i w mieście zaciekał ludzi swym wyglądem, a wielu uważało go za bardzo zdolnego lekarza. Zapisywał chorym pigułki własnego wyrobu, nakazując popijać je kieliszkiem wódki. Dochód z takiej działalności przynosił mu wystarczające do przeżycia dochody.

Czasem nasz „lekarz” popadał w konflikty z policją, wreszcie przy takiej okazji wysłano go na leczenie na oddział obłąkanych u Pijarów. Po zbadaniu uznano, że nie jest niebezpieczny, ale zakazano „praktyki lekarskiej”. Z biegiem lat Łucyk



z czasem uspokoił się i nawet ożenił: za leczenie pewnej starszej kobiety zażądał córki.

Ślub odbył się u św. Mikołaja i była to nie lada sensacja dla całego Lwowa. Po ślubie Łucyk wziął się do gospodarki, gdyż w tym czasie odziedziczył mały folwarczek poza Lwowem. Po latach wrócił, osiadł na dalekim przedmieściu i leczył znów uniwersalnymi pigułkami.

Baronek

Lat temu parę dziesiątek nie koncentrowało się życie Lwowa na placu Mariackim, zwanym wówczas „placem Ferdynanda”. W miejscu, gdzie dziś kamienica ze sklepem Seyfartha, był zwyczajny drewniany parkan, okalający pracownię kamieniar-ską, a lewy róg ulicy Akademickiej nad brzegiem płynącej Pełtwi „ozdabiał” stary hotel „Pod tygrysem” w sąsiedztwie aresztów w ulicy Krzywej. Na prawym rogu stał „Hotel de Russie” (potem „Hotel George’a”, ale innej wtedy struktury). Ten za sąsieda miał kamienicę frontem do placu, a w niej szynk „Pod górale”, czyli kasyno fiakiarskie.

Na tym rogu ulicy Krętej stał od rana do wieczora, nieruchomo, okryty płaszczem, w kapeluszu na oczy „Baronek”. Niski, okrągły jak kula, na cienkich nogach, z twarzą nalaną i rybimi oczami, przeważnie zamkniętymi, potrafił stać tak godzinami. Po drugiej stronie hotelu, na przeciwnym rogu, stał tak samo nieruchomo, na jednej nodze, oswojony bocian marabut. I tak te dwie figury stróżowały po obu stronach hotelu Żorża.

Kim był Baronek? Za młodu miał majątek, podobno spory, ale przehułał go po kawalersku. *Baronkiem* nazywali go w dobrych czasach

wdzięczni kelnerzy i portierzy hoteli w kraju i za granicą, kokoty i towarzysze od zielonego stołka. Przy hulaszczym życiu rozum się pomieszał i zasoby wyczerpały.

Wstyd się zagubił, ale pozostały znajomości z tamtych czasów, które umiejętnie wykorzystywał, czatując pod hotelami. Chodziło o dyskretne usługi towarzyskie, za które otrzymywał marne grosze, które pomagały mu przeżyć. Zarobki przepijał natychmiast w pobliskim szynku. Pewnego dnia zniknął – poszedł chory do szpitala, z którego już nie wrócił.

Doktor

Oryginałem wśród inteligentów był „doktor”. Stałą jego siedzibą był plac Gołuchowskich, a ściślej narożnik ulicy Furmańskiej. Wyróżniał się wśród tamtejszej zgrai nieco staranniejszym ubiorem, a podartą garderobę ozdabiał nawet łańcuszkiem, oczywiście bez zegarka. Był spokojny i milczący, ale gdy sobie podpił, potrafił godzinami gadać do siebie po niemiecku, zaciągając z żydowska i wtedy stawał się pośmiewiskiem żydźiaków, setkami zaludniających plac Gołuchowskich.

Za młodych lat był wojskowym lekarzem, przebył nawet dwie kampanie wojenne. Załamał go konflikt z żoną i jej niewierność. Gdy odeszła, stoczył się zupełnie. Napędzono go z wojska, jako lekarz cywilny nie znalazł praktyki. Staczał się coraz niżej, wreszcie leczył proletariat na placu, wystawiając recepty za jałmużnę. Rozpił się, ataki delirium były coraz częstsze, aż zmarł nagle na „swoim rogu” przy ulubionym szynku.

Profesor

Podobną figurą brukową był „profesor”, zwany też „filozofem”. Znano go jeszcze z czasów, gdy uczył w którymś gimnazjum. Widywano go na Zamku na Wałach, jak deklamował poetów lub odczytywał teksty łacińskie. Przebywał chętnie w towarzystwie młodzieży, której pomagał w nauce za skromny poczęstunek.

Z latami gimnazjaliści nie mieli już z czym do niego przychodzić i „profesor” przeniósł się na mniej wymagające przedmieście. Tam dla dzieci rzeźników i krupierzy był wystarczającym autorytetem. Sława jego za rogatkami dotyczyła wierszy, które układał na różne okazje. Pisał dla zakochanych, na różne okazje, przeważnie przy kieliszku.

I tu powodem wykołajenia się „profesora” była niewierna żona, która go opuściła.

Ałte sziker

Postać to charakterystyczna dla Zarwanicy lwowskiej. Wysoki, chudy, o semickim typie, w chałacie po pięty i szapoklaku, z profesji był szewcem, latającym buty. Był pijakiem. W tym stanie stawał się wesołkiem. Brał się pod boki i wykonywał ucieszne tańce na ulicy. Lubił w podskokach wołać przed odwachem: *Habt Acht!* i nawet policjanci dawali mu spokój. Najbardziej dokuczali mu żydowscy ulicznicy. Wtedy krzyczał na nich, że jest katolikiem i bluźnił rabinom i żydowskiej wierze.

Podobno był niegdyś właścicielem ładnej kamieniczki. Alkohol pozbawił go żony i majątku. Zmarł gdzieś w szynku.

Ałte sziker miał jaśniejsze chwile. Bywało, siadł na kamieniu pod Wałami Gubernatorskimi, podeprze łusą głowę i zapatrzył się w dal. Gdy go w takiej chwili najdzie chłopak swawolny i nad uchem zakrzyknie *Ałte sziker*, oblicze starego pijaka smutnieje i żałośnie odpowiada na zaczepkę: *Nu, za co lubciu „ałte”, za co „sziker”, ja gorszy od pies, ja nie ma co jeść, ja nie ma gdzie spać ...* Ale rychło wstawał, przybierając wyzywającą postawę i krocząc ku Zarwanicy wykrzykiwał: *Szlag na Żydy, ja katolik!*, po czym znikał w czeluściach knajpy pijackiej przy ulicy Blacharskiej, zwanej w gwarze ulicznej „Pod Zwei-und-vierzig”.

Jaśko hułan

Był postrachem przedmieścia, czy trzeźwy, co zdarzało się rzadko, czy pijany. Nie lubił, gdy mu w drogę wchodziło. O ułańskim pochodzeniu wiedział jedynie matka, a ojca nie znał. Był majstrem od wszystkiego, ale trzeba go było długo prosić

o usługę. Głównym jego zajęciem było robienie szopek przed Bożym Narodzeniem i chodzenie z „wertepą” od świąt do Gromnicznej. W tym czasie zmieniał się nie do poznania. Gromadził wkoło siebie chłopaków i zakładał u siebie istną fabrykę. Pod okiem mistrza rosły wieże i gmachy z kolorowego papieru, tak do stajenki podobne jak lwowski ratusz do arcydzieł architektury.

Najwięcej czasu poświęcał mistrz „wertepie”. Tak nazywano na przedmieściu olbrzymią szopę ze sceną i kurtyną, z mechaniczną podłogą i mnóstwem korb i kółek, przy pomocy których można było poruszać figurki. Figurki kupowało się pod katedrą i strojono jak potrzeba do sztuki jasełek własnego pomysłu. Sam grał za wszystkie figurki i za suflera, gdy występował chór pasterzy. „Wertepa” Jaśka rozweselała dni Bożego Narodzenia, a niedziele aż do Gromnicznej.

Trzeba było, że sławy Jaśkowi pozazdrościł podobny mu wykołajeniec z innego przedmieścia, zwany „łysy Wojtek”. Ten zdobył się na jeszcze większą „wertepę” i jeszcze wyposażył ją w pożyczoną od Żyda katarynkę. Tak wkroczył na terytorium Jaśka.

„Baworówka” pod cmentarzem Łyczakowskim była w owe czasy pustkowiem. Na olbrzymim terenie, gdzie stały nieliczne domki zamieszkałe przez podejrzane indywidua, można było toczyć boje, bez narażenia się na przeszkody ze strony stróżów bezpieczeństwa. Nikt nie policzył, ile zasadzek i wypadków zdarzyło się na przepaścistej ścieżce, którą wożono „golców” ze szpitala na cmentarz, a która dziś jest szeroką ulicą Pijarów.

Na tejże drożynie, wieczorem zasiadł Jaśko ze swoimi stronnikami, gdy od Mazurówki wracał Wojtek ze swą kompanią. Obie partie starły się na rogu „Baworówki”, popłynęła krew, a wertepa Jaśkowa została doszczętnie zniszczona.

Nazajutrz w „diabelskim młynie” na Łyczakowskich piaskach znaleziono powieszzonego na bancie Jaśka. Wisiał na pasku od spodni.

* W pierwszym odcinku (CL 2/10) wyjaśniliśmy, że niniejszy tekst został wydany w 1909 r. W ciągu kolejnych 30 lat w polskim Lwowie zmieniło się wiele...

Adam Trojanowski

Lasy na Halickiem

Na planie Lwowa z lat trzydziestych widać szereg zielonych plam. Przedstawiają one oczywiście miejskie tereny zielone o różnym charakterze. Znaczna część to parki, a także aleje, planty i klomby. Były tam jednak autentyczne lasy.

We wschodniej części miasta, na terenie dzielnicy Halickie, znajdują się dwa wyraźne leśne tereny, a mianowicie Pohulanka oraz Las Węgliński. Obydwa te obszary różnią się między sobą. Pohulanka, las mieszany, niezbyt gęsty, rozciągał się na północ od potoku Pasieka, spływającego wkrótce do sieci kanalizacji miejskiej na ulicy Kochanowskiego. Występowały w nim graby, buki, dęby oraz rzadkie brzozy, w niezbyt gęstym rozmieszczeniu, umożliwiającym dobrą insolację. Po całym terenie Pohulanki można było przemieszczać się piechotą dowolnie, bez konieczności przestrzegania ścieżek. Na wschodnim skraju lasu można było natrafić na płytkie, ziemne stanowiska strzeleckie, a wśród nich spotkać sporadycznie łuski karabinowe, jako pozostałość po walkach podczas Obrony Lwowa. Od północy las kończył się nad dwoma stawami należnymi do Ogrodu Botanicznego Uniwersytetu Jana Kazimierza. Najbliższe tam tereny to Cetnerówka, związana z rodem Cetnerów, który przybył z początkiem XVII wieku ze Śląska niemieckiego i wrosł chwalenie w lwowską warstwę kulturową.

Las Węgliński był położony na południe od wspomnianego potoku, na stosunkowo eksponowanym ku północy stoku. Tamtejszy teren opadał gwałtownie ku wspomnianemu potokowi, zasilanemu dodatkowo z bocznego cieku, ujętego w betonową otulinę. Z niej to wydobywał się charakterystyczny szum, którego chętnie nadsłuchiwałem na zapleczu lokalu restauracyjnego, związanego chyba z Browarem Lwowskim. Ze względu na takie położenie teren ten był zacieniony, co sprzyjało miłemu wypoczywaniu przy piwie lub podśmietaniu, jak się to we Lwowie nazywało kwaśne mleko.

Las Węgliński stanowił gęsty zespół buków, które szczególnie malowniczo wyglą-



dały w swej złocistej, jesiennej szacie. Wejście do lasu było raczej trudne ze względu na ostro opadający teren, stanowiący tzw. *debry*, czyli głębokie rynny odprowadzające wody opadowe do Pasieki. Wokół niego można było spacerować od strony południowej i dojść do drewnianej skoczni narciarskiej, gdzie zwykle spacer się kończyło. Do lasu chodziliśmy często na spacerówkę o wszystkich porach roku, z wyjątkiem zimy, kiedy tamtejsza droga nie była używana i zasypana głębokim śniegiem aż do wiosny. Ze skoczni oczywiście nie korzystaliśmy, a zimowe zjazdy narciarskie koncentrowaliśmy na terenach piaskowni, która znajdowała się na zapleczu naszego mieszkania, przy ul. Własny Dom. Idąc dalej na wschód od skoczni można było dojść do Groty Miodowej, a jeszcze dalej – do Czartowskiej Skały. W grocie położonej w rozległej niecce terenu harcmistrz Chorągwi Lwowskiej druh A. Szczęścikiewicz organizował doroczne zloty drużyn, gdzie w warunkach *quasi* obozowych przebywało się przez cały dzień. Nazwa groty pochodziła od krystalicznego wapienia o miodowym kolorze. Na zachodnim skraju lasu, a więc ponad Kwiatkówką oraz Filipówką, ulokowane były we wrześniu 1939 r. polskie działa, które ostrzeliwały niemieckie pozycje zajmujące okresowo Kortumową Górę. Pociski przelatywały ze świstem nad naszymi głowami i wkrótce widać było, jak spadają w rejonie końca dzielnicy Janowskie.

Tyle wspomnienia ówczesnej rzeczywistości, którą zakończyła utajniona ucieczka z zajmowanego mieszkania po zabranie ojca przez bolszewików, jako że rodzinie aresztowanego groziła szybka wywózka.

Wschodnie przedmieścia Lwowa z Łyczakowem, Cetnerówką, Pohulanką, Lasem Węglińskim

O Stanisławowie rozmawiają Krystyna Stafińska i Tadeusz Olszański

Krystyna Stafińska: Słowo „Kresy” stanowi jedyny *sui generis* równoważnik nazwy geograficznej. Od ponad półwiecza Kresy II RP znajdują się poza obecną granicą naszego państwa. Jaki wpływ ma ten stan rzeczy na naszą narodową świadomość? Czy traktujemy tę ziemię wciąż jako dawną Polskę, czy może coraz bardziej odrywamy się od nich?

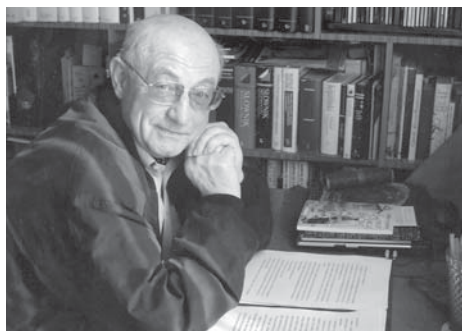
Tadeusz Olszański: Kresy wszakże to również pojęcie historyczne, a nawet polityczne, a zatem zmienne. W przedwojennej Polsce, w której chodziłem do szkoły, ani Stanisławów, gdzie się urodziłem, a co dopiero Lwów, nie były dla mnie Kresami. To była absolutnie i wyłącznie moja Ojczyzna, Polska. Kresów uczył mnie w *Trylogii* Sienkiewicz. To były Dzikie Pola, Chocim, Kamieniec Podolski, Zbaraż. I w pewnej mierze moje Pokucie, gdzie granią Karpat, w pobliżu Jaremca, Tatarowa, Worochty, a także Czerniowiec, biegła południowa granica Polski. Tymi Kresami był też Prut i Dniestr, które brały początek w Polsce i uciekały na południe. Pewną różność tych terenów wyznaczała też inna ludność. Przede wszystkim Rusinów i Hucułów, którzy wraz z Żydami stanowili tam zdecydowaną większość. Dziś, kiedy po przeszło pół wieku tego wszystkiego już nie ma, kiedy nasze granice przesunięto na zachód, Kresami

stały się i Lwów, i Stanisławów. Nawet dla nas, którzy wywodzimy się stamtąd. Traktujemy jednak Kresy już tylko jako Ojcowiznę. W ciągu minionego półwiecza nasze społeczeństwo szalenie się zmieniło i pojęcie Kresów stało się raczej literackie. Nie tyle jednak odrywamy się od tamtych Kresów, ile po prostu nas, którzy tam się urodzili, stamtąd pochodzimy, jest coraz mniej. To naturalny bieg rzeczy.

K.S. Zygmunt Gloger pisał: *Obce rzeczy wiedzieć dobrze jest – swoje obowiązek!* Dlaczego więc w stosunku do erupcji wydawnictw o Lwowie tak mizerna jest wiedza o Stanisławowie? Przecież było to po Lwowie i Krakowie trzecie miasto Galicji. Faktem jest, że do 1991 roku Stanisławów był miastem zamkniętym turystycznie. Była to ściśle chroniona strefa wojskowa z wyrzutniami rakiet skierowanych na zachód i lotniskami szybkiego reagowania. Ale czy tylko ten brak dostępu stłumił naszą wrażliwość i potrzebę przekazywania pamięci?

T.O. Nie tylko! Złożyły się na to konkretne przyczyny. Polska ludność Stanisławowa i całego Pokucia w większej mierze niż Lwowa i wszystkich miast Galicji poniosła ogromne straty. W czasie sześciu lat wojny została wywieziona przez władzę radziecką na Sybir, wymordowana przez Niemców, znów zabijana przez UPA i wreszcie przesiedlona. Rozsiana po różnych miastach Polski, głównie na odzyskanych Ziemiach Zachodnich. Od Gliwic po Szczecin. Stanisławów był miastem nieszczęsnym i męczeńskim, w czasie okupacji niemieckiej zamienionym w miasto zagłady. Były to fakty znane, lecz niestety nienagłośnione za PRL-u z tego względu, że ogromny udział mieli w tym przecież Sowiet.

Lwów również poniósł ogromne straty, ale nie tylko ocalał grono swoich piewców z Jerzym Janickim na czele, lecz również skupił się w jednym mieście, we Wrocławiu, wokół tamtejszego uniwersytetu. Przeniesiono też tam Ossoli-



neum, panoramę Raclawicką, pomniki. W latach pięćdziesiątych we Wrocławiu prawie na każdym kroku słyszało się też lwowskie „ta joj!”, co dokładnie pamiętam, bo pierwszą praktykę dziennikarską przeszedłem w tym mieście.

Przywracać pamięć o Stanisławowie zaczęliśmy z opóźnieniem, skromnie. W „Tygodniku Powszechnym” (1959) i w „Przeglądzie Historyczno-Oświatowym” (1961) ukazały się publikacje oraz rejestry strat, sporządzone przez historyka dra Józefa Zielińskiego, uzupełnione później przez Adama Rubaszewskiego i Adama Kwaśniewskiego. Potem zgłosiła się młodsza generacja – Tadeusz Kamiński i Leszek Wierzejski, już z książkami o historii miasta oraz zbrodni w Czarnym Lesie. Poruszająca była książka Stanisława Fudali o losach ludzi wywiezionych na Sybir. Wreszcie ostatnio i ja sięgnąłem wstecz swoją pamięcią. I stało się coś niezwykłego. *Kresy Kresów, Stanisławów* rozeszły się błyskawicznie. Były trzy dodruki i sprzedano blisko 10 tysięcy egzemplarzy! I nastąpił odzew. Odezwali się rozsiani po całym świecie Stanisławowiacy. Otrzymałem mnóstwo telefonów, maili, listów, zdjęć. Z Polski, Niemiec, Szwajcarii, Wielkiej Brytanii, Izraela, Kanady, USA, a nawet z Australii. Efektem tego odzewu była druga książka *Stanisławów jednak żyje*. Oprócz tych dwóch książek ukazała się też ostatnio cenna doktorska praca Żanny Komar o architekturze naszego miasta. Niezwykła z tego względu, że Żanna jest związana ze Stanisławowem, tam się urodziła, tam żyje. Tyle że skończyła studia w Lublinie. Wreszcie mamy 2 strony internetowe poświęcone Stanisławowowi. Nadrabiamy więc zaległości.

K.S. Proponuję skorzystać z okazji i choć na chwilę przypomnieć obronną oraz kulturową rolę Stanisławowa.

T.O. Potoccy założyli w XVII wieku gród obronny, by bronić Rzeczypospolitej przed tureckimi nawałami. Był nie do zdobycia. Wzorowali się w pewnej mierze na Zamościu Zamoyskich. I dlatego również założyli w Stanisławowie Akademię, która szybko zyskała miano Aten Pokucia. Od tego też – twierdzy i szkoły – zaczęło rosnąć znaczenie całego Podkarpacia. I znacząca cywilizacyjna rola Polski na tym obszarze. Tyle w ogromnym skrócie.

K.S. Wyjątkowość kresowian wynika z mieszania się nacji i ras. Teoria genetyczna mówi, że prawdopodobieństwo udanego potomka jest wprost proporcjonalne do dystansu między miastami urodzenia rodziców. Jeszcze ciekawsze są implanty kulturowe. Jesteś tego żywym przykładem...

T.O. ...ależ tak! W darze po matce otrzymałem język węgierski jako macierzysty, przy ojczystym – polskim. W stanisławowskiej ćwiczeniówce od I klasy uczyłem się rusińskiego i cyrylicy. A z Mańciem Weisbergiem, kolegą sąsiadem z ulicy Sapiieżńskiej, gdzie mieszkaliśmy kilka lat, nawet podłapałem jidysz! A przecież na Podkarpaciu byli jeszcze obecni Ormianie, Niemcy, Węgrzy, Huculi, Cyganie i Mołdawianie. Dziewięć narodowości i pięć kościołów! Gdzie tak jeszcze poza Stanisławowem było?

Potoccy, zakładając miasto, jak nikt inny postawili właśnie na wielokulturowość, czego symbolem były 3 wieże w herbie i szeroko otwarte wrota. Cztery najliczniejsze nacje – Polacy, Żydzi, Rusini, późniejsi Ukraińcy, i Niemcy mieli w II RP swoje szkoły i gimnazja, teatry, gazety, domy kultury, kluby sportowe i byli reprezentowani we władzach miejskich oraz wojewódzkich. Pod tym względem Stanisławów był perłą koegzystencji w okresie 20-lecia.

K.S. Kresy, w tym Ziemia Stanisławowska, dostarczyły nadspodziewanie wielu wybitnych ludzi naszej kultury, nauki, polityki.

T.O. Poczynając od Franciszka Karpińskiego i jego pięknej pieśni o porannych zorzach, przez trzech generałów: Stanisława Sosabowskiego, Stanisława Maczka, Bernarda Monda, po inżyniera Stefana Kudelskiego i jego magnetofony! Jest tych sław mnóstwo, lecz ciągle brak pełnego rejestru urodzonych w Stanisławowie indywidualności. I ciągle dowiaduję się o nowych. Jak choćby o tym, że założyciel słynnej w Krakowie cukierni Noworolskich, pan Jan, urodził się w Turku pod Stanisławowem, a zamieszkały w Szwajcarii Zbigniew Mikulski, którego znam osobiście, jest najśłynniejszym obecnie filatelistą na świecie! Nie możemy pominąć znakomitego lingwisty, profesora UJ Jerzego Kuryłowicza. Nie wiem, kto się tym zajmie, ale błagam, aby jak najszybciej powstała nasza księga!

K.S. Wspomniałeś już o stratach, jakie poniósł Stanisławów w wyniku II wojny światowej. Po wkroczeniu do miasta 19 września 1939 roku wojsk radzieckich rozpoczął się męczeński okres dziejów Stanisławowa. Zaczęły się prześladowania, aresztowania, zwłaszcza wśród inteligencji, i masowe deportacje.

T.O. W pierwszej kolejności GPU – tak wtedy nazywało się NKWD – aresztowało wszystkich ze służb mundurowych, a więc aparat polskiego państwa. W lutym 1940 roku, w pierwszej wywózce na Sybir, wywieziono ich rodziny. Potem były kolejne aresztowania i trzy wywózki. Straciłem najbliższą rodzinę – chrzestnego ojca generała Franciszka Dąbrowskiego, mnóstwo przyjaciół, kolegów ze szkoły. Więzienie było pełne. A w czerwcu 1941 roku, kiedy zaczęła się wojna, dokonano masakry: przed wycofaniem się wymordowano setki, więcej, tysiące więźniów – głównie Polaków, ale i Ukraińców. Nie tylko w Stanisławowie, ale także w Tłumaczu, Tyśmienicy, Kołomyi, Delatynie. Wszędzie, gdzie były więzienia.

I co istotne – z chwilą wkroczenia Sowietów runęła cała uprzednia koegzystencja społeczna, zaczęła się nienawiść. Część żydowskiej młodzieży oraz komunizująca biedota witała Czerwoną Armię, współpracowała z NKWD. Ukraińskie chłopstwo ruszyło grabić polskie majątki. Zaczęła się łać bratnia dotąd krew. Tak było zarówno we wrześniu 1939 roku, jak i w czerwcu 1941.

K.S. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, 4 lipca 1941 roku do Stanisławowa wkroczyły sprzymierzone z Niemcami wojska węgierskie i nastąpił krótki okres przejściowy między dwoma okresami terrorów – czerwonego i brunatnego.

T.O. Węgierskie wojsko w pierwszej kolejności powstrzymało falę hajdamackich ataków na polską i żydowską ludność. Zwłaszcza w mniejszych miastach wokół Stanisławowa. Została też otwarta granica z Węgrami, z czego jednak w minimalnej mierze skorzystała żydowska inteligencja nie zdająca sobie sprawy z tego, co ją czeka. Nawet ostrzegani przez nas przyjaciele – państwo Weisbergowie – byli przekonani, że Niemcy to kulturalny naród i nie stanie się im krzywda. Madziarzy byli też przyjaźnie nastawieni do Polaków, zgodnie z tra-

dycją i pamięcią o polskich legionach, które w czasie Wiosny Ludów wsparły walkę Węgrów o wolność.

K.S. Z dniem 1 sierpnia 1941 r. proklamowano utworzenie dystryktu Galicji ze stolicą we Lwowie i przyłączenie do Generalnej Guberni. Stanisławów stał się starostwem w tym dystrykcie. Kompleks gmachów sądu i więzienia przy ul. Bilińskiego, gdzie mieściła się katownia NKWD, zajęli Niemcy. Na czele gestapo stanął SS-Hauptsturmfuehrer Hans Krueger, krwawy kat Stanisławowa. Ten sam, który miesiąc wcześniej był odpowiedzialny za rozstrzelanie profesorów we Lwowie.

T.O. Zaraz w sierpniu Krueger zwołał naradę polskich nauczycieli. Stawili się w gestapo, bo byli przekonani, że dotyczy to wznowienia nauki w szkołach. Zostali uwięzieni. Zaraz potem aresztowano lekarzy, inżynierów, adwokatów. Gestapo miało dokładną listę przedstawicieli polskiej inteligencji, których trzeba zgładzić, przygotowaną przez dwóch nauczycieli ukraińskiego gimnazjum – Danysza i Rybczyna. Wszystkich rozstrzeliwano w pobliżu miasta, w Czarnym Lesie, które stało się miejscem zagłady. Dokładnie tę zbrodnię opisał Tadeusz Kamiński, którego ojciec został tam zamordowany. Dziś, kiedy po wielu latach powracamy do tej zbrodni, nie sposób pominąć braku jakiegokolwiek ostrzeżenia, które powinno było dotrzeć do Lwowa i Stanisławowa po dwóch latach tragicznych doświadczeń w okupowanej przez Niemców Polsce. Przecież tak samo postąpili Niemcy z krakowską profesurą, a następnie we Lwowie. I dopiero w półtora miesiąca później w Stanisławowie. Ilekroć powracam myślą do tych wydarzeń, nie znajduję usprawiedliwienia dla braku sygnałów i ostrzeżenia nas – przez istniejącą przeciw polską konspirację – przed postępowaniem gestapo. Przepraszam, ale muszę to wreszcie powiedzieć ...

K.S. W Twojej wydanej w 2008 r. przez „Iskry” książce *Kresy Kresów, Stanisławów* (chwała Ci – pisaliśmy o tym w CL) jest takie zdanie: *Te z górą dwa lata pod niemiecką okupacją jawią mi się jako pomieszanie normalności z okrutną rzeczywistością, w sumie jako świat nierzeczywisty.*

T.O. Bo to był świat nierzeczywisty. Z jednej strony codzienne obowiązki, szkoła, ba, komplety u Urszulanek, gdzie chodziłem na lekcje niemieckiego, bo trzeba było nauczyć się języka wroga, a z drugiej absolutna niepewność, bo można było zostać w każdej chwili zastrzelonym na ulicy lub z byle powodu pobitym przez ukraińskich policjantów, co mi się zresztą przytrafiło.

K.S. Szczegółnej gehenny doświadczyli Żydzi. Po wojnie, dopiero w 1966 r., w toczących się procesach stanisławowskich gestapowców – „krwawych braci” – Johanna i Wilhelma Mauerów (przed sądem austriackim) i Hansa Kruegera (przed niemieckim sądem w Münster), zostali oskarżeni o zamordowanie 27 tysięcy Żydów.

T.O. Okrutnie dręczono i zamordowano w Stanisławowie znacznie więcej Żydów. Nie tylko tych 27 tysięcy mieszkających w Stanisławowie, ale też przywożonych do getta w naszym mieście z całego Pokucia, a także z Czechosłowacji. Mówi się nawet o zgładzeniu 60–70 tysięcy. Bo Krueger zamienił Stanisławów w miasto zagłady. Nie wysyłano ich do obozów śmierci, bo mordowano na miejscu. 12 października 1941 roku doszło do pierwszego masowego zamordowania kilku tysięcy stanisławowskich Żydów wypędzonych z domów i ustawionych w kolejce na cmentarz, gdzie kopali dla siebie groby. Zabijano ich seriami z broni maszynowej. Pilnowani przez ukraińskich policjantów stali w kolejce od ulicy Belwederskiej po kirkut i czekali na śmierć. Opisała to dokładnie Krystyna Winiecka w swojej książce *Od Stanisławowa do Australii*, która jako dziecko stała w tej kolejce. Uratowała się, bo pod wieczór przerwano masakrę i pozostałych przy życiu wypuszczono. W młynie Rudolfa urządzono katownię, w której pod przywództwem wspomnianych sadystycznych braci Mauerów non stop odbywały się krwawe orgie i dalsze morderstwo. Wstrząsająca relacja tego holocaustu przekazana przez Juliusza Feuermana znajduje się w Żydowskim Instytucie Historii. To coś przeraźliwego!

K.S. Krueger i Mauerowie wprowadzi po latach, ale zostali skazani, chociaż były to kary niewspółmiernie niskie do popełnionych zbrodni i dotyczyły wyłącznie eks-terminacji Żydów. Natomiast za popełnione

w Stanisławowie okrutne i masowe mordy na Polakach, o ile mi wiadomo, nikt nie odpowiedział przed sądem ani na wschodzie, ani na zachodzie!

T.O. Niestety, tak rzeczywiście było. Krueger i Mauerowie zostali zdemaskowani i postawieni przed sądem dzięki działaniom Żydowskiego Centrum Dokumentacji Holocaustu kierowanego przez Szymona Wiesenthala. Jednym ze świadków w tych procesach miał być stanisławowianin Jan Kossowski, którego poznałem w naszym warszawskim Kole Stanisławowian i serdecznie się z nim przyjaźnię. Kossowskiemu, który jako więzień gestapo był naocznym świadkiem zbrodni i cudem udało mu się przeżyć, władze PRL nie pozwoliły pojechać na proces, bo był wtedy czynnym oficerem, majorem WP. Złożył więc tylko pisemne zeznania, a to nie to samo co bezpośrednie oskarżenie! Nasze organa ścigające zbrodnie hitlerowskie niestety nie doprowadziły spraw do końca.

K.S. Kończy się wojna i następuje dalsza dyskryminacja Stanisławowa. Paradoksalnie w 300. rocznicę powstania miasta – wolnego królewskiego miasta – Stanisławowa, zwanego też grodem Rewery, rozkazem Nikity Chruszczowa następuje zmiana nazwy na Iwanofrankowsk. Notabene Iwan Franko – pisarz i polityk, urodził się we wsi Nahujowice koło Drohobycza i ze Stanisławowem niewiele miał wspólnego. W 1980 r. władze radzieckie pod osłoną nocy buldożerami zniszczyły historyczną nekropolię, jeden z najstarszych cmentarzy w Polsce, założony w 1782 r. Pozostawiono 6 nagrobków (nie wiadomo według jakiego klucza dokonano wyboru), a dla większego upokorzenia Polaków płyty z grobowców zostały użyte m.in. do obudowy miejskiego szaletu w założonym na miejscu dawnego cmentarza parku.

T.O. Władza radziecka robiła wszystko, aby zatrzeć ślady polskości. Zniszczono kościoły i synagogi. Nasze miasta poszły w ruinę. Na skandaliczne wykorzystanie płyt cmentarnych w Stanisławowie zareagowaliśmy podczas jednej z pierwszych naszych wycieczek do Stanisławowa. I ukraińskie władze miasta natychmiast zareagowały. Sowietom nie udało się jednak zatrzeć wielu śladów polskości. Ze wzruszeniem odkry-

wałem napisy *Jaworski i Synowie – Kraj* na kratownicach ścieków i lampach ulicznych, na żelazie ławek w parkach. I w wielu innych różnych miejscach przywracanych teraz starannie przez władze miasta do normalności.

K.S. Ja wiedzę o Stanisławowie czerpałam jedynie z rodzinnych przekazów, gdzie sielanka przeplatała się z nostalgią, żalem i tragicznymi emocjami. „Mój Stanisławów” to były jedynie pierwsze, dziecięce kroki i pierwsze wyartykułowane słowa.

T.O. Miałem 14 lat, kiedy uciekliśmy na Węgry i mam znacznie więcej osobistych, choć chłopięcych przeżyć i wspomnień. Ale i ja sporo wiedzy otrzymałem później od rodziców. Przyznam jednak, że nie za bardzo wtedy się tym interesowałem i z żalem stwierdzam, że stanowczo za mało rozmawiałem o tym ze swoim Ojcem.

K.S. Od 1989 r. kiedy w Krakowie powstało TMLiKPW i w jego ramach Koło Stanisławowian, a Stanisławów – Iwanofrankiowski, w 1991 r. oficjalnie otworzył „podwoje”, zaczęliśmy prawie corocznie organizować wyjazdy na nasze Utracone Ziemie RP. Nawiązaliśmy kontakty z Polakami, którzy przetrwali do upadku Związku Radzieckiego, transformacji i utworzenia 24 sierpnia 1991 roku państwa ukraińskiego.

T.O. Pozwól, że coś uzupełnię – wszystkie te wycieczki były głównie przez Ciebie organizowane! Chwała Ci za to! Jeśli o mnie idzie, pierwszy raz pojechałem do Stanisławowa prywatnie, pod koniec lat 90., razem z synem i jednym z wnuków. I tam spotkałem się z przyjacielem ze szkolnych lat, Jankiem Pałką, który przyleciał ze swoimi dziećmi z Leeds. Dopiero potem dołączyłem do naszych wspólnych wypraw. I w toku tych wypraw ożyły wspomnienia, które doprowadziły do napisania pierwszej książki o naszych Kresach i Stanisławowie.

K.S. W 1989 r. w Stanisławowie powstało Towarzystwo Kultury Polskiej im. Franciszka Karpińskiego, a nieco później TKP „Przyjaźń”. W sumie te dwa najbardziej liczące się towarzystwa liczą około 200 osób. Samorzutnie doszło do podziału w zakresie zasadniczej działalności obu stowarzyszeń. TKP im. Karpińskiego skupiło się na opie-

ce nad zorganizowanymi w 2005 r. polskimi klasami, ogólnie mówiąc szkolnictwem. TKP „Przyjaźń” natomiast, z którym bliżej współpracuje Kraków, opiekuje się Cmentarzem w Czarnym Lesie. Przypomnę, że to cmentarz utworzony z inicjatywy krakowskiego Koła, sfinansowany przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa i zrealizowany dzięki bezinteresownej pomocy inż. Henryka Kolasy oraz ofiarnej pracy TKP „Przyjaźń”.

T.O. W Stanisławowie jest obecnie około 2000 Polaków. To był stan przed wprowadzeniem Karty Polaka. Oba stowarzyszenia skupiają więc zaledwie 10 procent. Co niedziela do polskiego Kościoła na Górze przychodzi co najmniej dwa razy więcej i to jest najważniejsze skupisko Polaków. Drugim jest szkoła w dawnym Klasztorze Urszulanek z polskimi klasami. Chodzi do nich blisko 200 uczniów. Z jednej strony byłoby, nie powiem lepiej, ale zapewne sprawniej, gdyby działało jedno silne towarzystwo. Z drugiej strony jednak jest przecież pole nawet dla więcej niż dwóch stowarzyszeń, które twórczo mogłyby ze sobą rywalizować. Najważniejsze wszakże, aby współpracowano ze sobą, wzajemnie się wspierano, a nie – jakże przecież po polsku – kłócono o to kto ważniejszy, jak to zresztą niestety, bywa w całej naszej Polsce.

K.S. Kresy to nasz *genius loci*, one inspirować. Tam po prostu trzeba przynajmniej od czasu do czasu pojechać, a zwłaszcza pokazać młodym ludziom, gdzie sięgała Polska, kto stamtąd pochodził, czym się wsławił, bo przecież nasza Ojczyzna bez żywej pamięci Kresów nie jest tak naprawdę sobą.

T.O. Z całą burzliwą historią Kresów, wzlotów i upadków, wielką cywilizacyjną rolą oraz błędami naszych praojców, z których należy wyciągnąć i zapamiętać wnioski. I dlatego tam po raz kolejny wędrujemy.

K.S. Zmieniam temat i myślę, że Cię zaskoczę. Jeden z naszych kolegów – dumny ze swego miasta – stwierdził żartobliwie, że *Stanisławów jest kolebką ludzkości!* Brzmi to nader przesadnie, ale coś w tym jest! Otóż 30 km od Stanisławowa i Nadwórnej leży Starunia. Jest to jedna z wiosek na przedgórzu Wschodnich Karpat, na obszarze obfitującym w surowce mineralne i kojarzące

się z ważnymi znaleziskami paleontologicznymi. Najważniejszego odkrycia dokonano tam 29 października 1929 r. Był to kompletny okaz samicy nosorożca włochatego. „Nosię” – bo takie imię nadano znalezisku – można obecnie oglądać w Muzeum Przyrodniczym w Krakowie, ale o tym światowym unikatcie nie ma wzmianki prawie w żadnym przewodniku turystycznym. W 2007 r. krakowscy naukowcy z PAN i AGH rozpoczęli poszukiwania śladów obecności człowieka plejstocenijskiego na tym terenie. Są dowody na to, że 20–40 tysięcy lat temu żyli tam ludzie, łowcy mamutów i nosorożców. Ewentualne wykopanie tam zakonserwowanego człowieka sprzed ponad 20 tysięcy lat byłoby pierwszym takim odkryciem, ewenementem w historii nauk przyrodniczych. Więc może coś się ma na rzeczy z tą *kołębą ludzkości* ...

T.O. Kto wie, czekam z niecierpliwością! Niewykluczone, że właśnie łagodne wzgórza Przykarpacia, bogactwo wód i lasów oraz prawdopodobnie zupełnie inny niż dziś łagodny klimat sprzyjały rozwojowi życia.

K.S. Jesteś wspaniałym rozmówcą, ale nasz kwartalnik ma ograniczoną pojemność. Dzięki Ci za rozmowę, poświęcony czas. Może jeszcze kiedyś uda się kontynuować tę naszą rozmowę, bo przecież Stanisławów to temat rzeka, zwłaszcza że w przyszłym roku obchodzić będziemy 350. rocznicę założenia tego miasta przez Potockich.

TADEUSZ OLSZAŃSKI, ur. 1929 w Stanisławowie w rodzinie polsko-węgierskiej; dziennikarz, publicysta, pisarz, autor 2 książek o Stanisławowie: *Kresy Kresów. Stanisławów* (2008) i *Stanisławów jednak żyje* (2010). Wybitny hungarysta, tłumacz, autor 40 przekładów z literatury węgierskiej, autor książek o Węgrzech i in. Sprawozdawca z 5 Olimpiad.

KRYSTYNA STAFIŃSKA, ur. w Stanisławowie w rodzinie lwowsko-stanisławowskiej; cytolog i histochemik, pracuje w służbie zdrowia. Od 1989 prezes Koła Stanisławowian TMLiKPW, współredaktor kwartalnika „Cracovia–Leopolis”.

RZEMIOSŁO W BUDZANOWIE

Poniższy artykuł nieznanego autora znaleźliśmy w „Gazecie Lwowskiej” z 1943 roku. Nie znamy też numeru dziennika, ponieważ zachowała się tylko jedna kartka, ściślej pół kartki z tym właśnie tekstem.

Budzanów to stara bardzo miejscina położona w jarze Seretu. Ruina zamku każdym kamieniem opowiada o burzliwej przeszłości tego grodu, wystawionego wraz z innymi zamkami Podola na ustawiczne ataki, oblężenia, spustoszenia, aż do zupełnego wyludnienia, tak iż trzeba było na nowo Budzanów osadnikami z Mazowsza do życia wskrzeszać. Tego rodzaju kolonizacja tej miejsciny ostatnia, a było to z górą lat dwieście temu, dała podwaliny pod rozwój miejscowego rzemiosła. Stanisław Szczuka, ówczesny właściciel Budzanowa, sprowadził tu wielu rękodzielników ze swego dziedzicznego Biłgoraja, nadał im przywileje i ustanowił pięć cechów, a to: szewski, garncarski, rzeźnicki, kuśnierski i sitarski. Do dziś zachowało się jeszcze nazwisko „Biłgoraj”, żywy dokument owego dla Budzanowa doniosłego faktu, a potomkowie owych przybyszów figurują po dziś dzień w księgach metrykalnych*.

Mają to sobie za zaszczyt budzanowscy szewcy, że dany im wówczas przywilej zachował się w odpisie**. Mówi w nim IMć Pan Szczuka iż... *chcąc, aby przy zakwitłym, daj Boże w potomne wieki trwającym pokoju, miasteczko moje dziedziczne Budzanów przez niepokój od Porty Otomańskiej, z ludzi i dobrego swego mienia ogołocone za gromadzeniem i osiadaniem ludzi, nie tylko kupią i handlami się bawiących, lecz rzemieślników i fundowanym onym cechów z jak największym rozszerzeniem fortuny swojej do stanu ozdoby i szczęścia pierwszego przyjść mogło, a mając podaną sobie od uczciwych majstrów i całego Zgromadzenia rzemiosła szewskiego na nadanie i ustanowienie cechu swego supplikę, tym listem przywilejem wrócą cech szewski magistrum i całemu zgromadzeniu kunsztu tego, tak teraz już tam osiadłym, jako i na potom z czasem postępującym podnosząc i nadając. Pozwalając onym tych wszystkich praw i przywi-*

leją, które w innych miasteczkach i miastach pogranicznych polskich i ruskich cechy szewskie obserwują, te wszystkie mieć, używać, onemi się wiecznymi czasy zaszczycać, majstrów obierać, uczniów na naukę przyjmować i wyzwalać i wszystkich praw i wolności cechem szewskim służącym zażywać.

Mają w tym dokumencie nie tylko budzanowscy szewcy dobrą legitymację, ale jest w tym świadectwo ogólniejszego znaczenia, tego mianowicie, że na tej ziemi już od dawna starano się o zdrową organizację rzemiosła.

* Nie wiemy oczywiście, czy po tym wszystkim, co przyniosła II wojna światowa, jakieś stare dokumenty budzanowskie się zachowały, a jeśli tak – to gdzie?

** jw.



... Musimy uznać fakty i przyjąć, że z polskiego punktu widzenia bezwarunkowe wsparcie dla międzynarodowych aspiracji pomarańczowego Kijowa nie doprowadziło do żadnego postępu w relacjach Ukrainy z Unią i z NATO ani nie rozwiązało żadnych istotnych problemów w relacjach polsko-ukraińskich. W zeszłym roku wielokrotnie zabierałem głos w tej sprawie. Postulowałem, abyśmy patrzyli na sprawy wzajemnych relacji ciepło, ale trzeźwo. A także byśmy realistycznie formułowali swoje wzajemne oczekiwania i propozycje wspólnych przedsięwzięć. [...] Już kilka lat temu, gdy współpracowałem jako szef Komisji Spraw Zagranicznych z ówczesnym wice-marszałkiem Sejmu, zgadzaliśmy się, że polityka wobec Ukrainy musi posiadać samoistne cele, niezwiązane z relacjami polsko-rosyjskimi.

Inaczej, niż wciąż myślą o nich politycy, którzy w popieraniu Ukrainy widzieli jedynie osłabienie imperializmu rosyjskiego, naciągając do swoich koncepcji tradycję Mieroszewskiego–Giedroycia. Już wtedy należało traktować Ukrainę jako państwo, które, inaczej niż Białoruś, nie odda łatwo swej niezależności od Rosji, w relacjach z Polską realizuje zaś skutecznie swoje interesy. I – trzeba to przyznać z pewną goryczą – do dziś nie uwzględni naszych postulatów.

Polska zaś przez ostatnie lata zrobiła bardzo wiele, aby nad Dnieprem nikt nie miał wątpliwości, że jesteśmy silnymi i realnymi orędownikami pełnoprawnej ukraińskiej obecności w Europie [...]. Nie możemy oceniać sytuacji na Ukrainie oczami poma-

rańczowej opozycji, nawet werbalnie najbardziej euroentuzjastycznej, ale poprzez pryzmat europejskich i polskich interesów. To z ich realizowania będzie rozliczana polska dyplomacja.

Paweł Zalewski, europoseł PO

Dobrym przykładem stosunku Ukraińców do Polaków – choć może nie na poziomie między państwowym – jest kolejne odrzucenie prośby wiernych przez sąd administracyjny Lwowa o zwrot kościoła św. Marii Magdaleny. Parafia rzymskokatolicka prosi o to bezskutecznie od 1991 r. (20 lat!). Cytujemy „Nasz Dziennik” z 28 III '11: ... sąd nie podzielił zdania parafian, uznając ich żądania za zbyt wygórowane, natomiast przyznał rację lwowskiemu rajcom, których argumentacja oscylowała bardziej wokół polityki niż merytorycznych racji. Bulwersujące jest jednak to, że sytuację Polaków na Ukrainie określono jako zdecydowanie lepszą niż Ukraińców w Polsce...

Decyzja sądu lwowskiego nastąpiła w 3 dni po przekazaniu Związkowi Ukraińców Narodnego Domu w Przemyśle...

A co na to nasi ministrowie?

Warto przy okazji zwrócić uwagę, że:

■ w „Naszym Dzienniku” z 18 IV 2011 ukazał się dramatyczny artykuł M. Wesołowskiego pt. *Niebo też kiedyś zagrmi nad Lwowem*,

■ w „Naszym Dzienniku” z 28 III 2011 ukazał się artykuł Mariusza Kamienieckiego pt. *Ukraińcy wolą filharmonię w kościele*.

POEZJA

Stanisław Gottfried

Stanisław Gottfried (1892–1915),

lwowski poeta Młodej Polski.

Wybór i opracowanie: Karolina Grodziska
i Alina Trzcionkowska, Kraków 2011

Mazur

A był ci to mazur cudny, bogaty,
Taki szumny, taki złoty – jeno śnić...
Jeno kędyś żal, tęsknotę w serce skryć,
I hen lecieć ze skrzypkami w zaświaty...

Jeno oczy w dziewosłęby oczom ślać,
Jeno gwiazdom lecieć złotym we swaty,
Póki tylko mazur tętni skrzydlaty,
Taki rzewny, taki tęskny – jeno łkać...

Wyczarował ci na licach szkarłat,
Kazał lecieć, kazał tęsknić, kazał żyć...
Hej, był ci to mazur cudny, bogaty,
Taki szumny, taki złoty, jeno śnić!...

Mościa panno – podnieś głowę,
Podaj rączki liliowe,
Na mej dłoni oprzej się –
Hej – rozjaśnij ocząt lazur,
Po klawiszach tętni mazur,
Krąg taneczny wirem wre –
Hej, talara rzuć basiście,
Niech po strunach tnie ogniście,
Niech zawrotną nutą grzmia,
Niech mazura rytm szalony
Zbudzi iskry utajone,
Co w podkówkach moich śpią.

Hej – kto żyje, niech się kręci
Wirem wkoło bez pamięci.
Niechaj wióry lecą z drew.
Skrzypki brzękły, flet zadmuchał,
Młody grajku, czyś podsłuchał
Jak szlachecka kipi krew?

29 września 1911 r.



Mona Liza

Patrzy na mnie ironicznie
Mona Liza,
Własne serce mi dogryza –
Też prześlicznie.
Smutek robi do mnie zezą –
Skandalicznie!
Patrzy na mnie ironicznie
Mona Liza.

26 lipca 1913 r.

Złoty koniaczku

Złoty koniaczku – sympatyczny płynie!
Tobie ja, biedny włóczęga, niejedną
Zawdzięczam chwilę słodką, bo bezwiedną,
Prześnioną w jakimś odurzeniu skrytem,
W którym się troska roztopia i ginie,
Dziwną się mocą zmieniając w ochotę,
Gotową pełniej odetchnąć. A przy tem
Tak złoty jesteś, jak jej włosy złote.

7 lipca 1913 r.

W styczniową noc

Coś się wielkiego lalkom pudrowanym
marzy...

Obóz, ogień, sztandary, bój, głód i śnieżycą,
A w piersi żar ogromny... Styczniowa

rocznica –
Dzień czerwcowego śniegu, skrwawionych
ołtarzy.

Pochód. Dziwne skupienie wieje z onych
twarzy,

Które sam dźwięk wolności niesie i zachwycą,
Setkami strojnych kolumn roi się ulica –

Coś się wielkiego lalkom pudrowanym
marzy...

I tamtym biednym lalkom też się coś marzyło,
Gdy szli nadzy i głodni borykać się z siłą,
A świeciła im własnych, nędznych chat
pożoga...

Śniło im się, że ryngraf zaważy na szali
Przeciwko obnażonym bagnietom Moskali,
Że wystarczy armaty pozwać przed sąd
Boga...

21 stycznia 1913 r.

Rondo

Marii Reichertównie

Wiatr cię na moją rzucił drogę,
I wiatr cię z mojej drogi zwał...
Zgasł ton, co w lutni mojej drgał
Baśń złotą ścieląc ci pod nogę.

We mgłę się rozwił cudny szal,
Przebrzmiała pieśń karpackich skał...
Znikłaś gdzieś z echem, w tęczę pożogę,
W zachodnich łun płonący wał –

Wiatr cię na moją rzucił drogę,
I wiatr cię z mojej drogi zwał...
I już cię znaleźć w mgłach nie mogę...
I nie wiem nawet, czym cię miał...

12 września 1911 r.

„Arsenał pękł”

Młodzieńcza erupcja twórczości poetyckiej, choć jeszcze nieopierzonej, patriotyczny zryw w imię Polski niepodległej, niespełniona miłość i w końcu przedwczesna śmierć spowodowana przez gruźlicę... Jakież to romantyczne! Jakby wyjęte z kart dawnego romansidła, ale i typowe dla czasów przez nas nazywanych okresem Młodej Polski. Wówczas rytm poetycki wybijali Stanisław Wyspiański, Lucjan Rydel. Kazimierz Przerwa-Tetmajer i wielu innych znamienitych ludzi pióra. Pierwszy z wymienionych także przedwcześnie zabrany został przez śmierć, choć zdążył jeszcze wyraziście zapisać się w dziejach literatury polskiej.

Stanisław Gottfried – bo jemu ten tekst jest poświęcony – zmarł w wieku zaledwie 23 lat. Przez kilka lat oswajał się ze świadomością powolnego umierania, wiedział, że musi się spieszyć, że może nie zdążyć postawić ostatniej kropki na końcu zdania. Mimo to nie udało mu się wykształcić swojego stylu, nie zdołał wyraźnie odbić się i wyjść przed szereg młodych zachłannych twórców. Nie zdążył...

Dobrze jednak, iż w prawie stulecie jego śmierci znalazły się dobre dusze – Karolina Grodziska i Alina Trzcionkowska, które uporządkowały jego dzieło, dokonały wyboru i oddały głos poecie. Młodemu poecie nieszczęśliwemu z miłości, zawiedzionemu życiem. Stąd gorycz, obawa i zniechęcenie z jednej strony, z drugiej zaś wola życia i chęć poznawania go niemal do ostatniego tchu! Jego ostatnie słowa na łożu śmierci brzmiały: *Arsenał pękł*. Nawiązywały do poetyckiej wyobraźni młodego człowieka o śmierci. Te dwa słowa zdają się potwierdzać to, co zawarł w dramatycznych słowach wiersza „Śpij serce”:

*A chyba kiedyś już za dużo będzie krwi,
To pękni – a powiedzą, żeś z radości pono
pękło –*

*A jeno milcz, by tłum, co z serca kpi,
Miał mniej o jeden śmiech, o jedną
okrwawioną duszę.*

*Nie będą pluć na ciebie przeniewierce –
Samotnie leż i dumnie w gronostajowej
trumnie.*

Śpij obłąkane, głupie, nieszczęśliwe serce.

Czytam wiersze i biogram poety, młodego człowieka, wychowanego w dobrym polskim domu z zasadami. Wyształconego we Lwowie – V Gimnazjum i prawo na Uniwersytecie Lwowskim. Jakże to wyraziście widać i słycać w jego – jednak pograżonych w zadumie i smutku – wierszach. Wyraziście piętno na jego twórczości wywarła jedna, jedyna, wielka miłość poety, nieodwzajemniona i odrzucona.

Czy brakuje w jego wierszach szczypty „pieprzu”, wynikającego z doświadczeń nienajlepszego prowadzenia się, gdzie alkohol i rozpasane życie stwarzają nowe dla współczesnych mu twórców horyzonty twórcze? A może zabrakło doświadczenia krwawej wojny, która u schyłku jego życia na dobre rozsiała się w Europie, nie szczędząc przecież i jego rodzinnego Lwowa? Czy gdyby dodać szczyptę „soli” śmierci krwawej, tragicznej, jego wiersze brzmiałyby lepiej? Kto wie! Tymczasem czytamy wiersze piękne, w których poeta zachował doznania chwili, wzruszenia, czy to pięknem otaczającej go przyrody, obserwowanych wydarzeń, czy to wyniku z lektury czytanych właśnie książek.

Jakże ciekawa i nie pozbawiona dramatyzmu jest wędrówka rękopisów młodego Stanisława. Archiwum po nim opiekowała się matka Józefa z Dropiowskich Gottfriedowa, po śmierci której rękopisami opiekował się brat Stanisława – Roman. Był absolwentem Politechniki Lwowskiej i już w czasie II Rzeczypospolitej przeniósł się – a wraz z nim powędrowały wiersze Stanisława – na Górny Śląsk. Po wybuchu II wojny światowej zamieszkał w Warszawie. Jego mieszkanie zostało zbombardowane podczas Powstania Warszawskiego. Rękopisy i maszynopisy (Roman Gottfried czasie okupacji zaczął je opracowywać i przepisywać) wydobył z gruzów syn Romana – Jan Gottfried, który po latach przekazał je do zbiorów rękopiśmiennych Biblioteki PAU w Krakowie.

Książka opatrzona jest interesującymi fotografiami. Wydany tom jego wierszy *Stanisław Gottfried (1892–1915) lwowski poeta Młodej Polski* warto przeczytać, by dzięki jego twórczości na chwilę poczuć atmosferę przełomu wieków XIX i XX.

Janusz M. Paluch

Kazimierz Schleyen

TEATR

Zagapił się jeden z drugim na pomnik króla Jana Sobieskiego na Wałach Hetmańskich i nie może się napatrzeć. Aż przenosząc wzrok z pomnika, zobaczył lwowski teatr u wylotu Wałów w ramach alei drzew, zwięzającej się w perspektywie. Idzie ku niemu. Im bliżej tym teatr ładniejszy. Coraz ładniejszy. Najpiękniejszy teatr w Polsce. Wnętrze i rozwiązanie przestrzeni imponuje jeszcze bardziej. Po wysłanych marmurowych schodach wejście na pierwsze piętro, gdzie cały front teatru zajmuje foyer, miejsce przechadzek w czasie antraktu, bardziej tłumne niż w rzeczywistości, bo olbrzymie lustra między kolumnami powielają postacie. Była to sala balowa wielkich rautów i reprezentacyjnych balów. Niestety palić nie można i choć zimno, trzeba wyjść na balkon, a warto stąd spojrzeć na sznury światła wzdłuż Hetmańskich Wałów i panoramę wielkowiejską. We wspaniałym amfiteatrze tylko złoto, biel i purpura. Kolory nie rażą przesadą, lecz podnoszą dostojność przybytku. Imponujący żyrandol rzuca blaski na kurtynę: arcydzieło Siemiradzkiego. Na prawo łoża prosceniowa pierwszego piętra, ongiś cesarska. Siadywały w niej rody panujące, najwyżsi dygnitarze rakuscy i namiestnicy ck Galicji i Lodomerii. W łoży tej siedział austriacki prezydent ministrów hr. Kazimierz Badeni, gdy w czasie przedstawienia operetki aktor Myszkowski miał paść przed cesarzem japońskim i zawołać: Mi-ka-do! Tymczasem padł w kierunku łoża premiera wołając: Ba-de-ni! Ukarali go za to jednym dniem aresztu z zamianą na grzywnę, którą z ochotą zapłacił sam premier.

Doczekał się wreszcie Lwów, że pojawił się w tej łoży Naczelnik Państwa Józef Piłsudski, który znał tę scenę dawniej ze znacznie skromniejszych miejsc. Potem zasiadali w tej łoży późniejsi Prezydenci Rzeczypospolitej, a na co dzień przedstawiciele Rządu, lwowski wojewoda. Lewa łoża prosceniowa gościła prezydentów miasta, swoich jaśnie wielmożnych wybrańców ze „Strzelnicy”.

Największą osobiwością teatru był fryzjer teatralny pan Tomasz Rzeszutko. Szara

PROZA

eminencja, nieomal dyrektor teatru przez lat dwadzieścia. Wtajemniczeni wiedzieli, że wywiera wpływ na obsadę, a nawet wybór sztuk. Z jego zdaniem liczyli się wszyscy, bo ludzi i kulisy znał świetnie. Uchodziło mu wiele, był szczerym entuzjastą lwowskiego teatru, sprawiedliwy w swej opinii, nie ulegał zakulisowemu wpływowi. Do największego rozkwitu doszedł teatr za dyrektury Tadeusza Pawlikowskiego, który do teatru dokładał, i Ludwika Hellera, który umiał połączyć sztukę z interesem i wywiózł teatr lwowski daleko za granicę, aż do samego Paryża i obcy ludzie gęby rozdziawiali z podziwu. Na obu psioczono. Na pierwszego ci, co się nie znali, na drugiego ci, co na teatrze się znali.

Do tego gmachu niedaleko miał się przeprowadzić dawny lwowski teatr, bo tylko z sąsiedniej ulicy, z gmachu skarbkowskiego, który własnym sumptem ufundował i układania każdej cegły dopilnował Aleksander Skarbek.

Przez lwowską scenę przesunęli się wszyscy giganci polskiej sceny, nieraz długo gnieźdząc się we Lwowie. Od Modrzejewskiej, Leszczyńskiego, Kamińskiego po Frenkla. Byli jednak artyści, co na długo związali się z lwowską sceną, jak przezacna matrona Anna Gostyńska, kapitałna Pani Dulska, niezapomniany Cyrano de Bergerac, Kościuszko i Fryderyk Wielki – Józef Chmieliński, wstrząsający odtwórca Ibsena Karol Adwentowicz, uosobienie kobiecości Irena Trapszo, zbyt młodo zmarły amant Ludwik Wostrowski, arcykomik i tragik Ferdynand Feldman, zawsze czarny charakter Józef Hierowski, piękna jak zjawisko Anna Zielińska, doskonały Albin ze *Ślubów paniieńskich* – popularny Jaś Nowacki i tyłu, tyłu innych. Choć opuści Lwów Chmieliński na deski warszawskie czy Jaś Nowacki na scenę krakowską, długo zostaną w sercach lwowskich wielbicieli teatru.

Odejdzie ze Lwowa Wanda Siemaszkowa, zawsze natchniona i płomienna. Nie przygasi jej ani ósmy krzyżyk, ani śmierć ukochanego syna Wojtka, obrońcy lwowskiego dworca z 1918 roku, rotmistrza, który zginął na patrolu na kilka godzin po zawieszeniu broni, zanim wiadomość o zaprzestaniu działań wojennych dotarła do ułanów.

Odejdzie na stałe ostatni z wielkiej dawnej szkoły Roman Żelazowski, deklamator na scenie i w codziennym życiu, nieporównany Otello i Wojewoda z *Mazepy*. Ale Lwów o nim

nie zapomni i ślepnącemu starcowi zaofiaruje na własność dworek we Lwowie.

Gdy wreszcie odeszli lwowscy aktorzy do nowego, piękniejszego gmachu, w skarbkowskim teatrze odbywały się koncerty.

Teatr był jeden, więc na tej scenie gościła również opera i operetka. Warto było posłuchać Mefista – Adama Didura, który głosem i grą aktorską mógł ustępować tylko Szalapinowi, i Bandrowskiego w *Pajacach* czy Mimi – Bohuss Hellerową.

Znawcy twierdzili, że operetkę wiedeńską lepiej grali we Lwowie niż w Wiedniu i nie zamieniliby Heleny Miłowskiej na żadną gwiazdę naddunajską.

Lwowski student dokazywał cudów pomysowości, by zdobyć pieniądze na bilet teatralny. Gotów był nawet sprzedać serię znaczków Jamajki z wodospadem, z której był tak dumny, by zobaczyć po raz trzeci *Kordiana*. Wprawniejsi umieli na gapę przedostać się na galerię po dziewięć razy w tygodniu, bo w soboty i niedziele odbywały się przedstawienia popołudniowe. Chępli się tym, że potrafili zmylić czujność biletera i baczne oko kontrolującego pana Ringlera. Nie wiedzieli o tym, że nie zmylili nikogo, że tylko przymykano oczy, że otwierało furtkę do czarów baśni scenicznej dobre lwowskie serce biletera, który chętnie dał się nabrać i sam się rozgrzeszał w swym sumieniu z nieścisłego wykonywania swych obowiązków.

Kochali lwowiacy swój teatr i chodzili jak mogli najczęściej, łamiąc bez skrupułów prawo szpery. Co było związane z teatrem, obchodziło wszystkich. Od tego smarkacza wymyślającego najdowcipniejsze fortele, by bez biletu dostać się na galerię, co w *Bezgrzesznych latach* tak pięknie opisuje osobisty uczestnik tych wypraw Kornel Makuszyński, aż po staruszka emeryta, pamiętającego jeszcze pana Aleksandra Fredrę z ul. Chorańczyzny. Teatr był chlebem powszednim, lecz wybranie się do teatru było zawsze uroczystością, dłużej niż w innym mieście komentowaną. Do teatru trzeba się było wystroić najodświętniej. „Dzisiaj idziemy do teatru” więc i radosny kłopot dla gospodyni. I fryzjer konieczny i trzeba przyspieszyć kolację i zostawić coś w „bratruze” na „po teatrze”. Z teatru przynoszono programy teatralne i składano je pieczętówicie, bo w nich

dokończenie na s. 48

POGROBOWIEC LWOWSKIEGO HUMORU

Redaktor Adolf Dolleczek-Ołpiński

Cóż może człowiek lepszego robić, niż być wesółym!?... zapytywał już Szekspir, rozpatrując sens ludzkiego życia. Takie też pytanie zadawał sobie przeciętny lwowiak, który szczególnie w dobie autonomicznej Lwowa, w latach 1870–1918, mobilizował wszelkie środki kulturalno-polityczne, podtrzymujące jego kondycję moralną, hart ducha i odporność nerwową w walce o pełne prawa polityczne i obywatelskie.

Zgodnie z niemal 100-letnią tradycją lwowską, jednym z narzędzi pobudzania wesołości i zapewnienia sobie pogody ducha na co dzień były czasopisma humorystyczne, których nie brakło we Lwowie, poczynając od 1834 roku, kiedy to właśnie w naszym mieście ukazał się pierwszy w ziemiach polskich periodyk satyryczno-humorystyczny, wychodzący kwartalnie „Śmieszek”.

W ciągu stulecia od chwili zainicjowania drukiem swego prawa do śmiechu ukazało się we Lwowie 50 i kilka tytułów czasopism *tkniętych satyrą i humorem*. Bardzo często były to efemerydy i druki wydawane nielegalnie, satyra bowiem i szyderstwo stały się także znakomitym środkiem ośmieszania władz i wstecznych poglądów politycznych, dlatego też z trudem udało się zarejestrować większość z nich. Pełnego spisu lwowskich czasopism humorystycznych nie zdołał zebrać nawet tak wytrawny bibliograf jak Karol Estreicher, autor *Bibliografii polskiej XIX wieku*.

Dopiero wraz z tradycyjnie lwowskim tygodnikiem „Szczutek”, ukazującym się od 1869 r., humor czasopiśmienniczy wszedł na drogi legalne i od tej pory nigdy we Lwowie nie było całkowitej próżni w zakresie wydawania periodyków śmiechotwórczych.

W niektórych latach omawianego stulecia stawał się Lwów wręcz miejscem prawdziwej inwazji wesołych czasopism. Np. w r. 1895, po wielkiej Wystawie Krajowej, w stolicy Galicji ukazywało się równocześnie aż 5 czasopism humorystycznych: „Szczutek”, „Śmigus”, „Zagłoba”, „Wesoły Kurier” i „Humorysta”. Fenomen wyda-

niczy na skalę światową, jeżeli zauważymy, że Lwów liczył wówczas zaledwie 150 000 mieszkańców, a cała współczesna Polska Ludowa zdołała w ciągu 40 lat istnienia wyżyć tylko 2 tego typu tygodniki: „Szpilki” i „Karuzela”! ...

Od początków powstania niepodległej Polski w 1918 r. wychodziły we Lwowie nadal 3 tygodniki: odnowiony po długiej przerwie „Szczutek”, „Pociąg” i „Kabaret”. Wszystkie te pisma pochłoniął wielki kryzys gospodarczy, który w latach 1929–1933 pustoszył kraje Europy i Ameryki, łącznie oczywiście z Polską.

Satyryczno-polityczny „Szczutek” stał się ośrodkiem twórczości humorystycznej dla inteligencji literatów i karykaturzystów tej miary co S. Wasylewski, H. Zbierchowski, W. Raort, M. Hemar oraz K. Grus i Z. Czernański. Natomiast „Pociąg” i „Kabaret” reprezentować miały w swym założeniu humor przedmiennie, dla najstarszych warstw lwowskiej ludności, a redagowane były przez redaktorów-amatorów, rekrutujących się ze sfer drukarskich. Tak więc „Pociąg” wydawany był przez Jana Bolkota, doświadczonego zecera w drukarni „Wieku Nowego”, a „Kabaret” redagował od 1918 r. Adolf Dolleczek-Ołpiński, pochodzący z rodziny wzbogaconych drukarzy.

Obaj oni reprezentowali humor lwowski, kontynuowany według tradycyjnych wzorów, wypracowanych w ciągu długoletniej działalności przez redaktorów dawnego „Szczutka” i „Śmigusa”. Dbali więc o atrakcyjne, rysunkowe okładki, dobre i liczne karykatury, wprowadzali na szpalty swych wydawnictw bohaterów uciśnionych przygód, jak również dla kontrastu – poważnych rezonerów ludowych. „Pociąg” postawił na popularnego cwaniaka, Jóźka Ciuchraja, batiara z Łyczakowa; „Kabaret” zaś, poza sympatyczną Michałińcą Świrk, romansowym dziewczęciem z małomieszczańskiej rodziny, która była bohaterką tysiąca naiwnych przygód, udzielał głosu takim męskim przedstawicielom populacji podmiejskiej jak Grzesko Doliniarz i Gucio Lufcik. Oprócz tego wprowadzał na łamy czasopism przedstawicieli poetów amatorów twórczości estradowej.

Pomimo dziwacznych dowcipów i rozpaczliwych wysiłków wydawniczych, zmierzających do rozweselenia zbiedniałego na-

gle społeczeństwa, prężny dotychczas, nawet w okresie I wojny światowej, „Pociąg” doznał z trudem do r. 1931, „Kabaret” zaś nie przetrwał roku 1930, chociaż Olpiński osiągał na jego łamach szczyty swych możliwości poetyckich i śmiechotwórczych. Nie potrafił jednak, a może i nie chciał, wyzbyć się tradycyjnej manieri tzw. humorystycznej szkoły lwowskiej. Stał się tej szkoły pogromcą i upartym kontynuatorem. Już jednak w roku 1930 wyczuwał, że „Kabaret”, a z nim i jego pióro nie nadążają za nowymi wymaganiami czytelników. W tym czasopiśmie drukował w latach 1929/30 popularne, pisane z dużą swadą i komicznym zacięciem *Żale dziadkowe*. W jednym z ostatnich zeszytów rocznika 1930 pożegnał się po swojemu z wiernymi czytelnikami i całą twórczością, opartą na wzorach dziewiętnastowiecznych:

ŻALE DZIADKOWE

*Dzisiaj wam dziadek niewesoło śpiewa,
Bo mu ze złości aż się żółć przelewa,
Że tak już ginie, jak w rosale mucha,
Nikt go nie słucha!*

*Tracę dokoła swoich zwolenników
Od cywilników aż do pułkowników;
Ach któż mnie teraz, mój Ty miły Boże,
Radą wspomóż? ...*

*Na moje pieśni o dnie piekła, raju
Mówią mi w oczy: baj nam stary baju!
Siądź se przy piecu i tam do cholery
Pucuj orderki!*

*Na odpust nigdzie we własnej osobie
Już pójść nie mogę, więc też nie zarobię.
Wszędzie się sprzykrzył, jeno jeszcze w Wilnie
Siedzę dość silnie.*

*Zasię Lwów, Poznań to zakątki marnie,
W których me piosnki nie są popularne.
Od dawien dawna jakoś mi nierade,
Więc tam nie jade ...*

*Na świecie jeszcze ten się nie urodził,
Ktoby każdemu człowiekowi dogodził,
Ni Adam Ewie ... ni to Marcin Baśce,
Chyba ksiądz Kaśce! ...*

Po likwidacji „Kabaretu” uruchomił Doll-Olpiński na pół roku wydawnictwo „szampańskiego” tygodnika pt. „Hulaj dusza” (łącznie 22 numery); pogłębiający się atoli kryzys uniemożliwił mu dalsze wydawanie i tego czasopisma. Po upadku zaś „Pociągla” wszystkie

remanenty wydawnicze ówczesnych periodyków satyrycznych przejął raz jeszcze ten ostatni, lwowski profesjonalny redaktor-humorysta i wraz z anonimową spółką autorską uruchomił pod koniec 1932 r. tygodnik o dość ryzykownym tytule „Komik Polski”.

Było to najtańsze wówczas czasopismo ilustrowane w Polsce. Numer kosztował za ledwie 10 groszy, a więc tyle co jeden egzemplarz dziennika lwowskiego „Wiek Nowy”, a rozchodziło się ono w całym kraju w pokątnym nakładzie 50 000 egzemplarzy.

Red. Olpiński wymyślał dla „Komika” wręcz karkołomne tematy i piekielne „rewie”, zatytułowane np. *U piekła bram, Na piekielnej patelni* itp.; zwariowane skecze i ryzykowne dowcipy; kreował parę popularnych wesołków Antek i Kantek, konkurował ze Szczepkiem i Tońkiem, próbując ich połączyć z podstarzałym Józkiem Ciuchrajem; wyklócał się też z radiowym Szczepkiem Wajdą i Tońkiem Vogelfaengerem o pierwszeństwo batiańskiego humoru na łamach „Komika”, tworząc kolejno dialogi Szczepka i Tońka oraz tyrady Strońcia. Potem stworzył cykl *Roześmiany mikrofon* i wreszcie wykoncypował *Rewię dziadów krajowych* oraz drukował inne motywy dziadowskie lub odpustowe. Wystarczyło mu jednak fantazji i wytrwałości tylko do początków 1936 roku.

Mimo bowiem znacznej pomysłowości i ruchliwości redaktorskiej „Komika”, publiczność lwowską pociągał już inny rodzaj śmiechu, którego wykładnikiem stała się żywa, radiowa Wesoła Fala i jej najpopularniejsi bohaterzy: Szczepko, Tońko i radca Strońć...

Olpiński znika wówczas na krótko z areny humorystycznej Lwowa. Gdzieś wśród plotek prasowych i kawiarnianych omawiane są jego pomysły wydawnicze, wspominało o tym, iż próbował znaleźć amatorów-wydawców czasopism o tak ryzykownych tytułach jak „Stary Piłat” czy nawet „Kuku na Muniu!” ...

Ale już w 1938 r. pojawiają się nowe tygodniki satyryczne: „Chochol” (red. J. Bermań) i „Omnibus” (red. Norbert Hebenstreit), które zasilają swoimi utworami satyrycznymi nawet sam inż. Szymon Wiesenthal, powojenny pogromca hitlerowców i morderców Żydów lwowskich! Nie utrzymały się na rynku lwowskim. Wyspekulowany dowcip i zgryźliwy humor ówczesnych przedstawicieli ży-

dowskich sfer Lwowa nie znalazły większej liczby amatorów.

Rynek humorystyczny lwowski nie znosił jednak próżni!... Więc też jak ten Feniks odrodzony z popiołów humorystycznych pojawia się niespodzianie z oddali, spoza Lwowa z początkiem 1939 roku nasz niezłomowany twórca przedsięwzięć wydawniczych typu humorystycznego A. Doll-Olpiński! Nie potrafił się wyzwolić z magicznej obsesji humoru lwowskiego, więc tylko zmienił rynek czytelniczy na finansowo bardziej korzystny w Warszawie!

Tam zresztą już od 1935 r. istniało pierwsze w świecie Koło Lwowian z gen. Litwinowiczem na czele i mec. Wałukiewiczem jako rzecznikiem prasowym oraz rosnąca z każdym rokiem gromada rodaków osiadłych w stolicy, zakochanych we wszystkim, co przypominało rodzinne miasto. W Warszawie więc z początkiem 1939 r. zainstalował się red. Doll-Olpiński przy Al. Jerozolimskich i uruchomił nowy tygodnik humorystyczny, zatytułowany „Wesoła Fala”, z lewkiem lwowskim i panoramą miasta w nagłówku. Liczył na popularność Wesołej Fali w stolicy, a także na brak pretensji ze strony oryginałów Szczepka i Tońka oraz radcy Strońcia do twórczości humorystycznej tworzonej przez tych sobowtórów.

W stolicy rozegrał się zatem czasopiśmiennego humoru lwowskiego akt ostatni. Zapoczątkował w nrze 1 „Wesołej Fali” godny i liryczny wstęp-manifest, wystosowany przez redaktora do swych przyszłych czytelników:

*Oto idziemy do Was przez przestrzeń, Kochani,
Polskę przepływamy tą najmiłszą z fal,
Z nami idzie wesele, radość idzie z nami,
Przestrzenie przezycięża i poskramia dal (!)
Radości i wesela Polsce dziś potrzeba,
Uśmiechu na jej usta i pogody dusz! ...*

by potem kontynuować serię lwowskich kawałów, dowcipów i wierszy, pisanych dla *pokrzepienia serc*. W każdym numerze „Wesołej Fali” dawał Olpiński dowody swego przywiązania do rodzinnego Grodu, obserwował życie lwowiaków z daleka, troszczył się satyrycznie o sprawiedliwe wybory do Rady Miejskiej, zamieszczał powiedzonka batiańskie, błdził tęsknymi wspomnieniami po lwowskich placach i zaułkach, dbał o utrwalenie w pamięci swoich oraz obcych nazw ulubionych ulic lwowskich, o których

napisał kiedyś R.A. Borth, że w zakresie pomysłowości i humoru, jakie włożyli mieszkańcy Lwowa w nazwy swych ulic, nie ma podobnego miasta na świecie. Były bowiem we Lwowie ulice: Prosta, Łamana i Sierpowa, Mała, Niecała i Ucięta, Schodowa i Szkarpową, Na Debrach (?), Starotandetna (!) i Starozakonna, Kąpielna i Łazienna, Zdrowa i Zdrowia, Konduktorska i Pompierów. Była ul. Strzała, i najstarsza Ormiańska, i najmłodsza – Orląt. W XX stuleciu nazwy ulic były we Lwowie już 6-krotnie zmieniane, zanim więc dokona się siódme i ostatnie przemianowanie ulic m. Lwowa po naszym do Miasta powrocie, przypomnijmy sobie na zakończenie topografię dawnych ulic Lwowa, w tym układzie, w jakim red. Olpiński chciał je przekazać potomności w uciśnym opowiadaniu, zamieszczonym w numerze 6 „Wesołej Fali”:

TRAGEDIA OSNUTA NA TLE NAZW LWOWSKICH ULIC

On był rzeźbiarzem i mieszkał na *Rzeźbiarskiej*, ona krupiarką i mieszkała na *Krupiarskiej*. Po ślubie zamieszkivali na *Kochanowskiego*, gdzie mieli sporą gromadkę *Lwowskich Dzieci*. W jakiś czas on zaczął chodzić *Krzywą* do *Teresy*, więc mu *Zofia* uczyniła krótką wymówkę, w czasie której on zajął postawę *Rycerską*, nie chcąc wyzbyć się drogi *Dojazdowej*, do swojej *Jasnej*, *Złotej*!

Ona widząc, że *Niecałą* jest jego miłością, poczęła *Boczną* chodzić do *Stanisława* i na *Spadzistej* upadła! Cicha ta idylla stała się wkrótce *Tatarską* awanturą; ona zaczęła tęsknić za *Panieńską* przeszłością, w czasie której posiadała *Wolność* i urządziła sobie nadal z kochankiem *Miodową* schadzki. Z tej przyczyny powstały *Skargi* na *Sądowej*, których treść wcale nie była *Źródłana*, ale *Błotna* ... więc się rozeszli. Ona teraz chodzi na *Legionową*, on zszedłszy na *Łazarza* znalazł *Kącik* na *Batorego*, skąd wyjdzie na pewno na *Józefata*.

Niech pozostanie w naszej pamięci red. Adolf Doll-Olpiński, ostatni przedstawiciel humoru i lwowskich wesołych czasopism stolicy!

SYLWETKI

Prof. dr hab. Maria Jordan (1922 - 2011)



Są takie chwile i miejsca, które trwale przechowujemy w pamięci i są tacy ludzie, których nie sposób zapomnieć. Do takich należy śp. prof. Maria Jordan, wspaniała, prawy Człowiek, pełna mądrości i wielkiego

serca, o szerokich horyzontach wykraczających poza zainteresowania i osiągnięcia zawodowe, głębokiej wiary i miłości Ojczyzny. Zmarła w Krakowie 1 czerwca 2011 roku.

Ze smutkiem i żalem, ale i chrześcijańską nadzieją pożegnaliśmy Ją 7 czerwca na Cmentarzu Salwatorskim. Liczny udział w pogrzebie był wyrazem szacunku dla Jej bezprzykładnie szlachetnego całego życia, dorobku naukowego i otwarcia na ludzi i ich sprawy.

Urodziła się 9 sierpnia 1922 r. w Stanisławowie. Tu upłynęło Jej szczęśliwe dzieciństwo i młodość, letnie wakacje spędzane w Karpatach Wschodnich, których piękno w zupełności zaważnęło Jej sercem.

Zawsze wspominała, że Alpy są piękne, prawie jak nasze Tatry (w 1958 r. była na stażu naukowym w Lozannie), ale Czarnohora i Gorgany są piękniejsze, a drzewa zakorzenione w ziemi stanisławowskiej bardziej dorodne i kwiaty w swej różnorodności bardziej nasyczone barwami. Upust swojemu zauroczeniu Huculszczyzną i tęsknotą za pięknem tamtych utraconych stron dawała w młodzieńczych wierszach.

*Po co ja piszę te wiersze?
Nikt mi nie kazał – nie muszę!
Lecz piszę, bo gdzie wyśpiewam
serce i duszę?*

W Stanisławowie były też początki Jej edukacji zwieńczonej maturą w 1941 roku

(wg programu szkół sowieckich). Była wychowana w bardzo patriotycznej rodzinie, ale w świadomości przenikania się i współistnienia kultur z wielowiekową koegzystencją, czterech dominujących nacji – Polaków, Rusinów-Ukraińców, Ormian i Żydów.

Kiedy we wrześniu zaczęła się wojna i istotnym elementem polityki okupantów wobec Polaków była walka z inteligencją, w sierpniu 1941 r. straciła ojca podczas egzekucji ponad 300 przedstawicieli polskiej inteligencji w Czarnym Lesie, w pobliżu wsi Pawełcze pod Stanisławowem, dokonanej przez gestapo przy udziale nacjonalistów ukraińskich. W 1944 roku wraz z matką była zmuszona opuścić Stanisławów, zatrzymując się w podkrakowskich Myślenicach – rodzinnej miejscowości ojca.

W maju 1945 roku rozpoczął się w jej życiu nowy etap – krakowski. Maria Jordan ukończyła studia farmaceutyczne na UJ uzyskując w 1949 r. doktorat. Następnie studiowała na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi na UJ, gdzie w 1966 r. zrobiła habilitację, a w 1976 r. uzyskała tytuł naukowy profesora.

Pracę zawodową rozpoczęła w 1947 r. w Zakładzie Biologii Akademii Medycznej u prof. S. Skowrona. Od 1955 r. do emerytury w 1988 r. pracowała w Zakładzie Zoologii Doświadczalnej PAN, będącym kolejno częścią Zakładu Systematyki i Zoologii Doświadczalnej, a następnie Instytutu Systematyki i Ewolucji Zwierząt. W latach 1976 do 1988 była kierownikiem Zakładu Zoologii Doświadczalnej.

Przez 17 lat była też redaktorem naczelnym kwartalnika naukowego „Folia Biologica” (Kraków). Jej dorobek naukowy to około 60 prac z zakresu kariologii zwierząt (kariologia to nowoczesna dziedzina cytologii o istocie i strukturze jądra komórkowego), cytologii, zoologii doświadczalnej i ekologii.

Prof. Maria Jordan wychowała wielu pracowników naukowych, dzieląc się swoją wiedzą i doświadczeniem, była recenzentem szeregu prac doktorskich, habilitacyjnych i opinii dorobku profesorów.

Po przejściu na emeryturę nadal zajmowała się tematyką przyrodniczą. Bliska była Jej relacja bytu i absolutu, czyli chrześcijańska wizja natury i w tej optyce postrzegała człowieka i wszelkie stworzenia, zasiada-

jąc w honorowym Komitecie sesji chrześcijańskiej etyki ekologicznej. Aktywnie też uczestniczyła w życiu parafii św. Kazimierza na Grzegórkach, pisując artykuły do parafialnego miesięcznika „Królewicz” redagowanego od 1998 r. Były to z pietyzmem i miłością ożywiane wspomnienia o Stanisławowie i Ziemi Stanisławowskiej.

Kiedy w latach osiemdziesiątych wszystko w Polsce zaczęło się zmieniać i kresowanie zaczęły się zrzeszać, w lutym 1989 utworzony został Krakowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, a w jego ramach powstało Koło Stanisławowian. Maria Jordan bardzo aktywnie włączyła się w jego działalność i z okazji Jubileuszu XX-lecia Oddziału została uhonorowana Złotą Odznaką Zasłużonego Członka TMLiKPW.

Była towarzyska, dowcipna, z dużym poczuciem humoru, również na własny temat, z dystansem do siebie, życzliwa, zawsze wspomagająca dobrą radą.

Jej myśli krążyły nad krajem dziecinnych snów, który stale otaczała modlitwą. Jednak mając wielokrotnie możliwości, nigdy nie zdecydowała się pojechać do Stanisławowa, chciała, by wspomnienia – jak najdroższy skarb – zostały w jej duszy bez zmian.

Zaszczycona Jej przyjaźnią dziękuję
za wszystkie lata współpracy i doznane
dobro. Byłaś i będziesz nadal z nami.

Krystyna Stafińska,
prezes Koła Stanisławowian

TEATR – dokończenie ze s. 43

dużo ciekawych rzeczy przeczytać można, a przede wszystkim zawierają fotografie tak dobrze znanych i bliskich sercu aktorów.

Wejźdźmy i my do teatru. Usiądźmy ciuchtko na czerwonym, pluszowym fotelu. Światła przyćmiono. Muzyka stroi instrumenty. Za chwilę popłynie na widownię uwertura z *Halki*.

Przymknijmy oczy i pomyślmy. Czy to możliwe?

Czy obecna rzeczywistość to może tylko koszmarny sen?

Tekst zaczerpnięto z: Kazimierz Schleyen, *Lwowskie gawędy*, Warszawa 2002 (wydanie czwarte; wydanie pierwsze – wydawnictwo Janique, Londyn – Toronto, 1954).

Biskup Marcjan Trofimiak

Marzymy o wizycie papieża na Ukrainie i Białorusi

Rozmowa przeprowadzona w grudniu 2010 r. przez Krzysztofa Tomasika z Katolickiej Agencji Informacyjnej (KAI). Problematyka rozmowy dotyczy raczej obszaru Wołynia i Ukrainy właściwej niż Małopolski Wschodniej.

KAI: Jak ocenia Ksiądz Biskup sytuację Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie po 20 latach niepodległości?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, należy uświadomić sobie, że w czasach radzieckich nasz Kościół prawie przestał istnieć. Na terytorium sześciu województw Ukrainy Zachodniej ocalało jedynie 13 kościołów, w pozostałych województwach, czyli Ukrainy Centralnej i Wschodniej, które wcześniej zostały okupowane przez władze radzieckie, zamknięto wszystkie kościoły i dopiero w czasie wojny, a potem pod koniec lat pięćdziesiątych i w początkach sześćdziesiątych udało się zarejestrować wspólnoty parafialne i otworzyć niektóre kościoły w Żytomierzu, Odessie, na Winniczyźnie i Chmielniczyźnie. Wyjątek stanowiło Zakarpacie, gdzie przetrwały węgierskie i słowackie wspólnoty parafialne i gdzie ocalało więcej kościołów. Nie było biskupów, nie było seminariów duchownych, zakony funkcjonowały nielegalnie.

Obecnie na Ukrainie mamy dwunastu czynnych biskupów, funkcjonują trzy seminaria duchowne, liczba parafii przekroczyła tysiąc. Odradzają się zakony. Mogę więc powiedzieć, że sytuacja Kościoła katolickiego na Ukrainie zmieniła się na lepsze.

Od 20 lat Kościół katolicki cieszy się autentyczną wolnością...

To trudno stwierdzić jednoznacznie. Oczywiście jest zupełnie inaczej niż za czasów radzieckich, obecne prawo ukraińskie daje Kościołowi wielkie pole działania, ale niekiedy zdarzają się próby ograniczania wolności Kościoła.



Przez wieki dla większości Ukraińców rzymski katolik „musiał” być Polakiem...

To prawda, dawniej Kościół rzymskokatolicki był postrzegany jako Kościół polski. Wiadomo, że jeszcze przed II wojną światową katolicy obrządku łacińskiego w absolutnej większości byli Polakami, natomiast Ukraińcy byli albo prawosławnymi, albo grekokatolikami. Obecnie Kościół łaciński na tych terenach w pełni zasługuje na miano powszechnego. Do naszego Kościoła należą tak Polacy, jak i Ukraińcy, Rosjanie, Białorusini, Łotysze, Litwini, Węgrzy, Czesi, Słowacy i inne narodowości. W związku z tym słyszymy nieraz zarzuty o uprawianie prozelityzmu. To absolutnie nieprawda. Nie uprawiamy prozelityzmu w żadnej formie, ludzie przychodzą do nas dobrowolnie, świadomie wybierając ten obrządek jako bardziej odpowiadający ich potrzebom duchowym. Nikogo nie przyciągamy i przed nikim drzwi nie zamykamy. Uważamy, że prawo wolnego wyboru religii czy obrządku jest nienaruszalnym i podstawowym prawem każdego człowieka.

Prawosławni nie protestują?

Zdarzają się wyrazy niezadowolenia na poziomie lokalnym, ale trudno się temu dziwić. Natomiast nie spotkaliśmy się nigdy z protestem oficjalnym.

Zsekularyzowany świat stawia coraz większe wymagania wobec dawania chrześcijańskiego świadectwa...

Tak, chodzi o świadectwo naszego wspólnego chrześcijaństwa, które ma bardzo różne tradycje. Te różnice nie powinny stawiać nas jednych przeciw drugim, nie powinni wzbudzać antagonizmów, wręcz odwrotnie – powinny siebie wzajemnie uzupełniać i wzbudzać szacunek.

Po 20 latach wolności Ukraińcy są bardziej otwarci na Chrystusa, na wiarę?

Naród ukraiński jest głęboko religijny i potrzeba wiary jest niejako wrodzoną cechą tego narodu. Od wiary nigdy nie odstępował, tylko że w czasach totalitaryzmu nie mógł jej w pełni praktykować. Teraz cieszy się wolnością i dlatego życie religijne tak wspaniale się odradza.

Co obecnie deformuje świadectwo chrześcijańskie na Ukrainie?

Na zachodniej Ukrainie deformuje go bolesna przeszłość historyczna, wiekowych antagonizmów ukraińsko-polskich, polsko--ukraińskich, które zaważyły ogromnie na całej historii obu narodów. Do dzisiaj nie możemy się pozbyć tego fatalnego dziedzictwa. To rzutuje niestety także na stosunki między chrześcijanami. Nieco odmienna sytuacja panuje na Ukrainie Centralnej i Wschodniej, gdzie reżim sowiecki poczynił o wiele większe duchowe spustoszenia.

Dlaczego tak trudno przełamać antagonizmy, skoro łacinnicy i grekokatolicy stanowią jeden Kościół?

Niestety, jesteśmy tylko ludźmi. I ten pierwiastek funkcjonuje również i w Kościele. Trzeba czasu, aby rany zadane przeszłością zagoiły się i zblizniły.

Na pewno niełatwo jest rozmawiać z prawosławnymi, gdyż na Ukrainie prawosławie jest podzielone...

Ukraiński Kościół Prawosławny jest podzielony na Kościół patriarchatu moskiewskiego, kijowskiego i autokefaliczny. Z UKP patriarchatu moskiewskiego w tej chwili relacje są bardzo słabe. Także osobiste kontakty nie są zbyt żywe. Kiedy się spotykamy, to miło sobie porozmawiamy, ale głębszych relacji nie ma. Ukraiński Autokefaliczny Kościół Prawosławny jest zajęty swoimi wewnętrznymi kłopotami. Nie są ani zamknięci, ani zbyt otwarci. Jeśli chodzi o patriarchat kijowski, jest to otwarty Kościół, relacje z nim są dobre na całej Ukrainie. Jeżeli katolik chciałby za żonę poślubić kobietę należącą do Kościoła patriarchatu moskiewskiego, to katogorycznym warunkiem jest ślub w cerkwi prawosławnej. Kobieta musi wyrzec się katolicyzmu i przejść na prawosławie. Kościół prawosławny patriarchatu kijowskiego nigdy takich warunków nie stawia. Katolik pozostaje katolikiem, a ślub nie musi odbywać się w cerkwi. Może też tam przyjąć komunie. Podobnie i my postępujemy. Nie domagamy się przejścia na katolicyzm. Z innymi Kościołami protestanckimi: baptystami, zielonoświątkowcami, adwentystami – kontakty są słabsze. Właściwie na poziomie parafialnym są słabsze, natomiast na poziomie hierarchicznym są one bardzo dobre.

Na Ukrainie płaszczyzną ekumenicznych i międzyreligijnych spotkań jest m.in. Wszechukraińska Rada Kościołów i Organizacji Religijnych, której Ksiądz Biskup jest obecnie przewodniczącym.

Należą do niej nie tylko chrześcijanie, ale także Żydzi i muzułmanie, w sumie 18 Kościołów i wspólnot religijnych. Rada powstała w 1992 r. przede wszystkim dlatego, abyśmy się spotykali i lepiej się poznawali. Należy powiedzieć, że nie jest to nawet wymóg czasu, ale potrzeba wszystkich Kościołów. Spotykamy się i rozmawiamy o naszych wspólnych sprawach. Nikt nas nie zmuszał do utworzenia Rady, sami napisaliśmy statut. Trzeba z satysfakcją powiedzieć, że

Rada ma na Ukrainie ogromny autorytet. Bardzo często z różnymi prośbami zwracają się do nas władze i stronnictwa polityczne. Chcą, abyśmy wyrazili swoje zdanie na jakiś temat. To znamienne, że ludzie szukają jakiegoś autorytetu i Rada Kościołów tę rolę spełnia.

Spotykamy się regularnie z prezydentem i premierem. Wiele załatwiliśmy, kiedy premierem była Julia Tymoszenko. Wtedy m.in. uregulowaliśmy sprawę wiz dla księży obcokrajowców.

Pracujecie więc wspólnie i zgodnie?

Sama Rada świadczy o tym, że porozumienie między Kościołami jest możliwe. Mieliśmy tylko kilka przypadków, kiedy nie osiągnęliśmy konsensusu. Nasza jedność o czymś świadczy. Uważam, że jest to bardzo ważne świadectwo. Inaczej funkcjonujemy niż Polska Rada Ekumeniczna. Jesteśmy w dużej mierze doradcami władzy i to sprawia, że jej stosunek do nas jest jednoznacznie pozytywny.

Za prezydentury Juszczenki stosunki państwo–Kościół były bardzo dobre. A jak one wyglądają teraz?

Relacje się nie zmieniły. Wyczuwa się, że obecny prezydent Wiktor Janukowycz bardziej podkreśla swoją przynależność do prawosławia. Poprzedni prezydenci też byli prawosławni, ale bardziej zaznaczali swój szacunek do innych Kościołów. Najważniejsze jest to, że nie odczuwamy do siebie wrogości, nie zmieniła się linia rządu wobec łańskiego Kościoła katolickiego. Nigdy nie domagaliśmy się przywilejów dla siebie. Nie dajemy powodu do zastrzeżeń co do naszej działalności. Kościół powinien dbać o fundament moralny społeczeństwa i kształtować jego moralną twarz. Władza to dostrzega i ceni.

Ogólnie Ksiądz Biskup wygląda na zadowolonego z sytuacji Kościoła...

Jestem niepoprawnym i skończonym optymistą. Dla mnie to, co się wydarzyło na Ukrainie w ostatnich 20 latach, jest niewyobrażalne. Nie do pomyślenia było, że za naszego życia przyjdą takie zmiany. W czasach komunistycznych szczytem marzeń było uratować to, co jest, te nieliczne kościoły, które istniały. Na moim terenie kościół

od kościoła był oddalony niekiedy o 200 km. Sam obsługiwałem kilka województw. Nie śmieliśmy marzyć o seminarium duchownym. Szczytem marzeń była możliwość studiowania w seminarium w Rydze i żeby ktoś tam od czasu do czasu mógł wstąpić. Nieśmiało marzyliśmy o jednym przynajmniej biskupie dla Ukrainy. A teraz mamy aż dwunastu czynnych biskupów i dwóch emerytów. Mamy trzy seminaria duchowne i – co najważniejsze – mamy powołania.

Jak wygląda kwestia powołań?

Najwięcej kleryków, około 60, studiuje w Gródku na Podolu. Trochę mniej, po około 40, jest w Brzuchowicach i w Worzelu koło Kijowa. Nie jest to może duża liczba, ale gdy się pomyśli, że tak niedawno nie było nic, to człowiek się cieszy.

Kościół na Ukrainie rośnie, ale powoli...

Proces wzrostu Kościoła trwa nieustannie. Nie jest to spektakularna eksplozja, która z zasady nic dobrego nie przynosi i zazwyczaj bywa bezwartościowa. Powstają nowe parafie. Był czas, że się bardzo dynamicznie rozrastaliśmy, kiedy zaczęliśmy odzyskiwać kościoły. Był czas rozszerzania, a teraz trwa okres stabilizacji. Staramy się o coraz głębszą formację i, przede wszystkim, kształtowanie trzonu parafii. Ten proces jest mniej spektakularny. Kiedy święciliśmy odzyskane kościoły, przybywały rzesze wiernych. Podobnie było podczas wizyty Jana Pawła II w 2001 r., wtedy Kościół katolicki pokazał, że istnieje, jest żywy i jest wspólnotą, z którą trzeba się liczyć.

Czy Kościół jest teraz bardziej ukraiński?

Przed wszystkim chcemy być absolutnie Kościołem katolickim, czyli powszechnym. Słyszeliśmy takie głosy, że idzie ukraińzacja Kościoła, albo jeszcze gorzej – depolonizacja. Ani jedno, ani drugie nie ma miejsca. Odprawialiśmy msze św. i katechizowaliśmy po polsku i będziemy dalej to robić. Byłoby grzechem wołającym o pomstę do nieba, gdybyśmy ograniczyli język polski w Kościele. Nasi przodkowie śpiewali po polsku i my będziemy śpiewać.

Z drugiej strony Kościół musi otworzyć się na potrzeby współczesne, nie można zamknąć się i być kapelanem polskojęzycznych obywateli Ukrainy. To byłby absurd i wy-

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

W ostatnich tegorocznych numerach CL zamieszczamy opisy kilku miast, położonych na ziemiach ukraińskich (za Zbruczem), lecz związanych przez szereg wieków z polską historią i kulturą, a także w dużej części z polską ludnością i wybitnymi Polakami.

KAMIENIEC PODOLSKI

Położenie, ludność. K. leży nad rzeką Smotrycz, lewobrzeżnym dopływem Dniestru, oddalony odeń o 15 km. Średniowieczna forteca powstała w obrębie owalnej pętli rzeki, która niemal całkowicie opływa prawie płaską płytę kamienną o wymiarach ok. 0,6 x 1,6 km. W najwyższym miejscu pętli, zarazem obniżeniu, nastąpiło naturalne przerwanie dopływu i odpływu nurtu, tak iż płyta stała się istocie wyspą. Zewnętrzne ściany pętli mają charakter pionowych ścian skalnych do 60 m wysokości. Na płycie-wyspie powstało miasto, zamek zaś w widłach dopływu i odpływu nurtu.

Z biegiem wieków wokół miasta i zamku powstały nowe dzielnice, z tych najbardziej znane: na pn. Polskie Folwarki, na pd. Ruskie Folwarki. U stóp zamku po stronie pd. Karwasary (niegdyś *Karawan Saraj* dla kupców ze wschodu). Na wsch. od Starego Miasta powstała w XVIII/XIX w. obszer-na dzielnica Nowy Plan z tzw. Nowym Bulwarem wzdłuż rzeki. Kolejne dzielnice powstawały w XIX i XX w.

Ludność miasta ulegała znacznym zmianom ilościowym i narodowym. W XVI w. największe grupy to Polacy, Rusini i Ormianie (liczba Ormian zmniejszyła się wydatnie w czasie okupacji tureckiej. Żydów pierwotnie było mało). W 2. poł. XIX w. w K. było ok. 20 tys. mieszkańców, w tym prawosławnych ok. 38%, katolików 19%, żydów 40%.

Historia. Najstarsza informacja o tym miejscu pochodzi od starożytnego geografa Ptolemeusza z II w., który podaje dwie nazwy: *Petridawa* (*Kamieniec*) oraz *Klepidawa* (*miasto zbójów, złodziei*). Mogło ono być siedliskiem zbójników, do czego nadawało się szczególnie przez swą niedostępność. W źródłach z XIV w. K. zwany jest Came-

rok śmierci. W województwie tarnopolskim i dalej na wschód, gdzie Polaków prawie nie ma, musimy myśleć o ewangelizacji w języku mieszkańców. Obok polskiego język ukraiński musi mieć prawo obywatelstwa w Kościele. Chodzi o młodzież, którą już nie rozumie języka polskiego. U nas w Łucku wprowadziliśmy w niedzielę mszę św. po polsku o godzinie 9, a po ukraińsku o 11. Ludzie mają wybór. Kiedy wprowadziliśmy mszę św. po ukraińsku, to przyszło do nas bardzo dużo nowych ludzi, przede wszystkim inteligencja, lekarze, nauczyciele. Ludzie doceniają nabożeństwa w pięknym języku ukraińskim, przekonują się, że Kościół katolicki nie jest Kościołem narodowym, ale naprawdę powszechnym. Przychodzą do nas nie tylko Polacy i Ukraińcy, ale też Rosjanie, Białorusini, Litwini, Czesi, Słowacy i Węgrzy. W każdym razie język ukraiński jest wspólnym językiem nas wszystkich.

Kiedy nasze msze transmituje telewizja, to odprawiamy po ukraińsku. Natomiast w rocznicę tragicznych wydarzeń na Wołyniu, rzezi polskiej ludności dokonanej przez nacjonalistów ukraińskich w 1943 r., transmitowana przez Telewizję Polonia msza św. była odprawiana w języku polskim. Na szczęście nie było u nas specjalnych emocji z powodu wprowadzenia języka ukraińskiego. Stało się to w sposób naturalny. Im dalej na wschód, tym bardziej dominuje język ukraiński. Podobnie katechizacja dzieci prowadzona jest i po polsku, i po ukraińsku. Dzieci szczebioczą modlitwy w obu językach jak słowiki.

Kościół stworzył przestrzeń dla inteligencji...

Bardzo podobają im się nasze nabożeństwa. Są konkretne i zwięzłe, zrozumiałe – od „W imię Ojca...” do „...Idźcie, ofiara spełniona”. Struktura liturgii rzymskiej jest mniej rozmyta niż wschodniej. Poza tym odprawiamy w czystym języku ukraińskim. Udało się nam wprowadzić świetne tłumaczenie ksiąg liturgicznych w tym języku. Naszego tłumaczenia można naprawdę pozazdrościć. Leżało to w mojej gestii, gdyż w episkopacie odpowiadam za sprawy liturgiczne.

Na pewno pomogły muzyczne talenty Księdza Biskupa...

Muzyczne talenty są czasem darem, a czasem cierpieniem... Faktem jednak jest,

że cały materiał muzyczny *Mszалу* ukraińskiego jest naszym dziełem.

Chciałbym jeszcze zapytać o relacje polsko-ukraińskie, w których są różne fazy, od zbliżeń po antagonizmy. Kiedy w końcu dojdzie do autentycznego pojednania?

Tutaj byłbym bardzo ostrożny. Byłem przekonany, że młode pokolenie będzie wolne od tych historycznych emocji, uprzedzeń, żali. Niestety, nie jest to takie proste. Chociaż młode pokolenie trochę inaczej patrzy na tragiczną przeszłość. Póki politykom będzie wygodnie trzymać w napięciu nasze narody, to trudno będzie mówić o pojednaniu. Często mamy do czynienia z manipulacją historii przez polityków, tak aby nie doszło do pojednania. Gdyby polityka nie mieszała się do tego procesu, to może szybko doszłoby do pojednania. Nie tak dawno odprawiałem mszę św. w Ostrówkach, przy samej granicy polsko-ukraińskiej. Tam w 1943 r. w ciągu jednej nocy z 7 na 8 września zginęło 1050 osób, a kościół został spalony. Szczątki chowano w zbiorowych mogiłach, potem te mogiły przeniesiono na cmentarz w lesie i tam odprawiamy msze. A takich miejsc mamy niestety wiele.

Ciężko o tym zapomnieć...

Zapomnieć się nie da. Bylibyśmy nieszczery i niesprawiedliwi wobec tamtego pokolenia. Ale pamięć może być różna. Nie chcemy się mścić, nie chodzi o rozliczenie, niech Pan Bóg będzie sędzią. Uważam, że pamięć powinna być zachowywana ku przestrodze. Nie możemy zapomnieć również o Ukraińcach, którzy z narażeniem życia ratowali Polaków, a takich przypadków było niemało. Ludzie z rozrzewnieniem wspominają czasy przedwojenne, kiedy wszyscy żyli w doskonałej zgodzie. Na przykład moje rodzinne galicyjskie miasteczko Kozowa na Tarnopolszczyźnie. Przed II wojną światową jego mieszkańcy żyli w doskonałej zgodzie: Polacy, Ukraińcy i Żydzi. Tworzyli wspaniałą społeczność. Żydzi żyli swoim życiem, w swojej kulturze, religii oraz otaczani byli szacunkiem. Chodzili w soboty do synagogi. Polacy i Ukraińcy w niedzielę szli jedni do kościoła, inni do cerkwi. Po wyjściu kobiety spotykały się. Ponieważ nie było radia ani telewizji, to sobie plotkowały, mężczyźni natomiast szli do karczmy. W Kozowej była

wielka karczmą, którą prowadził Żyd o nazwisku Szer. Szli do niego na piwo i prowadzili dysputy. To był praktyczny ekumenizm. Kiedy na Ukrainie rozpoczęły się bratobójcze walki, to w Kozowej nikt nikomu nie zrobił żadnej krzywdy. Strzelano w powietrze i przypadkiem spłonął tylko jeden dom. Nikogo nie zamordowano, kiedy w innych niedalekich miejscowościach dochodziło do potwornego ludobójstwa.

A dzisiaj są jakieś relacje z Żydami?

Relacji jako takich nie mamy. Spotykam się na Radzie Kościołów z głównym rabinem Ukrainy. Z nim mam bardzo dobry kontakt i przyjaźnimy się. Spotykam także Żydów, którzy przyjeżdżają w odwiedziny na Ukrainę.

Jak krótko scharakteryzowałby Ksiądz Biskup diecezję łucką?

Nasza diecezja jest jedną z najstarszych na Ukrainie. Wzmianki o biskupach łódzkich były już w XIII w. Diecezja była kilkakrotnie zmieniana i zawsze okrajana, m.in. na skutek rozbiorów, zmian politycznych.

Obecnie diecezję tworzą dwa województwa, w których po wojnie nie ocalał żaden kościół. Zamknięte zostały absolutnie wszystkie, katedra w 1945 r. Przez jakiś czas funkcjonowała kaplica na cmentarzu, teraz jest tam państwowy dom żałobny.

Biskup Adolf Szeląg i ks. Władysław Bukowiński, ostatni proboszcz katedry łuckiej, apostoł Kazachstanu, zostali aresztowani w 1945 r. Ze wszystkich kościołów diecezji ocalał tylko jeden, który zawsze był czynny (Krzemieniec), ale na skutek zmiany granic teraz należy do archidiecezji lwowskiej. W obecnych granicach nie było w ogóle kościoła. Teraz mamy 33 parafie, 20 księży sprawuje posługę duszpasterską, są księża z Polski i są miejscowi. Bez księży z Polski nie dalibyśmy rady w tak krótkim czasie i w takim zakresie odrodzić życie Kościoła.

A młodzi ludzie?

Mamy młodzież, może jeszcze nie tak dużo, ale są bardzo dynamiczni, czynni i trzeba powiedzieć, że jest to młodzież głęboko myśląca, świadomie wybierająca wiarę. Bardzo wartościowa młodzież, dlatego jestem wielkim optymistą, gdy patrzę

necium (i podobnie) i należał prawdopodobnie do litewskiego rodu Koriatiowiczów. Jednak ze względu na najazdy tatarskie doszło do porozumienia z królem Kazimierzem Włk. i wspólnie założono miasto-fortecę K. Gdy królem polskim został wielki książę litewski Jagiello, a nowym w. ks. Litwy Witold, ten złożył Jagielle hołd z K. Po kolejnych targach między Polakami i Litwinami zachodnie Podole weszło w r. 1434 w skład Polski, a stolicą nowo powstałego województwa K. W 1454 r. powstała w K. kapituła z katedrą pierwotnie drewnianą, zaś z końcem XV w. murowaną.

Kolejne lata to nieustanne najazdy tatarskie* i tureckie z udziałem sił wołoskich i moldawskich, a następnie ruskich (*chmielniczczyna*). Walki te niszczyły całą prowincję podolską, jednak forteca kamieniecka pozostawała do czasu bezpieczna. Zmieniło się to w r. 1672, gdy Turcy wspomagani przez Kozaków zajęli K. Katedrę kamieniecką zamieniono na meczet, dobudowano minaret oraz wzniesiono łączący zamek z miastem (dzisiejszym Starym Miastem) most w formie ściany kamiennej, tzw. „most turecki”. W mieście zburzono wszystkie drewniane obiekty i część murowanych kościołów, pozostałe zamieniono na meczety. Z miasta wywieziono 100 wozów kosztowności, obrazy zniszczono. 800 chłopów zabrano do janczarów, kobiety masowo do haremów**.

Polska wielokrotnie usiłowała odzyskać K.; doszło do tego w r. 1699 na mocy traktatu karłowickiego, po klęskach Turcji w innych wojnach. Nie wstrzymało to jednak wewnętrznych i zewnętrznych niepokojów na terenie Podola. W 1792 r. południowe prowincje Rzeczypospolitej zostały zajęte przez Rosję, dzieląc los zaborów całego państwa. Na przełomie XIX/XX w. rozpoczęły się polityczne zabiegi Ukraińców o utworzenie własnego państwa, w czym dopomagała Polska z Piłsudskim. Sprawę zakończył pokój ryski w 1921 r., a Ukraina wraz z Podolem i K. została włączona do Rosji sowieckiej.

Zabytki. K. Podolski jest miastem o dużej liczbie różnorodnych obiektów szczególnej wartości historyczno-architektonicznej i krajobrazowej. Czołowe – to Zamek i Stare Miasto, tworzące niezwykłą sylwetkę „polskiego Carcassonne”.

Zamek składa się z dwóch części. Stary, średniowieczny (XIV w.), zwany Twierdzą, zajmuje skalisty cypel w widłach ramion Smotrycza, otoczony wieńcem murów i baszt; nowy, z XVII w., zwany Wałami, o charakterze fortu chroniącego dodatkowo od strony równin.

Stare Miasto, położone na płycie-wyspie w obrębie pętli Smotrycza, odcięte od skalnego cypla zamkowego głębokim obniżeniem, przez

w przyszłość. Nikt się nie boi i nikomu nie zarzuca, że chodzi do niewłaściwego kościoła. Może czasem na prowincji się zdarzy, że ktoś zapyta, dlaczego idziesz do Polaków. Chociaż na Wołyniu było epicentrum bratobójczej wojny, teraz mamy chyba najspokojniej. Mamy dobre relacje ze wszystkimi.

Na ile Kościoł na Ukrainie jeszcze potrzebuje wsparcia z Polski?

Chociaż mówimy o dynamicznym odradzaniu się Kościoła katolickiego na Ukrainie, jednak pomoc Kościoła polskiego jest wciąż niezbędna. Mówimy o tym i zawsze za tę pomoc z serca dziękujemy.

Od jakiegoś czasu dużo mówi się o tym, że Ukraina czeka na wizytę Benedykta XVI...

Ojciec Święty został oficjalnie zaproszony przez episkopat na rok 2012, w rocznicę przeniesienia stolicy biskupiej z Halicza do Lwowa, co miało miejsce w 1412 r. Na rok 2012 planowany jest Kongres Eucharystyczny i jeżeli dojdzie do skutku wizyta papieża, wówczas Ojciec Święty zamknąłby Kongres we Lwowie.

Może Benedykt XVI połączy wizytę na Ukrainie z wizytą na Białorusi?

To byłoby cudowne, wówczas pojechalibyśmy z papieżem na Białoruś. Wierni Białorusi z ogromnym utęsknieniem czekają na wizytę Ojca Świętego.

Bardzo serdeczne wyrazy
współczucia i żalu
z powodu tragicznej śmierci

śp. synka Piotrką

składają
**Państwu
Stefanowi i Krystynie Adamskim**

Towarzystwo Miłośników Lwowa
i Kresów PW w Krakowie
wraz z Redakcją „Cracovia-Leopolis”

Z TAMTEJ STRONY

WIELKI ERESPOCHAN spoczął znów na Cmentarzu Obrońców Lwowa

7 czerwca '11 odbył się we Lwowie powtórny pogrzeb lwowskiego metropolity ormiańskokatolickiego Arcybiskupa Józefa Teodorowicza, którego szczątki przeleżały przez lat 40 w ukryciu na Cmentarzu Łyczakowskim.



Historię Wielkiego Arcybiskupa znamy dobrze, ale przypomnijmy: urodził się w 1864 r. w Żydaczowie, w szlacheckiej rodzinie ormiańskiej, obrządku – jak wszyscy polscy Ormianie – katolickiego. Ukończył szkoły w Stanisławowie, studiował w Czerniowcach i Lwowie. Po święceniach był kolejno wikarym w Stanisławowie, proboszczem w Brzeżanach, a w 1901 r. po śmierci abpa Sakowicza – metropolitą lwowskim. Był gorliwym rządcą diecezji, doprowadził do gruntownej renowacji Katedry ormiańskiej we Lwowie. Zarazem był wielkim patriotą polskim, członkiem wiedeńskiej Izby Panów, potem zasiadał w Sejmie i Senacie II RP. Zmarł w 1938 r. i został pochowany na Cmentarzu Obrońców Lwowa. W 1971 r. Jego szczątki – w związku z dewastacją cmentarza zostały potajemnie przeniesione do innego grobowca na Cmentarzu Łyczakowskim.

Obecna administracja Lwowa przez wiele lat nie chciała dopuścić do ekshumacji Arcybiskupa, pomimo starań, które prowadzili m.in. ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski i min.



Andrzej Przewoźnik. Doszło do tego dopiero teraz, pochowano Go w danym miejscu.

Pogrzeb był uroczysty, prowadził go ks. kard. Kazimierz Nycz, arcybiskup warszawski, ale zarazem ordynariusz diecezji ormiańskiej w Polsce; koncelebranszem był metropolita lwowski, ks. abp. M. Mokrzycki.

Niestety w pogrzebie nie mógł wziąć udziału ks. Isakowicz-Zaleski, którego nieobecność wynikała z powodów, których możemy się jedynie domyślać i tym bardziej z Księdzem się solidaryzować.

SKANDAL Z DOMEM POLSKIM BEZ ZMIAN

Pisze „Dziennik Polski” z 17 VI ’11 (artykuł J. Borzęckiego): *Po tym, jak 21 marca Przemysł przekazał dawny Ukraiński Dom Ludowy na własność miejscowemu oddziałowi Związku Ukraińców w Polsce, wydawało się, że będzie to przełomowy moment także dla uzyskania stosownego budynku na „Dom Polski” (Centrum Kultury Polskiej) we Lwowie.*

No i co? Kto był na tyle naiwny, by spodziewać się logicznego i kulturalnego

które przebijają się wodospadem połączenie obu nurtów rzeki. Miasto otoczone jest pasem murów obronnych z basztami oraz dwiema bramami: Polską (Lacką) i Ruską. Bramy te, związane z mostami na rzece, stanowiły szczególne obiekty obronne, dziś bardzo zniszczone. Trzecim połączeniem ze światem zewnętrznym był Most Turecki, również związany z bramami obronnymi.

W obrębie Starego Miasta istniały trzy dzielnice, związane ze skupiskami ludności: polska, ormiańska i ruska, do dziś pozostały nazwy rynków. Rynek Polski, największy, otacza główna dzielnica o charakterystycznym układzie zachodnioeuropejskim: kwadratowy rynek z ratuszem pośrodku, szachownica ulic oraz katedra blisko narożnika rynku. Katedra ma dziś charakter barokowy, jednak struktura kościoła jest gotycka. Są tu ponadto elementy romańskie i renesansowe. Minaret turecki zwieńczono w XVIII w. posągami Matki Boskiej. Inne kościoły katolickie w K. to poddominikański św. Mikołaja i potrynitański św. Trójcy (dziś cerkiew). Liczne inne kościoły uległy zniszczeniu w różnych czasach, wśród nich katedra ormiańska zburzona za czasów sowieckich.

* * *

W Kamieńcu Podolskim żył i działał dr Antoni J. Rolle, lekarz, a zarazem amator-historyk miasta i Podola, autor książki o Kamieńcu i zabytkach regionu (m.in. *Zameczki podolskie*, 1872).

W latach 1990. grupa studentów architektury i historii sztuki z Krakowa i kilku innych miast prowadziła w K. Podolskim badania o charakterze historycznym i konserwatorskim, tworząc koncepcje prawidłowego odtworzenia zniszczonych zespołów zabudowy oraz pojedynczych budynków.

* W ciągu tylko stulecia 1450–1550 były 24 najazdy tatarskie, które kosztowały Polskę milion żyć ludzkich.

** Dopiero z końcem XVII w. przybyli do Kamieńca trynitarze, przeznaczeni do wykupu jeńców z niewoli tureckiej.

ŹRÓDŁA

F. Kiryk (red.), *Kamieniec Podolski. Studia z dziejów miasta i regionu*, t. I (Kraków 2000)

J. Przybył, *Kamieniec Podolski albo Trylogia...* (Wrocław 1998)

W. Romanow-Głowacki, *Kamieniec Podolski Urbs Antemurale Christianitatis*, „Pamiętnik Kijowski” t. III (Londyn 1966)

rozwiązania? Tylko naiwni, znający tamto państwo, szczególnie w jego *lwiwskim* wydaniu. Pan minister spraw zagranicznych RP niestety jest mało zorientowany w tych sprawach (a w innych?). Powiedział: *udało się rozwiązać kwestię domu ukraińskiego w Przemyślu. Liczymy na wzajemność we Lwowie (...)* Więc uważam tę kwestię za zamkniętą.

Co tu dodać?

Administratorzy ukraińscy zaoferowali Polakom działkę na odległym obrzeżu Lwowa (obiekt ukraiński w Przemyślu jest w centrum miasta). Potrzebny byłby więc nowy projekt, formalności i budowa od podstaw, co w sumie trwałoby w tamtejszych warunkach 10 lat. A może więcej? *Ad infinitum?*

Na marginesie, tytuł artykułu brzmi: *Lwów nie chce Domu Polskiego*. Napisalibyśmy nieco inaczej: *Lwów nie chce Domu Polskiego*. To wielka różnica, panowie.

Ucrainica

■ Prasa doniosła, że 22 stycznia, w „Dniu Jedności Ukrainy” odbył się we Lwowie antypolski wiec, któremu przewodził deputowany tamtejszej rady obwodowej Rostysław Nowożeniec, a wtórował mu Jurij Szuchewycz, syn oślawionego komendanta UPA. Uczestnicy dowiedzieli się (nie pierwszy raz), że Ukraina straciła na rzecz Polski Łemkowszczyznę, Nadsanie, Chełmszczyznę i Podlasie, a także inne ziemie na rzecz Białorusi, Rosji, Mołdawii i Rumunii.

Nowożeniec wydał również przewodnik, w którym informuje, że Juliusz Słowacki i królowie Zygmunt August oraz Stanisław August Poniatowski byli Ukraińcami, że Kraków jest staroukraińskim grodem. Wystąpił z inicjatywą, by stadion we Lwowie, gdzie będą rozgrywane mecze Euro 2012, nosił imię Stepana Bandery.

Wszystko to wydaje się śmieszne, ale pamiętajmy, że w tym szaleństwie jest metoda. Przecież już politechnikę lwowską nazwano tym samym imieniem (i ulicę), ale naszym niektórym naukowcom wcale nie przeszkadza współpraca z tamtejszym „personem naukowym”? Czy nie należało na samym wstępie postawić odpowiednich warunków, panie profesorze S.J.?

W Krakowie i dalej

JUBILEUSZOWY XXV ZJAZD TARNOPOLAN

Byli mieszkańcy Ziemi Tarnopolskiej oraz ich potomkowie, zgromadzeni w dniach 12–16 czerwca br. na XXV Jubileuszowym Zjeździe, przeżyli niezapomniane chwile na gościnnej Ziemi Krzeszowickiej. Uroczysta msza św., której przewodniczył ks. dr Andrzej Szczotka w asyście przybyłego z Tarnopola ks. prałata Andrzeja Maliga oraz ks. Jacka Lasonia, była początkiem oficjalnego otwarcia Zjazdu.

Przez cztery dni uczestnicy Zjazdu, którzy zjechali z różnych zakątków Polski: od Szczecina, Wrocławia, Warszawy, Kluczborka po Bytom, Gliwice, Kraków – bo tam zagnały ich powojenne losy, mieli okazję do dyskusji, wspomnień i refleksji nad wielowiekową historią i kulturą Kresów Wschodnich. Wielce pomocne przy tym były: prelekcja pani Anny Kubajak (wydawcy i autorki książek o Kresach, Sybirze i Syberii), filmy prezentowane przez red. Macieja Wojciechowskiego, wystąpienia – szczególnie ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego na temat historii Ormian oraz powtórnego pochówku arcybiskupa Józefa Teodorowicza na Cmentarzu Obrońców Lwowa, a także osobiste wspomnienia – bolesne, melancholijne, ale i nie pozbawione swoistego humoru, jakimi uraczył nas pan Hieronim Marysiak, zwracając się do słuchaczy, na początku swej opowieści słowami: *Drodzy hreczkosieje!*

Swoimi uwagami na temat sytuacji w Towarzystwie Polskim w Tarnopolu dzielił się także nowo wybrany prezes tego stowarzyszenia pan Piotr Friz, podkreślając – wobec malejącej liczby Polaków w tamtych stronach – konieczność objęcia szerszą integracją Polaków zamieszkających w sąsiadujących z Tarnopolem powiatach.

Niemalą satysfakcję sprawił nam swą obecnością na Zjeździe dyrektor Kancelarii Marszałka Województwa Małopolskiego pan

Zdobysław Milewski (rodzinnie związany z Buczaczem), który odczytał list intencyjny od Marszałka Województwa pana Marka Sowy. Zarówno list, jak i słowa dyrektora Milewskiego skierowane do słuchaczy podkreślały wagę, jaką jest sprawa zatrzymania w pamięci i świadomości Polaków znaczenia utraconych Ziemi Wschodnich II Rzeczypospolitej.

XXV Jubileuszowy Zjazd nie byłby zapewne tak udany, gdyby nie wyjątkowy udział Gospodarzy w tym przedsięwzięciu. Zaangażowanie, pomoc, serdeczność i życzliwość ze strony burmistrza miasta Krzeszowice pana Czesława Bartła, jak i ks. Jacka Lasonia, dyrektora MOF, „Vincentinum” (to na jego terenie odbywał się Zjazd), które towarzyszyły organizatorom i uczestnikom od samego początku, są nie do przecenienia.

Dużo wzruszeń przyniósł też wieczór poezji kresowej recytowanej przez pana Romana Hnatowicza, przeplatanej muzyką Bacha, wykonanej na skrzypcach przez Mateusza Mroza, oraz utworami na fortepian w wykonaniu Joanny Jasińskiej (oboje wywodzą się z rodzin tarnopolskich).

Walory przyrodnicze, turystyczne i kulturalne Ziemi Krzeszowickiej oraz całego rejonu jurajskiego, zaprezentowane w sposób błyskotliwy i wykorzystujący wszelkie zdobycze techniki audiowizualnej przez burmistrza pana Czesława Bartła, spotkały się z ogromnym zainteresowaniem. Wiedza ta została jeszcze poszerzona przez wycieczki do Czernej, Paczółtowic i Pieskowej Skały. Umożliwiono nam także zwiedzenie zabytków Krzeszowic, o których pięknie opowiadała pani Teresa Czerny (jej rodzinne korzenie związane są ze Lwowem). Obejrzelśmy również miejscową galerię sztuki, a także Zakład Rehabilitacyjny. Ten nowoczesny obiekt mogliśmy obejrzeć „od wewnątrz”. Dyrektor Zakładu pan Artur Baranowski przekazał nam nie tylko rzeczowe dane, ale poinformował też o warunkach leczenia w Zakładzie.

Niezwykle radosnym zaskoczeniem była dla nas informacja, że pan Dyrektor od paru lat (nie mając korzeni kresowych), zauroczony historią i kulturą dawnych ziem polskich, czynnie angażuje się na rzecz pomocy rodakom na Wschodzie.

Kolorowy, rozśpiewany zespół Koła Gospodyń Wiejskich z Tenczynka pozwolił nam poznać nie tylko miejscowy folklor, ale także delectować się wspaniałymi wypiekami.

Spotkaniu towarzyszyła niewielka wystawa, na której zgromadzono materiały dotyczące historii miasta i ludzi z nim związanych. Wystawę otwierał poczet zasłużonych obywateli miasta Tarnopola, których zdjęcia uzupełniono obszernymi biogramami. Nawet rodowici tarnopolanie nie zawsze wiedzą, jak wiele sławnych osobistości urodziło się i działało w ich mieście. Można tu znaleźć takie nazwiska jak: Kazimierz Michałowski – archeolog i egiptolog; Aleksander Brückner – filolog, historyk literatury; Ludwik Finkel – historyk, bibliograf; Kazimierz Ajdukiewicz – filozof i logik; Mieczysław Krąpiec – ksiądz katolicki, profesor; Władysław Rubin – kardynał; Eugeniusz Baziak (1890–1962) – arcybiskup metropolita lwowski i krakowski; Wincenty Pol – pisarz; Franciszek Kleeberg (1888–1941) – generał brygady Wojska Polskiego.

Na wystawie sporo miejsca zajmowały też zdjęcia rodzinne. Szczególnie podobaly się stare fotografie w kolorze sepia, a wśród nich zdjęcie ślubne, na którym pan młody – Włodzimierz Soliński z Tarnopola – prezentuje się w mundurze 6 pułku a.c. ze świeżo poślubioną Marią Janiszewską – nauczycielką ze Stryja. Spośród innych dokumentów duże zainteresowanie wzbudzało świadectwo maturalne Władysława Janiszewskiego (brata Marii), wystawione przez ck Komisję w Wiedniu dla przyspieszonych egzaminów dojrzałości z roku 1915, a także list pisany w okopach z frontu pod Kosowem z 1916 r.

Jedną z plansz poświęcono II Państwowemu Gimnazjum Żeńskiemu im. J. Piłsudskiego. Były tam m.in. zdjęcia grona nauczycielskiego z roku 1932/33 z imiennym opisem widocznych na nim osób, klasy maturalnej z roku 1937, tableau abiturientek z lat 1937 i 1939, a także zdjęcie z zabawy szkolnej w roku 1931 i scenki ze szkolnego przedstawienia *Pana Tadeusza*. Interesujące fotografie współczesnego Tarnopola, autorstwa wielkiego miłośnika Kresów inż. architekta pana Piotra Korpantego, cieszyły się ogromnym zainteresowaniem, szczególnie tych, którzy nigdy po wojnie nie zdecydowali się na odwiedzenie miasta swoich przodków.

Tradycją zjazdów jest zbiorowe zdjęcie „rodzinne” wszystkich uczestników, dzięki temu można było pokazać fotograficzne kalendarium spotkań, począwszy od pierw-

szego z roku 1987, na zeszłorocznym kończąc. Wspólne oglądanie zdjęć przywoływało miłe wspomnienia i pamięć o tych, którzy już odeszli.

Ostatnim akcentem Zjazdu było wspólne ognisko. Uczestniczyli w nim również burmistrz pan Czesław Bartl i dyrektor „Vincentinum” ks. Jacek Lasoń, a także kilka członków Koła Gospodyń Wiejskich, które były mocną podporą we wspólnym śpiewie.

Wyrażamy nadzieję, że kresowe zjazdy są nie tylko koleżeńskimi spotkaniami, mogą być one przecież także drogą do upowszechnienia wiedzy o dziedzictwie kresowym. Wprawdzie rodowitych kresowian ubywa, ale do ich grona dołączają sympatycy tamtych stron.

W środowiskach, które użyczają miejsca na organizowanie tych spotkań, odnajdują się ludzie żywo zainteresowani problematyką Kresów, a nierzadko osoby o kresowych korzeniach. Tak było i w przypadku Krzeszowic.

Anna Garbacz, Alicja Olszowska
i Jolanta Wąwożny z Klubu Tarnopolan, Kraków

Kustosze Pamięci Narodowej 2011

Instytut Pamięci Narodowej uhonorował tegoroczną Nagrodą Kustosza Pamięci Narodowej grono osób oraz organizacji i instytucji, wśród których znajdujemy m.in. znanego nam w Krakowie (lecz rodem ze Złoczowa) Adama Macedońskiego, Władysława i Ewę Siemaszków (Lublin), Związek

Sybiraków oraz kilkoro innych jeszcze zasłużonych laureatów (związanych z „Solidarnością”).

Wszystkim składamy serdeczne gratulacje, a w szczególności Adamowi, Państwu Siemaszkom oraz Sybirakom, z którymi wiążą nas w sposób szczególnie nasze osobiste, wschodniomałopolskie i wołyńskie losy, nasza własna Historia.

Notatki

◆ W Amsterdamie, w wieku 91 lat **zmarł Milo Anstadt**, polsko-holenderski pisarz i publicysta. Urodził się w 1920 r. we Lwowie w rodzinie żydowskiej. Rodzice wyemigrowali z nim do Holandii, gdy miał 10 lat. W czasie II wojny współpracował z holenderskim ruchem oporu. Po wojnie był i reżyserem i prezenterem w radiu i TV, redaktorem pisma. Był znawcą historii i kultury polskiej oraz żydowskiej. W Polsce był często, realizował filmy, pisał książki historyczne. Jego autobiografię z dzieciństwa zatytułowaną *Dziecko ze Lwowa* wydano w roku 2000. Niestety dotąd jej nie znamy.

KULTURA NAUKA

II spotkania w Muzeum Niepodległości

W dniach 23–24 maja odbyły się w Muzeum Niepodległości w Warszawie – po trzech latach od poprzednich – II Muzealne Spotkania z Kresami. Przewidziano 36 referatów w pięciu grupach tematycznych: zbiory i kolekcje – grafika, rysunek, malarstwo (7 prelegentów); fotografia (7); druki, rękopisy oraz inne (6); etnografia (5) oraz wystawiennictwo, prace konserwatorskie, badawcze i popularyzacja (11). Tematyka omówień obejmowała teoretycznie całe tzw. Kresy, jednak większość przedstawianych materiałów dotyczyła – co zrozumiałe – Ziemi Wschodnich II Rzeczypospolitej, od Wileńszczyzny po wschodnie Karpaty. Właściwe ziemie kresowe (zza Zbrucza i jego przedłużenia ku północy oraz spoza Wileńszczyzny), utracone z końcem XVIII w., poruszano w minimalnym zakresie.

Sporo referatów – we wszystkich grupach materiałów – dotyczyło Wołynia (m.in. Krzemieniec, Sławuta, Wiśniowiec; ludzie z tamtych stron). Żałować należy, że referat o sąsiadującym z Wołyniem Polesiu (Flotyła Pińska!) nie doszedł do skutku na skutek



Adam Macedoński

nieobecności autora. Podobnie sporo wypowiedzi dotyczyło Wileńszczyzny.

Okolo dziesięciu referatów było związanych ze Lwowem oraz Małopolską Wschodnią, a w tym także z folklorem huculskim i bojkowskim. Pani kustosz H. Wiórkiewicz z MN przedstawiła pamiątki znanej rodziny lwowskiej Drexlerów, a dr Ł. Koniarek z Ossolineum przechowywaną tam panoramę plastyczną dawnego Lwowa.

Szczególne uwagę zwracały referaty problemowe. Do takich trzeba zaliczyć wypowiedzi T.K. Kozłowskiego o *kresowianach* w zbiorach prywatnych; B. Kubit o badaniach dotyczących ekspatriantów (w Gliwicach); W. Blacharskiej o organizacji wystaw kresowych (pod nieco przewrotnym tytułem: *Muzeum Kresowe – czy i komu potrzebne?*), a wreszcie ks. prof. J. Wołczańskiego o ratowaniu kościelnego dziedzictwa kresowego.

Niezwykle interesujący był wykład dyr. M. Olbromskiego na temat Krzemieńca i Wołynia w polskiej prozie i poezji okresu międzywojennego XX-lecia. Prof. R. Brykowski i dr J. Smaza omówili prace konserwatorskie przy pomniku gen. Dwernickiego. Na końcu H. Murawska z Muzeum Niepodległości przedstawiła ważny temat: bibliografię (niestety w skrócie) czasopism kresowych wydawanych w RP w ostatnich 20 latach.

Organizatorzy zapewnili, że niebawem (jeszcze w tym roku?) ukaże się wydawnictwo zawierające wszystkie referaty – pokłosie II Muzealnych Spotkań z Kresami.

Wszystkim autorom zaprezentowanych materiałów oraz organizatorom wspianej imprezy składamy serdeczne podziękowanie. Czekamy niecierpliwie na III Spotkanie! Oby nie dopiero za trzy lata.

PAMIĄTKI PO MARSZAŁKU JÓZEFIE PIŁSUDSKIM

Po wielu dziesiątkach lat i wędrówkach po Europie i Ameryce został udostępniony w dworku Marszałka w Sulejówku pod Warszawą (niedawno otwartym jako muzeum) zbiór pamiątek po Józefie Piłsudskim. Wśród nich znaleźliśmy w folderze-katalogu kilka przedmiotów, związanych ze Lwowem.

Ryngraf od Korpusu Kadetów nr 1 we Lwowie, ofiarowany Piłsudskiemu w dniu

imienin 19 marca 1933 r. Na srebrnej tarczy znajduje się wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej nad skrzyżowanymi szablami i sztandarami z okresu Powstania Styczniowego (przekazanymi Korpusowi Kadetów nr 1 przez Weteranów 1863 r.). Poniżej dwie skrzyżowane buławy marszałkowskie między odznakami pamiątkowymi 1 Brygady Legionów i KK nr 1. Tarcza okolona napisem: **SZALA ZWYCIĘSTWA ROZSTRZYGA SIĘ W SERCU, WOLI, CHARAKTERZE I UMIEJĘTNOŚCI TRWANIA.**

Dyplom Odznaki Pamiątkowej Korpusu Kadetów nr 1 we Lwowie, wręczony Marszałkowi J. Piłsudskiemu jako Pierwszemu Żołnierzowi Rzeczypospolitej i honorowemu szefowi Korpusu. J. Piłsudski był honorowym szefem jednego z pułków kawalerii (1 P. Szwol.), pięciu pułków piechoty (1, 5, 6 PPLeg., 41 Suwalskiego PP, 66 Kaszubskiego PP), jednego pułku artylerii (1 PAL. Leg.) oraz Korpusu Kadetów nr 1 we Lwowie.

Ryngraf od 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich, ofiarowany Marszałkowi w dniu imienin 19 marca 1935 r. Na srebrnej tarczy pod wizerunkiem Matki Boskiej Jazłowieckiej umieszczono odznakę pamiątkową Pułku oraz napis: **I-MU MARSZAŁKOWI POLSKI – WODZOWI NARODU.**

Ryngraf od klubu sportowego „Strzelec” we Lwowie, ofiarowany Marszałkowi 19 marca 1935 r. z okazji jego imienin. Na srebrnej tarczy na tle grawerowanego orła państwowego umieszczona tarczka z orłem strzeleckim. Poniżej monogram „JP” i data 19 III 1935 oraz napis **KLUB SPORTOWY STRZELEC WE LWOWIE.**

Karabela ormiańska ofiarowana Marszałkowi J. Piłsudskiemu przez kupiectwo Lwowa w 1932 r. z okazji objęcia przez Marszałka protektoratu nad Targami Wschodnimi, organizowanymi dorocznie we Lwowie. Podarunek był dowodem wdzięczności społeczeństwa Lwowa za pomoc okazywaną przez Wodza Naczelnego walczącemu Miastu od listopada 1918 r. do marca 1919 r. Na rycinie dekoracja herbu Miasta Krzyżem Srebrnym Virtuti Militari 22 listopada 1920 r. u stóp pomnika Adama Mickiewicza. Marszałek powiedział wówczas: *Za zasługi położone dla polskości tego grodu i jego przynależności do Polski mianuję miasto Lwów kawalerem Krzyża Virtuti Militari.*

Spuścizna po Włodzimierzu Puchalskim

W pierwszych dniach marca tego roku odbyło się spotkanie oraz wystawa pt. **Z albumu rodzinnego Czeczów, Chrzanowskich, Puchalskich**. Impreza miała miejsce w „Dworze Czeczów” w Bieżanowie (dawnej wsi podkrakowskiej, dziś części Krakowa), będącym domem kultury tego przedmieścia. Organizatorem było Muzeum w Niepołomicach.

Sprawa wymaga paru wyjaśnień. Osobą łączącą trzy wymienione rodziny była baronówna Izabela Czecz*, która najpierw była żoną ziemianina znad Bugu, Chrzanowskiego**, a po jego śmierci poślubiła Włodzimierza Puchalskiego, znanego fotografa. Z kolei po jej śmierci Puchalski ożenił się z młodą panną z lwowskiej rodziny Alaną Gröo***.

W. Puchalski zmarł w 1979 r., żona Alana i córka Anna przekazały zaś całą spuściznę po nim do Muzeum Niepołomickiego (pisaliśmy o tym w CL 3/96 i 3/04). Złożyło się na to 150 000 przedmiotów – zdjęcia, negatywy, aparaty, pamiątki. Niewielką ich część pokazano na omawianej wystawie.

Przy okazji jeszcze inne wyjaśnienie. Oto pisząc o W. Puchalskim w CL 3/04 informowaliśmy, że jego ojciec, w latach międzywojennych pułkownik ułanów WP, był związany ze Szkołą Policji w Mostach Wielkich k. Lwowa. Niedawno otrzymaliśmy zapytanie od p. Jana Walencika (zamieszkałego w Białowieży, autora biografii Puchalskiego), na jakim źródle oparliśmy tę informację, ponieważ on nie znalazł potwierdzenia. Istotnie – nasze kolejne rozmowy z osobami najbardziej rozeznаныmi na ten temat (młodszymi o 3–4 pokolenia, starszych już nie ma), nie mogły tego potwierdzić. Sądźmy więc, że fakt urodzenia się Włodzimierza w Mostach Wielkich i zamieszkania rodziny w tej miejscowości nasunął nam przypuszczenie co do związków jego ojca z tamtejszą sławną Szkołą Policji. Dowodów więc nie ma, choć wykluczyć w 100% tego nie można. W każdym razie Naszych Czytelników przepraszamy.

Na spotkanie przybyło kilkadziesiąt osób. Były wspomnienia i rozmowy, oglądano filmy i fotografie, także rodzinne. Zjawił się dorosły wnuk i prawnuczek Włodzimierza i Alanki.

(AC)

* Rodzina pochodzenia węgierskiego, spolszczona zapewne w XIX w.

** Była matką znanego historyka sztuki, niezującego już Tadeusza Chrzanowskiego.

*** Córka znanego lekarza lwowskiego, mieszkali przy ul. Kampiana.

ARCHIWUM TARNOPOLSKIE RODZINY Blicharskich

Krakowscy tarnopolanie mieli okazję przeżyć niezapomniane chwile. 10 czerwca br. w Bibliotece Jagiellońskiej odbyło się pierwsze spotkanie z cyklu „Stanica Kresowa”*. Inicjatorem tych spotkań jest red. Maciej Wojciechowski i Fundacja Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego, która przejęła opiekę nad Tarnopolskim Archiwum Rodziny Blicharskich, które to Archiwum Czesław Blicharski przekazał w latach 90. Bibliotece Jagiellońskiej**. Oczywiście więc, że bohaterem tego pierwszego spotkania musiał być sam Twórca tego Archiwum, major Czesław Blicharski, nieformalnie, ale jakże słusznie nazywany Strażnikiem lub Kustoszem Pamięci Narodowej.

W auli Biblioteki zebrali się nie tylko liczni kresowianie, ale też i młodzież (z I Gimnazjum w Krakowie). Z Tarnopola przyjechali dwaj wiceburmistrzowie i dyrektor tamtejszego Muzeum.

Spotkanie prowadził Waldemar Rataj z urzędu Wojewody Małopolskiego, a uroczystość rozpoczął gospodarz – wicedyrektor Biblioteki Jagiellońskiej Andrzej Obrębski. Przemawiał też prezes Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego – profesor Tomasz Gąsowski. Panu Czesławowi wręczono pierwszy egzemplarz jego najnowszej książki: *W służbie mojej Małej Ojczyźnie Tarnopolem zwanej*.

Jednak kulminacyjnym punktem spotkania było udekorowanie Czesława Blicharskiego odznaczeniem *Zasłużony Kulturze – Gloria Artis* przez Wojewodę Małopolskiego Stanisława Kracka. Moment jakże podniosły i wzruszający! Całe zresztą spotkanie było niezwykle ciepłe, odbyło się na krótko przed 93 urodzinami pana Czesława, który choć podpierał się laseczką fizycznie, to zadziwiał wszystkich trzeźwością umysłu.

Krakowska aktorka Alicja Jachiewicz-Szmidt odczytała fragmenty zapisków

Czesława Blicharskiego, które jej zdaniem najlepiej świadczą o charakterze bohatera tego spotkania, a bytomski poeta Bronisław Kasprowicz wygłosił wiersz *Cichy strażnik* napisany pod wpływem spotkania z panem Czesławem, kończący się słowami:

*On nie musi śpiewać
„gdyby orłem być”
On jest
Czesław Blicharski
Strażnik Tarnopola*

Pan Czesław po raz kolejny zaapelował do zebranych o przekazywanie Bibliotece Jagiellońskiej pamiątek i dokumentów rodzinnych związanych z ich Małą Ojczyzną. Spotkanie trwało ponad trzy godziny, towarzyszyła mu wystawa pod takim samym tytułem jak najnowsza książka pana Czesława i przez cały czas, czy to jeszcze w auli, czy potem przy ekspozycjach wystawy, pan Czesław był otoczony zmieniającymi się grupkami ludzi, którzy pytali, dyskutowali i serdecznie rozmawiali z tym niezwykle Człowiekiem.

Anna Madej

* O tym nowym przedsięwzięciu napiszemy osobno.

** Pisaliliśmy o tym w CL 1/11.

Kronika

◆ W krakowskim Parku Jordana – w istniejącej tam od lat międzywojennych Galerii Sławnych Polaków – odsłonięto w czerwcu br. **popiersie gen. Stanisława Maczka**. Park Jordana* – poza walorami rekreacyjnymi – ma charakter edukacyjny, a liczba portretów rzeźbiarskich wybitnych Rodaków wynosi już kilkadziesiąt. Liczni wśród nich to wielcy Polacy rodem z naszych Ziem Wschodnich i Kresów.

Jak pamiętamy, gen. St. Maczek (1892–1994) urodził się w Szczercu pod Lwowem. W czasie II wojny był dowódcą I Dywizji Pancerniej WP, która walczyła we Włoszech, a potem w Belgii i Holandii. Był jednym z najwybitniejszych polskich generałów i nie przegrał żadnej bitwy.

* Dr Henryk Jordan (1842–1907), lekarz, profesor UJ, urodził się w Przemyślu. Po wczesnej śmierci ojca matka prowadziła przez lata pensjonat dla pań w Tarnopolu, potem we Lwowie.

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Niezwykle ważna – dla nas szczególnie – praca historyczna ukazała się w wydawnictwie Ośrodka „Wołanie z Wołynia” (jako tom 72): **Arcybiskupi haliccy i lwowscy** (Biały Dunajec–Ostróg 2010). Biogramy kolejnych arcybiskupów autorstwa **Krzysztofa Rafała Prokopa** (niegdyś i naszego autora) były wcześniej drukowane w czasopiśmie „Wołanie z Wołynia”, a teraz zebrane i wydane jako księga o 450 stronach, z wieloma ilustracjami.

Książka obejmuje życiorysy 45 arcybiskupów, poczynając od Macieja z Egeru (od 1375), arcybiskupa halickiego, posiadającego co prawda rezydencję we Lwowie, ale tytułowanego halickim. Dlaczego? Oto wcześniej, mniej więcej od połowy XIV wieku, rezydowało w Haliczu kolejno kilku łacińskich biskupów misyjnych, usadowionych tam jako w byłej stolicy Rusi Halickiej (powstałej po najeździe Włodzimierza, księcia kijowskiego w 981 r.), a zarazem siedzibie metropolii prawosławnej. Jednak Halicz stał się oficjalnie stolicą nowej archidiecezji rzymskokatolickiej w r. 1375. Postacie i statusy poprzedników Macieja, jego samego i jego następcy Bernarda – jak wyjaśnia autor – nie są dotąd całkiem jasne. Wiadomo tyle tylko, że przysłani przez króla Ludwika Węgierskiego mieli za zadanie działać na rzecz przyłączenia tamtych ziem do Węgier.

Wszystko zmieniło się, gdy na polskim tronie zasiadła Jadwiga, córka Ludwika Węgierskiego i żona Władysława Jagiełły, dziś święta. Węgrzy zostali usu-



nięci, a kolejnymi arcybiskupami zostali św. Jakub Strepa (Strzemie) oraz Mikołaj Trąba, później arcybiskup gnieźnieński. Byli to ostatni arcybiskupi haliCCy, znakomite postacie historii Polski.

W 1412 r. arcybiskup Jan Rzeszowski przeniósł – już oficjalnie – siedzibę arcybiskupią do Lwowa. Lwów, obok Gniezna, stał się na paręset lat stolicą drugiej metropolii łacińskiej w Polsce. Kolejne metropolie wydzielono po 1918 roku.

I tak trwało do 1946 r., kiedy to władze sowieckie zmusiły bpa Eugeniusza Baziaka do opuszczenia Lwowa. Upłynęły 534 lata...

Czasy współczesne znamy. Biskup Baziak został administratorem archidiecezji krakowskiej, nieobsadzonej od śmierci kard. A.S. Sapiehy. Zmarł nagle w na kilkanaście dni przed oficjalnym ingresem do Archikatedry wawelskiej (1962).

Równocześnie archidiecezja lwowska, której skrawek pozostał wokół Lubaczowa, była tam formalnie reprezentowana przez wikariuszy kapitułnych, księży: M. Orlińskiego, J. Nowickiego, M. Rechowicza, a w końcu Mariana Jaworskiego. Ten ostatni został biskupem, a po zmianach politycznych na przełomie lat 1980/90 mógł odbyć ingres do Archikatedry lwowskiej (1984), stając się metropolitą lwowskim, obejmującym całe państwo ukraińskie z 7 diecezjami. W 2008 r. arcybiskupem-metropolitą lwowskim został ks. Mieczysław Mokrzycki.

📖 Pan **Bogdan S. Kasprovicz** zaszczycił nas nowym zbiorem swoich wierszy. Tytuł: **Lwów zawsze i wszędzie*** (wyd. „Małe Wydawnictwo”, Kraków 2011). Jego wcześniejszy tomik omawialiśmy w CL, a wybrane wiersze prezentowaliśmy w CL 3/07. W omawianym tomiku przedmowę napisał ks. T. Isakowicz-Zaleski. Znalazło się tu ponad 30 wierszy, ujętych w trzech częściach: *Krajobrazy, Ludzie, Myśli*.

Bogdan Kasprovicz pochodzi z rodziny lwowskiej (o ormiańskich korzeniach po mieczu), ale uro-

dził się na Górnym Śląsku i mieszka przez całe życie w Bytomiu. Dlatego we wszystkich jego wierszach zawierają się jakieś refleksje z różnymi stronami jego życia, z przeszłością, z ludźmi bliższymi i dalszymi, ze Lwowem i Śląskiem, z Paryżem i Włochami. Ze zbioru wybraliśmy wiersz *Repatrianci* – sądzimy, że czytelnicy go właściwie zrozumieją...

A na Górnym Śląsku

*trzecie pokolenie
biega z etykietką
szydlerczą
kłamliwą*

no bo kto my som

*spytajcie autonomicznego
Gorzeliaka
od narodu śląskiego...*

*Ale proszę bardzo
ja się nie oburzam
bez protestu
ten weksel przyjmuję*

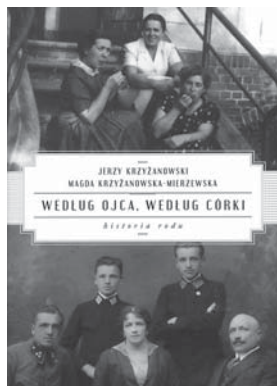
*tylko niech się stanie
Panie Boże dopuść
spraw, aby
ujrzał nas świat
wreszcie
repatriantami*

* To dość zabawne: VIII książeczka Biblioteki „Cracovia–Leopolis” ma ten sam tytuł, tyle że po łacinie: *Leopolis ubique praesens*.

📖 Często namawiamy naszych Czytelników, by spisywali swoje wspomnienia – własne i rodzinne, ale zawsze związane z opuszczonymi Ziemią Wschodnimi. Coraz mniej takich, którzy mogą to uczynić, bo coraz mniej tych, którzy tam żyli albo zapamiętali relacje swoich rodziców, dziadków, krewnych czy przyjaciół. I zachowali jakieś dokumenty...

Książka – raczej księga (o 800 stronach), która niedawno się ukazała, jest niezwykłym dokumentem co najmniej 100 czy nawet 150 lat, a w tablicy genealogicznej sięgającym 250 lat! I nie są to bynajmniej dzieje historycznej rodziny arystokratycznej – tam takie zapisy nie byłyby dziwne – lecz rodziny mieszczańsko-inteligenckiej, której gniazdem w większości był Lwów.





Książka ta to dzieje rodziny Krzyżanowskich, spisane przez ojca i córkę, co czytamy już w tytule: **Według ojca, według córki. Historia rodu**. Autorami są **Jerzy Krzyżanowski** oraz **Magda Krzyżanowska-Mierzevska** (Wydawnictwo WAB, Warszawa 2010).

W książce pojawiają się w istocie dwie rodziny o tym samym nazwisku: lwowska, z której pochodzi współautor „ojciec” Jerzy, oraz wileńska, skąd jego żona Olga z Krzyżanowskich Krzyżanowska (sic!). Tym samym współautorka „córka” Magda wywodzi się z obu rodzin.

Skomplikowane. Jednak książka dotyczy głównie rodziny lwowskiej, w której autorzy – dla ułatwienia orientacji sobie i czytelnikom – wydzielili kilka linii, dziś szeroko rozrodzonych. Oznaczyli je wedle imion ich seniorów bądź wedle najczęściej powtarzających się imion. W tablicach genealogicznych doliczyliśmy się około 200 osób nie tylko o nazwisku Krzyżanowski, także innych, spokrewnionych w różnych czasach (Krugowie, Wimmerowie). Autorzy opisują historie ich życia, losy, a także miejsca, gdzie się przenosili jeszcze w latach przedwojennych. To jasne – głównie w zachodnie i północne rejony kraju, gdzie niedostatek polskiej inteligencji dawał możliwości rozwoju czy kariery (Górny Śląsk, Wielkopolska, Pomorze), szybszej niż Lwów, który po I wojnie przestał być stolicą kraju – Galicji. Autorzy skupiają się głównie na swojej najbliższej rodzinie – rodzicach: Jerzym, lekarzu, i Jadwidze (z Krugów), którzy w 1929 r. przenieśli się do Gdyni i tam, z przerwą na II wojnę, mieszkali i wychowali synów Jerzego jun. i Bogdana.

W tym miejscu wypada jeszcze wyjaśnić, że żona Jerzego jun. Olga Krzyżanowska jest córką Aleksandra Krzyżanowskiego z Wilna, słynnego generała „Wilka”, dowódcy operacji „Ostra Brama” w 1944 r. W latach 90. Olga była wicemarszałkiem Sejmu III RP.

O wielu Krzyżanowskich piszą autorzy szeroko, my jednak musimy szczególnie zwrócić uwagę na rozdział *Z apteki Miko-*

lascha do Krakowa, gdzie mowa o „linii Marianów”, czyli właścicielach słynnej apteki Mikolascha przy ulicy Kopernika we Lwowie. W aptece tej pracował w XIX w. Ignacy Łukasiewicz i tu skonstruował pierwszą na świecie lampę naftową. Marian Krzyżanowski odkupił tę aptekę od potomka rodu Piotra Mikolascha, Henryka, znanego fotografa, całkiem niezainteresowanego aptekarstwem. Marian Krzyżanowski prowadził tę aptekę do II wojny, czyli 26 lat.

Ekspatriacja rzuciła go z najbliższą rodziną do Krakowa. Tu kolejno zmarli Marian, jego syn Alfred i ostatnio wnuczka, Anna, o której śmierci pisaliśmy w CL 2/11. Dla tych, którzy nie przeczytają książki o rodzie Krzyżanowskich, warto by przedrukować opowieść Pani Hanki o tym, co przeżyli w Krakowie w latach powojennych.

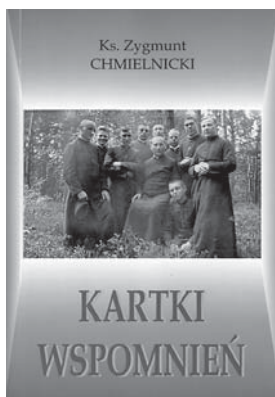


Anna Krzyżanowska, szesnastolatka, jeszcze we Lwowie i w ostatnim okresie życia w Krakowie

Książka jest doskonale napisana, styl i język do pozazdrosczenia. Oba teksty dają znakomicie odmalowane obrazy życia i współżycia w sferze przedwojennej inteligencji, jej obyczajów, zainteresowań, wychowania dzieci, kontaktów rodzinnych. Dowiadujemy się wielu interesujących szczegółów o zajęciach zawodowych i społecznych, o nauce szkolnej, wakacjach i rozrywkach – z czasów dawnych, przedwojennych, a potem tych powojennych, w których dawny styl nie został zapomniany. Taka właśnie była lwowska inteligencja...

Piszmy wspomnienia!

📖 W Wydawnictwie „Wołanie z Wołynia” ukazała się (2010) książka ks. **Zygmunta Chmielnickiego** pt. **Kartki wspomnień**. Jest to udostępnienie współczesnemu czy-



telnikowi wspomnień autora z lat 1919–1928, które drukowane były w diecezjalnym tygodniku „Życie Katolickie” w Łucku w okresie 1930–1934.

Kartki wspomnień dotyczą przeżyć ks. Chmielnickiego w czasie jego pracy duszpasterskiej w rejonie Żytomierza – najpierw przed ustaleniem granicy wschodniej (ciągłe

zmiany władzy), a od 1921 r. na terenie przyznanym Związкови Sowieckiemu. Cały wspominany okres to czas różnych zagrożeń i niepewności dla księdza katolickiego w parafii małomiasteczkowej lub wiejskiej, na terenie zamieszkałym przez kilka narodowości. Od roku 1923 był przez bolszewików kilkakrotnie aresztowany i więziony w ramach walki reżimu z Kościołem katolickim. Lata 1926, 1927 do stycznia 1928 spędził w więzieniach oraz w łagrze na Wyspach Sołowieckich. W r. 1928 znalazł się w Polsce w ramach wymiany międzypaństwowej więźniów politycznych. I wtedy rozpoczął pracę w Łucku.

Mimo licznych bardzo niemiłych doświadczeń wspomnienia pisane są rzeczowym pogodnym stylem z uwzględnieniem także sytuacji humorystycznych. Podane są obserwacje z życia ludu poleskiego, np. chaty kurne, ubrania samodziałowe, obuwie lipowe – postoly, wierzenia (zabobony), obyczaje... Osoby, z którymi autor się stykał, omawiane są bez podania nazwiska, znaczone tylko inicjałem. Wyczuwa się cały czas autocenzurę, aby osobom, które zostały za kordonem w ZSRS, nie zaszkodzić (bo szpiedzy czuwalili!). Dla współczesnego czytelnika, aby tekst był zrozumiały, bardzo cenne są przypisy i wprowadzenie opracowane przez Marię Dębowską z KUL. Pozwalają one na ocenę sytuacji, w jakiej pracowali nasi kapłani w ZSRS.

Uważam, że cofnięcie zainteresowania czytelników do lat bezpośrednio po I wojnie światowej i w skrótovej formie pokazanie obrazków z tamtego życia kresowego jest bardzo cenną inicjatywą Wydawnictwa WzW. (DTS)

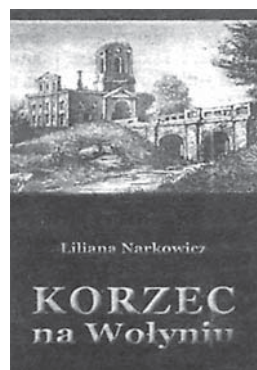
📖 Nieżyjący już **Zygmunt Kural**, pochodzący z Korca znad przedwojennej granicy wschodniej, zebrał i przygotował materiał dotyczący ukochanego przez niego miasta. Obecnie ukazała się książka opracowana przez Lilianę Narkowicz pt. **Korzec na Wołyniu**, a tak pisze o niej K. Hanus („Gazeta Krakowska” z 5 VII ’11):

Życie i skandale w Korcu na Wołyniu. Żółte Wody, Korsuń, Piławice, Zbaraż, Zborów, Beresteczko. Recytujemy bezbłędnie, ale co – to nie do końca wiemy. Historia Kresów i jej znaczenie są zapomniane. Jak wyglądał świat twierdz broniących przed Tatarami? Jak to możliwe, że sąsiadem Polski była Turcja? Dlaczego Kozacy się buntowali? Kresy przybliżyć stara się w swojej książce „Korzec na Wołyniu” Liliana Narkowicz.

Dzieło powstało dzięki badaniom Zygmunta Kurala – malarza, rysownika, ale też społecznika i patrioty, który przez całe życie skrupulatnie zbierał materiały o rodzinnych Kresach.

Na przykładzie Korca, jednego z wołyńskich miast, dowiadujemy się, jak funkcjonowali ludzie na tych terenach. Czytamy o życiu gospodarczym, politycznym, ale też o nieobydajnych aferach i towarzyskich skandalach. Najwięcej miejsca autorka poświęca koreckim Czarotoryskim i prowadzonej przez nich fabryce ceramiki. Dowiemy się na przykład, jakie składniki należy z sobą połączyć, by powstała filizanka, i jak ozdobić obiadowy serwis. Poznamy postać księcia Józefa, który miał wielki talent do rozwijania przemysłu. I choć jego zawodowe życie było usłane pasmem sukcesów, rodzinne okazało się zupełną porażką (pasjonujący wątek niechlebnego romansu jego żony).

„Korzec na Wołyniu” to dzieje specyficznego miejsca – opowieść o walce z zapomnieniem. Lekturę książki umilają umieszczone w niej obrazy zatrzymane na fotografiach, pocztówkach i malunkach. Wreszcie „Korzec na Wołyniu” to historia o historii, która jednakże – aby się wypełniła – musi zostać opowiedziana. (DTS)



Trzeba i o drugiej stronie medalu. Wspomnieliśmy o zaprzestaniu wydawania *Księgi Kresów Wschodnich*. Redakcja „Rzeczpospolitej” pisze, że zabrakło funduszy. Czyżby? Tak z dnia na dzień, bez wcześniejszej zapowiedzi? Równocześnie wydaje się tam inną serię zeszytów historycznych (o bitwach i wyprawach morskich z całego świata). Na te wystarczyło, bo politycznie poprawne...

Nieco wcześniej został usunięty ze stanowiska dyrektor Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej, Mariusz Olbromski. Znamy wspaniałą działalność tego Człowieka na rzecz kultury Polaków zza kordonu, na rzecz Krzemieńca itd. Powód, jaki podano w mediach, to iż nie budzi zaufania nowej pani wojewody. Tyle? Ciekawe, jakie lobby maczało w tym palce...

Czy oba wymienione wydarzenia, choć różne, mają wspólne tło? Warto się zastanowić.

W prasie z dnia 2–3 lipca (tego samego dnia) przeczytaliśmy o zmianie właścicieli „Rzeczpospolitej” i krakowskiego „Dziennika Polskiego”. Tak się składa, że z obu tych gazet korzystamy w naszej praktyce redakcyjnej najczęściej. Szczęśliwie dotąd nie dostrzegamy zmian w obrazie prezentowanym przez oba pisma. Oby tak zostało.

I wreszcie – czy nasz kwartalnik przetrwa te dziwne czasy? Mamy taką nadzieję, bo jest podobno dobry i zawsze oczekiwany. Przyznają to nie tylko wierni Czytelnicy!

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościak, Romana Machowska, Anna Madej, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalnikach CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Romana Machowska, tel. (12) 637 13 21

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, e-mail: fall@fall.pl

Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzińskiego 1, tel. (12) 413 76 51

Nakład 700 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Słowo od Redakcji
DZIEJE SIĘ WIELE...

Przemyślenia

CRACOVIA—LEOPOLIS DAWNO I NIEDAWNO

Wzgórza Wuleckie

Marta Walczewska

ODSŁONIĘCIE POMNIKA POLSKICH
PROFESORÓW...

Anna Stengl, Barbara Szumska

PAMIĘĆ O LWOWSKICH PROFESORACH
I POLSKIEJ TRAGEDII

Mariusz Kubik

WŁADA MAJEWSKA

Aleksandra Garlicka

EX ORIENTE LUX (1)

Stanisław Łempicki

KAZIMIERZ TWARDOWSKI

Wspomnienia

Aleksander Świstun

WSPOMNIENIA PODOLSKIE (3)

Marta Walczewska

POCZĄTKI SPORTU WE LWOWIE

Remigiusz Węgrzynowicz

WETERYNARIA WE LWOWIE

Tamten Lwów

LWOWSKIE PRZEDMIEŚCIA (4)

Adam Trojanowski

LASY NA HALICKIEM

Rozmowy

O STANISŁAWOWIE ROZMAWIAJĄ

K. STAFIŃSKA I T. OLSZAŃSKI

RZEMIOSŁO W BUDZANOWIE

Przeczytane

Poezja

II Stanisław Gottfried

MAZUR ♦ MONA LIZA ♦ ŻŁOTY KONIACZKU

♦ W STYCZNIOWĄ NOC ♦ RONDO

Janusz Paluch

„ARSENAL PĘKŁ”

Proza

Kazimierz Schleyen

TEATR

Tamten Lwów

Tadeusz Krzyżewski

POGROBOWIEC LWOWSKIEGO HUMORU

Sylwetki

PROFESOR MARIA JORDAN

Bp Marcján Trofimiak

MARZYM O WIZYCIE PAPIEŻA...

Słownik geograficzno-
-historyczny

KAMIENIEC PODOLSKI

Z tamtej strony

WIELKI ERESPOCHAN...

SKANDAL Z DOMEM POLSKIM BEZ ZMIAN

UCRAINICA

W Krakowie i dalej

XXV ZJAZD TARNOPOLAN

KUSTOSZE PAMIĘCI NARODOWEJ 2011

NOTATKI

Kultura ♦ Nauka

II SPOTKANIA W MUZEUM

NIEPODLEGŁOŚCI

PAMIĄTKI PO MARSZ. J. PIŁSUDSKIM

SPUŚCIZNA PO W. PUCHAŁSKIM

ARCHIWUM TARNOPOLSKIE...

KRONIKA

Książki ♦ Czasopisma

NOWE KSIĄŻKI